ELEANOR H. PORTER

POLLYANNA DORASTA

POWIEŚĆ DLA DZIEWCZĄT

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO
JANINY ZAWISZA-KRASUCKIEJ
Z ILUSTRACJAMI

NAKŁADEM NOWEGO WYDAWNICTWA
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 141

Tytuł oryginału:
POLLYANNA GROWS UP

ZAKŁ. DRUK. F. WYSZYŃSKI I S-KA, WARSZAWA

ROZDZIAŁ I.

Della mówi to, co myśli

Della Wetherby wbiegła po eleganckich schodach prowadzących do mieszkania jej siostry na Commonwealth Avenue i energicznym ruchem przycisnęła guzik elektrycznego dzwonka. Od czubka szerokoskrzydłego kapelusza aż do obcasów skromnych pantofli emanowało z niej zdrowie, lotność umysłu i stanowczość decyzji. Nawet w głosie, gdy witała pokojówkę otwierającą jej drzwi, wibrowała szczera radość życia.

— Dzień dobry, Mary. Czy jest moja siostra?

— O... owszem, madame, pani Carew jest w domu, — zawahała się dziewczyna, — ale dała mi polecenie, że nie ma ochoty widzieć nikogo.

— Istotnie? Ponieważ ja nie jestem „ktoś", więc mnie chyba zechce zobaczyć, — uśmiechnęła się panna Wetherby. — Nie bój się, już na siebie wezmę całą winę, — skinęła głową, odpowiadając na przerażone spojrzenie dziewczyny. — Gdzie jest pani, w salonie?

— Tak, madame, ale zaznaczyła... — Panna Wetherby jednak była już na półpiętrze i pokojówka ze zrozpaczoną miną, rada nie rada musiała się cofnąć.

Znalazłszy się w hallu na górze, Della Wetherby

bez chwili wahania skierowała się w stronę półotwartych drzwi i zapukała.

— Możesz wejść, Mary, — usłyszała w odpowiedzi bezradny głos. — Czyż ci nie mówiłam... Ach, Della! — głos nagle zmienił swoje brzmienie, stał się cieplejszy, pełen uczucia i radości. — Ach, ty, kochana, skąd się tutaj wzięłaś?

— Tak, to ja, — uśmiechnęła się młoda kobieta, idąc szybko przez pokój. — Wracam z niedzielnej wycieczki na wybrzeże, gdzie byłam z dwiema sanitariuszkami i wstąpiłam tu w drodze powrotnej do lecznicy. Nie mogę siedzieć zbyt długo. Przyszłam tylko po to, — dorzuciła, darząc właścicielkę „bezradnego“ głosu serdecznym pocałunkiem.

Pani Carew zachmurzyła się i cofnęła z odrobiną chłodu. Błysk radości i serdeczności zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca obojętnemu zniechęceniu, które zasadniczo było stałym gościem w tym domu.

— Ach, oczywiście! Powinnam się była domyśleć, — mruknęła. — Ty nigdy tutaj dłużej nie możesz pozostać.

— Tutaj? — Della Wetherby zaśmiała się wesoło, rozkładając w komicznym ruchu ręce. Po chwili nagle głos jej i zachowanie uległy zmianie. Spojrzała na siostrę pełnymi smutku i serdeczności oczami. — Rutko droga, nie mogłabym mieszkać w tym domu. Wiesz, że to byłoby po nad moje siły, — dodała łagodnie.

Pani Carew obruszyła się zirytowana.

— Właściwie nie wiem dlaczego, — wyszeptała.

Della Wetherby potrząsnęła głową.

— Owszem, wiesz, kochanie. Wiesz doskonale, że

nie żywię sympatii dla tego wszystkiego — dla tej atmosfery ponurej, dla braku celu, dla ustawicznego nurzania się w niezadowoleniu i goryczy.

— Cóż zrobić, kiedy dusza moja goryczą jest przepełniona.

— Ale tak być nie powinno.

— Dlaczego nie? Jak mam na to zaradzić?

Della Wetherby uczyniła ruch zniecierpliwienia.

— Posłuchaj, Rutko, — odezwała się. — Masz zaledwie trzydzieści trzy lata. Jesteś zdrowa, a właściwie byłabyś, gdybyś inaczej w stosunku do siebie samej postępowała — możesz rozporządzać swobodnie czasem i pieniędzmi. Z pewnością każdy, kto by znał twoje warunki, musiałby orzec, że mogłabyś znaleźć sobie coś podczas takiego pięknego ranka, zamiast siedzieć skrzywiona w tym ponurym domu i nakazywać służącej, żeby nikogo do ciebie nie wpuszczała.

— Ależ ja nie chcę nikogo widzieć.

— Będąc na twoim miejscu, zmusiłabym się do tego, aby właśnie chcieć kogoś zobaczyć.

Pani Carew westchnęła głęboko i odwróciła głowę.

— Ach, Dello, dlaczego ty tego nie możesz zrozumieć? Nie jestem podobna do ciebie. Nie mogę zapomnieć.

Skurcz bólu przemknął po twarzy młodszej kobiety.

— Masz na myśli Jamie, przypuszczam. Ja także nie zapomniałam, kochanie. Naturalnie, nie mogłabym. Ale przygnębienie nie dopomoże nam do odnalezienia naszego chłopca.

razie wszyscy lekarze w lecznicy twierdzą, że jest ona najlepszym lekarstwem, jakie możemy choremu zaaplikować. Jest to mała dziewczynka, Rutko, ma dwanaście, czy trzynaście lat i była u nas w lecznicy przez całe zeszłe lato i część zimy. Ja osobiście znałam ją zaledwie miesiąc, czy dwa, bo wkrótce wyjechała po moim przybyciu. Ale ten czas najzupełniej wystarczył, żebym poddała się całkowicie jej urokowi. Cała lecznica jeszcze teraz wciąż mówi o Pollyannie i najchętniej zabawia się w jej grę.

— Grę?

— Tak, — skinęła głową Della z tajemniczym uśmiechem. — W jej „grę w zadowolenie". Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy po raz pierwszy z tą grą się zaznajomiłam. Miała wówczas przykry, a nawet bolesny wyraz twarzy. Opatrunki zmieniało się jej w każdy wtorek rano, a ja wkrótce po przybyciu zaczęłam ją pielęgnować. Było to dla mnie straszne, gdyż z doświadczenia z innymi dziećmi, wiedziałam, czego się mogę spodziewać. Dzieci naogół są rozgrymaszone i płaczliwe, jeżeli nie posiadają jakiejś gorszej cechy charakteru. Ku wielkiemu memu zdziwieniu jednak Pollyanna powitała mnie uśmiechem, mówiąc, że jest zadowolona z tego, że mnie widzi. Nie skrzywiła się nawet, gdy jej robiłam zabieg, choć ja sama zdawałam sobie dokładnie sprawę z tego, że sprawiam jej ogromny ból. Widocznie powiedziałam coś takiego, czym wyraziłam swoje zdziwienie, bowiem Pollyanna wytłumaczyła mi całkiem poważnie: „Ach, tak, zawsze tak się czułam i bałam się wszystkiego, dopóki nie zaszło coś w owym dniu, kiedy Nancy

urządzała wielkie pranie. Od tego czasu odczuwam największe zadowolenie we wtorki, bo przecież w tym samym tygodniu drugiego wtorku już nie będzie".

— Naprawdę oryginalne! — zmarszczyła brwi pani Carew, myśląc o czymś innym. — Ale w tym wszystkim nie widzę jeszcze żadnej „gry".

— Nie, i ja przez dłuższy czas tego nie rozumiałam. Później dopiero uświadomiła mnie sama Pollyanna. Okazuje się, że była córką biednego pastora z zachodniej dzielnicy kraju, któremu żona wcześnie umarła i dziewczynkę wychowywały Panie z Towarzystwa Dobroczynnego w misjonarskich barakach. Gdy była jeszcze zupełnie maleńka, pragnęła mieć lalkę i wmówiła sobie, że znajdzie ją w którymś z sąsiednich baraków. Niestety, w baraku, w którym szukała lalki, znalazła tylko parę kul dla chorych na nogi. Zaczęło biedactwo płakać i właśnie wówczas ojciec nauczył ją „gry w zadowolenie", która polega na tym, że należy się cieszyć z wszystkiego, co się stanie. Pastor zapoczątkował tę grę w ten sposób, że wyraził dziewczynce swe zadowolenie, iż właśnie ona takich kul nie potrzebuje. To był początek. Pollyannie gra ta ogromnie się podobała i obiecała ojcu, że od tej chwili grać w nią będzie stale. W każdym największym zmartwieniu potrafiła znaleźć odrobinę radości, a radość tę odczuwała mocniej tylko wówczas, gdy było jej bardzo ciężko i gdy czegoś wesołego bardzo pragnęła.

— Naprawdę oryginalne! — wyszeptała pani Carew, jeszcze ciągle myśląc o czymś innym.

— Napewno byłabyś zachwycona, gdybyś mogła

widzieć rezultaty tej gry w lecznicy, — skinęła głową Della. — Dr. Ames opowiadał, że Pollyanna wywarła wpływ na całe miasteczko, z którego pochodzi. Doktór zna doskonale dr. Chiltona, który ożenił się z ciotką Pollyanny. Podobno nawet zawarcie tego małżeństwa nastąpiło też dzięki dziewczynce. Potrafiła załagodzić dawne niechęci, jakie istniały między ciotką jej i dr. Chiltonem. Nie wiesz pewno o tym, że jakieś dwa lata temu umarł ojciec Pollyanny i dziewczynka wysłana została na Wschód do swej ciotki. W październiku uległa katastrofie samochodowej i lekarze orzekli, że nigdy już nie będzie mogła chodzić. W kwietniu doktór Chilton przysłał ją do lecznicy, gdzie przebywała do marca tego roku, czyli prawie rok. Wróciła do domu zasadniczo zupełnie wyleczona. Chciałabym, żebyś zobaczyła to dziecko! Radość jej życia zacieniała tylko jedna chmura, że już nigdy nie będzie mogła chodzić. Później dowiedziałam się, że gdy wracała do miasteczka, wszyscy mieszkańcy witali ją tak uroczyście, że aż wyszli na jej spotkanie z orkiestrą Ale trudno jest opowiadać o Pollyannie, trzeba ją koniecznie zobaczyć. I właśnie dlatego powiadam, że chciałabym zaaplikować ci „dawkę" Pollyanny. Jestem pewna, że wówczas patrzyłabyś jaśniej na świat.

Pani Carew podniosła w górę głowę.

— Muszę powiedzieć szczerze, że ci się bardzo dziwię, — rzekła chłodno. — Nie mam ochoty pozostawać pod niczyim urokiem, jak również nie żywię do nikogo żadnej niechęci, którą ktoś musiałby łagodzić. Jeżeli istnieje coś, co jest dla mnie nie do zniesienia, to przyznaję, że tym czymś byłaby właś-

nie ta mała Panna Pocieszycielska, którąby mi na każdym kroku dała odczuć, że powinnam być każdemu za coś wdzięczna. Ach, nigdybym tego nie zniosła... — lecz w tej samej chwili przerwał jej wesoły śmiech siostry.

— Ach, Rutko, Rutko, — zawołała Della. — Panna Pocieszycielska, to istotnie Pollyanna! Ach, żebyś mogła tylko zobaczyć to dziecko. Zaznaczyłam, że o Pollyannie nikt nie potrafi opowiedzieć. Ale ty oczywiście nie masz ochoty ujrzeć tej małej. Świetnie ją nazwałaś — Panna Pocieszycielska — i znowu wybuchnęła głośniejszym jeszcze śmiechem. Jednakże prawie natychmiast spoważniała i spojrzała na siostrę zatroskanym wzrokiem.

Naprawdę, kochanie, czy nie można tego wszystkiego jakoś zmienić? — zapytała łagodnie. — Nie możesz przecież w ten sposób marnować życia. Czy nie mogłabyś się zmusić, żeby wyjść trochę i spotkać się z ludźmi?

— Pocóż miałabym się zmuszać, kiedy mi się wcale nie chce? Jestem zmęczona ludźmi. Wiesz, że towarzystwo zawsze mnie męczyło.

— To dlaczego nie spróbujesz jakiejś pracy, może społecznej?

Pani Carew machnęła niecierpliwie ręką.

— Dello droga, już niejednokrotnie mówiłyśmy o tym. Daję pieniądze na rozmaite cele — mnóstwo pieniędzy i uważam, że to wystarcza. Zastanawiam się nawet, czy nie za wiele robię. Wogóle nie wierzę w to, że istnieją ludzie biedni.

— Ale gdybyś dała coś więcej z siebie społeczeństwu, — perswadowała łagodnie Della. — Gdybyś

mogła zainteresować się czymś, poza własnym życiem, napewno by ci to dobrze zrobiło, gdybyś...

— Daj spokój, Dello, — przerwała starsza siostra w zniecierpliwieniu, — bardzo cię kocham i lubię jak do mnie przychodzisz, lecz nie znoszę, żeby mnie ktoś do czegoś zmuszał. Bardzo ładnie z twej strony, żeś się przeistoczyła w anioła opiekuńczego, że potrafisz podawać spragnionym kubek wody, bandażować poranione głowy i spełniać temu podobne obowiązki. Może właśnie dzięki tej pracy potrafisz zapomnieć o Jamie, ja jednak nie umiem. Napewno w takiej sytuacji myślałabym o nim jeszcze więcej i zastanawiałabym się nad tym, czy on ma kogoś, kto mu wodę podaje i kto mu bandażuje głowę. Zresztą, dla mnie taka praca byłaby bardzo nieprzyjemna, takie stykanie się z rozmaitego rodzaju ludźmi.

— A czy kiedyś próbowałaś?

— Oczywiście, że nie! — głos pani Carew był pełen niechęci i zranionej dumy.

— Wobec tego, skąd możesz wiedzieć, skoro nie próbowałaś —zapytała młoda pielęgniarka, podnosząc się z krzesła leniwie. — Ale muszę już iść, kochanie. Mam się spotkać z dziewczętami na Dworcu Południowym. Pociąg nasz odchodzi o 12,30. Bardzo mi przykro, żeś się na mnie rozgniewała, — dorzuciła, całując siostrę na pożegnanie.

— Nie jestem wcale zagniewana, Dello, — westchnęła pani Carew, — chciałabym tylko, żebyś mnie mogła zrozumieć!

W kilka minut potem Della Wetherby przez ponury mroczny hall wyszła na ulicę. Wyraz jej twarzy, chód i całe zachowanie były całkiem inne od

zachowania i wyglądu z przed pół godziny, kiedy wbiegała na górę do mieszkania siostry. Energia, uśmiech i radość życia zniknęły gdzieś bezpowrotnie. Szła teraz wolno, unosząc z trudnością nogi. W pewnej chwili odrzuciła w tył głowę i odetchnęła głęboko.

— Jeden tydzień pobytu w tym domu zabiłby mnie napewno, — zadrżała. — Nie wiem nawet, czy Pollyanna potrafiłaby zmienić tę atmosferę! Może powinnam być zadowolona, że biedaczka nigdy się tutaj nie zjawi.

Widocznie jednak Della Wetherby niedługo ufała własnej opinii na ten temat, bo już nazajutrz, podniecona, odbywała znowu tę samą pięćdziesięciomilową podróż do Bostonu.

W domu siostry zastała identyczną sytuację, jak wczoraj i skłonna była nawet uwierzyć, że od chwili pożegnania się z nią pani Carew nie zdobyła się nawet na zmianę pozycji.

— Rutko, — wybuchnęła gorączkowo w odpowiedzi na zdziwione powitanie siostry, — znowu zjawiłam się tutaj, lecz tym razem musisz zgodzić się na moją propozycję. Słuchaj! Możesz mieć tutaj małą Pollyannę, jeśli będziesz chciała.

— Ależ ja wcale nie chcę, — odparła pani Carew z obojętną miną.

Della Wetherby zdawała się tych słów nie słyszeć.

— Gdy wróciłam wczoraj do lecznicy, — mówiła dalej w podnieceniu, — dowiedziałam się, że doktór Ames otrzymał list od doktora Chiltona, wiesz, tego, co się ożenił z ciotką Pollyanny. W liście tym doktór Chilton pisze, że zamierza na zimę pojechać do

Niemiec na specjalny kurs i że pragnąłby tam zabrać swoją żonę, jeżeli zdoła ją nakłonić do umieszczenia na ten czas Pollyanny w jakiejś tutejszej szkole internatowej. Pani Chilton podobno za nic w świecie nie zgadza się zostawić Pollyanny w pierwszej lepszej szkole, więc mąż jej obawia się, że nie będzie mogła z nim do Niemiec pojechać. Rozumiesz, Rutko, że teraz my mamy szanse! Pragnę, abyś wzięła Pollyannę na zimę do siebie i posyłała ją tutaj do szkoły.

— Cóż za absurdalny pomysł, Dello! Mówisz tak, jakbym naprawdę miała ochotę, żeby to dziecko mnie męczyło!

— Ależ ona cię ani trochę męczyć nie będzie. Ma już teraz prawie trzynaście lat i jest najmilszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam.

— Nie lubię „miłych" dzieci, — odparła pani Carew ironicznie, lecz jednocześnie zaśmiała się. Ten śmiech dodał młodszej siostrze odwagi do podwojenia podjętych wysiłków.

Może stało się tak dlatego, że decyzja musiała być natychmiastowa, może historia życia Pollyanny wzruszyła nieco serce Ruty Carew, a może poprostu pani Carew nie chciała odmawiać prośbom siostry, dość, że w rezultacie Della Wetherby wychodząc po pół godzinie z mieszkania siostry, uzyskała zgodę na przywiezienie Pollyanny do Bostonu.

— Ale pamiętaj, — ostrzegała ją pani Carew przy pożegnaniu, — pamiętaj, że z chwilą, gdy dziecko zacznie mi wygłaszać kazania i żądać, abym liczyła swoje grzechy, odeślę je natychmiast do ciebie, a ty możesz sobie z nią robić, co ci się podoba. Trzymać jej dłużej u siebie nie będę!

— Będę pamiętała, lecz o to się nie martwię, — skinęła głową Della, wychodząc. Zbiegając po schodach z uśmiechem, — szeptała do siebie: — Połowy dzieła dokonałam. Teraz druga połowa, żeby Pollyannę tu sprowadzić. Ale musi przyjechać koniecznie. Napiszę taki list, że mi napewno nie odmówią!

ROZDZIAŁ II.

Dawni przyjaciele

Tego dnia sierpniowego w Beldingsville pani Chilton czekała aż Pollyanna położy się do łóżka, bo dopiero wówczas chciała pomówić z mężem o liście, który nadszedł ranną pocztą. Musiała jednak mieć jeszcze trochę cierpliwości, gdyż pacjentów podczas godzin przyjęć było mnóstwo, później zaś doktór musiał odbyć dwie dłuższe podróże do chorych, dzięki czemu nie miał czasu na omawianie domowych spraw.

Dopiero około pół do dziesiątej wszedł do saloniku żony. Zmęczona jego twarz rozjaśniła się uśmiechem na jej widok, lecz zaraz potem spojrzał na żonę pytająco.

— Co nowego zaszło, Polly, najdroższa? — zapytał zaciekawiony.

Żona zaśmiała się wesoło.

— Idzie mi o ten list, chociaż nie pojmuję, jakim cudem mogłeś się tego domyśleć, patrząc na mnie.

— Widocznie miałaś jakiś specjalny wygląd, — odparł dobrotliwie doktór. — Ale powiedz mi jaśniej.

Pani Chilton zawahała się, przygryzła wargi, po czym sięgnęła po list, leżący na stoliku.

— Zaraz ci go przeczytam, — zdecydowała. — Pochodzi on od panny Delli Wetherby z lecznicy dr. Amesa.

— Doskonale. Czytaj, — zachęcił ją mąż, lokując się wygodnie na kozetce w pobliżu fotela, na którym siedziała.

Lecz pani Chilton nie od razu zaczęła czytać. Wstała najprzód i przykryła leżącego męża szarym ciepłym pledem. Od ślubu ich upłynął już prawie rok, a pani Chilton liczyła teraz czterdzieści dwa lata. Zdawać się mogło, że podczas tego krótkiego okresu małżeństwa usiłowała zgromadzić całą swą troskliwość i oddać ją na usługi męża, rehabilitując tym samym długie dwadzieścia lat swej samotności. Doktór, który skończył czterdzieści pięć lat w dniu ślubu i który również do dnia tego był zupełnie osamotniony, przyjmował tę troskliwość z radosną czułością. Postępował tak, jakby mu troskliwość żony sprawiała wiele przyjemności, aczkolwiek chwilami starał się jej tego nie okazywać. Przecież pani Polly, mogłaby się zrazić jego zbyt wielką wylewnością, a do tego za żadne skarby nie chciał dopuścić. Zadowolnił się więc teraz przelotnym pogładzeniem jej ręki, gdy otulała go pledem i gdy usiadła wreszcie, aby przeczytać mu list na głos.

„Szanowna Pani Chilton“, pisała Della Wetherby. „Już sześć razy rozpoczynałam ten list do Pani i za każdym razem darłam go, teraz jednak postanowiłam bez żadnych wstępów wytłumaczyć Pani, o co mi chodzi.

Potrzebna mi jest Pollyana. Czy mogłabym mieć nadzieję, że ją będę miała?

„Poznałam Panią i męża Pani w zeszłym roku w marcu, gdy przyjechaliście Państwo, aby zabrać Pollyannę do domu, przypuszczam jednak, że mnie Pani nie pamięta. Prosiłam dr. Amesa (który zna Państwa tak dobrze), aby napisał do Pani Męża, żebyście Państwo nie lękali się powierzyć mi swej małej siostrzenicy.

„Wiem o tym, że pragnie Pani wyjechać do Niemiec ze swym Mężem, lecz nie ma Pani ochoty pozostawić bez opieki Pollyanny. Właśnie korzystając z tego, ośmielam się prosić, aby pozwoliła Pani nam zabrać ją do siebie. Naprawdę proszę Panią o to gorąco, droga Pani Chilton, a zaraz wytłumaczę, dlaczego mi tak na tym zależy.

„Otóż moja siostra, Ruta Carew, jest samotna, przygnębiona i niezadowolona z życia. Przebywa stale w świecie mroku, do którego nigdy promienie słońca nie przenikają. Ja ze swej strony uwierzyłam, że jeżeli cośkolwiek na świecie może wnieść trochę słońca do jej życia, to jedynie przyczynić się do tego może siostrzenica Pani, Pollyanna. Czy nie pozwoliłaby jej Pani spróbować? Chciałabym opowiedzieć Pani, ile pogody i radości wniosła Pollyanna do naszej lecznicy, ale o takich rzeczach opowiadać trudno. Trzeba być tego naocznym świadkiem. Zorientowałam się już oddawna, że i Pani nie potrafi opowiadać o Pollyannie.

Jeżeli nawet pragnie Pani coś opowiedzieć, to to wszystko brzmi nienaturalnie i nie posiada żadnej treści. Ja i Pani wiemy, czym jest ta mała dziewczynka. Niechaj Pani pozwoli zjawić się Pollyannie i mówić jej samej za siebie. Właśnie pragnę zabrać ją do mojej siostry, a resztę już pozostawiam jej samej. Oczywiście Pollyanna będzie chodziła do szkoły, a w międzyczasie, wierzę w to święcie, zdoła może zabliźnić ranę w sercu mojej siostry.

„Nie wiem, jak mam zakończyć ten list. Zakończenie jest o wiele trudniejsze niż początek. Wolałabym go wogóle nie kończyć. Mam dziwne pragnienie mówienia i mówienia bez końca, gdyż odczuwam obawę, że z chwilą, gdy zaprzestanę mówić, nie uwzględni Pani mojej prośby. Zanim mi jednak Pani odmówi, proszę zastanowić się głębiej nad tym i proszę uświadomić sobie, że Pollyanna jest mi naprawdę bardzo potrzebna.

„Pełna nadziei, pozostaję

„Della Wetherby".

— No! — zawołała pani Chilton, odkładając przeczytany list. — Czyś kiedykolwiek czytał coś podobnego i czyś słyszał jakąś bardziej absurdalną propozycję?

— Pewny nie jestem, — uśmiechnął się doktór.— Nie widzę w tym nic absurdalnego, że komuś potrzebna jest Pollyanna.

— Ale... ale ten sposób, w jaki ona to tłomaczy—

ma zabliźnić ranę w sercu jej siostry! Gotów ktoś pomyśleć, że to nie dziecko, tylko pewien rodzaj lekarstwa!

Doktór zaśmiał się głośno i uniósł brwi ku górze.

— Bo właściwie tak jest, Polly. Zawsze twierdziłem, że pragnąłbym ją móc komuś przepisać i kupić w aptece, jak pudełko pigułek. Charlie Ames opowiadał mi, że w lecznicy częstowano pacjentów dawką Pollyanny przez cały rok jej pobytu.

— „Dawka“, istotnie! — wyszeptała z przekąsem pani Chilton.

— Więc nie pozwolisz jej pojechać?

— Pojechać? Oczywiście, że nie! Czy przypuszczasz, że oddam dziecko zupełnie obcym ludziom i do tego takim ludziom? Naprawdę, Tomaszu, gdybym ją oddała pod opiekę tej pielęgniarki, z pewnością po powrocie z Niemiec nie poznałabym dziewczyny.

Doktór odrzucił w tył głowę i wybuchnął serdecznym śmiechem, który trwał jednak tylko krótką chwilę. Twarz mu się zmieniła, gdy sięgnął do kieszeni, aby wyjąć z niej list.

— I ja dzisiaj otrzymałem wiadomość od dr. Amesa, — powiedział dziwnie tajemniczym głosem, który zastanowił panią Chilton. — Pozwolisz, że teraz ja ci jego list przeczytam.

„Drogi Tomku“, zaczął. „Panna Della Wetherby prosiła mnie o pewną przysługę, którą spełniam bardzo chętnie. Panny Wetherby znam od dzieciństwa. Pochodzą one ze starej dobrej rodziny i są naprawdę szlachetnymi kobietami. Pod tym względem możesz nie mieć żadnych obaw.

„Były tam trzy siostry Doris, Ruta i Della. Doris poślubiła człowieka nazwiskiem John Kent, właściwie wbrew woli rodziny. Kent pochodził z dobrego domu, lecz sam niewiele był wart i przypuszczam, że żona miała z nim niezbyt miły żywot. Rozgoryczony był zawsze do państwa Wetherby, to też mało komunikował się z całą ich rodziną, dopóki dziecko nie przyszło na świat. Państwo Wetherby uwielbiali małego Jamie. Matka jego, Doris, umarła, gdy chłopiec miał cztery lata, a ponieważ państwo Wetherby usiłowali odebrać dziecko ojcu, Kent pewnego dnia zniknął wraz z synem. Od tego czasu nikt o nim więcej nie słyszał, chociaż czyniono wszelkie możliwe poszukiwania.

„Strata wnuczka przyczyniła się do szybszej śmierci starych państwa Wetherby, którzy wkrótce umarli. W międzyczasie Ruta wyszła za mąż i owdowiała. Mężem jej był niejaki Carew, bardzo zamożny człowiek i o wiele od niej starszy. Żył z nią zaledwie rok i umarł, pozostawiając ją z maleńkim synkiem, który także wkrótce zeszedł z tego świata.

„Od czasu, kiedy Jamie zaginął, Ruta i Della straciły wszelki cel w życiu i pragną go jedynie odnaleźć. Na poszukiwania wydały mnóstwo pieniędzy, poruszając niebo i ziemię, lecz, niestety, bezskutecznie. Della zajęła się pielęgniarstwem. Pracuje sumiennie i stała się pełną pogody i stanowczości kobietą, która wie, czego chce, mimo to jed-

nak nie zapomniała o zaginionym siostrzeńcu i nie straciła nadziei, że go jednak kiedyś zdoła odnaleźć.

„Z panią Carew sytuacja przedstawia się całkiem inaczej. Po stracie własnego syna całe swe macierzyńskie uczucie skierowała na siostrzeńca, możesz więc sobie wyobrazić jej rozpacz, gdy chłopak zginął. Miało to miejsce przed ośmiu laty, dla niej zaś te osiem lat jest jednym długim pasmem przygnębienia i goryczy. To wszystko, co można kupić za pieniądze, pani Carew ma do swego rozporządzenia, lecz nic jej nie sprawia przyjemności i nic nie wzbudza w niej zainteresowania. Della twierdzi, że najwyższa już pora zbudzenia siostry z tej zbyt długotrwałej melancholii i wierzy w to święcie, że siostrzenica twojej żony, Pollyanna posiada tę tajemniczą siłę, która umożliwi pani Carew rozpoczęcie nowej egzystencji. A zatem sprawa tak się przedstawia i mam nadzieję, że poznawszy sytuację dokładnie, zadość uczynisz prośbie panny Wetherby. Od siebie dodać mogę, że bardzoby mi zależało na tym, bowiem Ruta Carew i jej siostra są serdecznymi przyjaciółkami mojej żony i wszystkie ich zmartwienia są naszymi zmartwieniami.

„Twój zawsze oddany
„Charlie."

Po skończeniu listu w pokoju zaległa długa cisza, którą przerwał doktór, zwracając się do żony:

— No i cóż, Polly?

Cisza panowała nadal. Obserwując twarz żony z bliska, doktór Chilton zauważył, że usta jej i podbródek drżały. Czekał cierpliwie, dopóki sama nie przemówiła.

— Jak sądzisz, kiedy spodziewają się jej przyjazdu? — zapytała wreszcie.

Całkiem mimo woli dr. Chilton niewidocznie drgnął.

— Więc pozwolisz jej pojechać? — zawołał.

— Cóż za dziwne pytanie, Tomaszu Chilton! — odpowiedziała pani Polly w zniecierpliwieniu. — Czy przypuszczasz, że po takim liście mogłabym jej nie pozwolić? Zresztą, czyż to nie dr. Ames zwraca się do nas z tą prośbą? Czy przypuszczasz, że po tym wszystkim, co uczynił dla Pollyanny, mogłabym mu kiedykolwiek w życiu odmówić?

— Boże, Boże! Całe szczęście, że Amesowi nie przyszło do głowy, aby domagać się tego przybycia, moja najdroższa, — wyszeptał małżonek z figlarnym uśmiechem, pani Polly jednak obdarzyła go tylko pełnym nagany wzrokiem i rzekła:

— Możesz napisać dr. Amesowi, że przyślemy Pollyannę i poproś go, aby zawiadomił o tym pannę Wetherby. Musi to być załatwione w każdym razie przed 10-tym następnego miesiąca, bo wtedy przecież chcesz wyjechać, a pragnęłabym sama wyekspediować dziecko.

— Kiedy powiesz o tym Pollyannie?

— Prawdopodobnie jutro.

— A co jej powiesz?

— Jeszcze nie wiem dokładnie, lecz właściwie niewiele mam jej do powiedzenia. Cokolwiekby się

stało, Tomaszu, nie chciałabym za nic w świecie zepsuć Pollyanny, a dziecku można przewrócić w głowie, gdy mu się wmówi, że jest pewnego rodzaju...

— Lekarstwem, które może kogoś uzdrowić? — podchwycił doktór z uśmiechem.

— Tak, — westchnęła pani Chilton. — Ratuje ją tylko jej nieświadomość. Wiesz o tym dobrze, kochanie.

— Tak, wiem, — skinął głową doktór.

— Pollyanna zdaje sobie z tego sprawę, że ty, ja i połowa miasteczka zabawia się z nią chętnie w tę jej grę i że jesteśmy dzięki temu o wiele szczęśliwsi. Głos pani Chilton zadrżał na chwilę, poczem przybrał znowu nutę poważną. — Lecz gdyby uświadomiła sobie, że przedstawia sobą coś, co ludzi uszczęśliwia, stałaby się nieznośna we współżyciu. Cokolwiek jej powiem, nie wolno mi wspomnieć o tym, że jedzie do Bostonu, aby wyleczyć z melancholii panią Carew, — zakończyła pani Chilton, wstając energicznie z krzesła i odkładając do szuflady swą robótkę.

— Uważam, że postępujesz bardzo rozsądnie, — pochwalił żonę doktór.

Pollyanna dowiedziała się o wszystkim nazajutrz rano i to w sposób następujący:

— Moja droga, — zaczęła pani Polly, gdy na chwilę zostały same, — jakby ci się podobało przepędzenie zimy w Bostonie?

— Z tobą?

— Nie, ja postanowiłam jechać z wujem do Niemiec, ale pani Carew, przyjaciółka dr. Armesa, za-

prasza cię do siebie na zimę i przypuszczam, że przyjmiemy to zaproszenie.

Twarzyczka Pollyanny posmutniała.

— Ależ ja w Bostonie nie będę miała Jimmy, ani pana Pendletona, ani pani Snow, ani nikogo ze znajomych, cirociu Polly.

— Nie, kochanie, lecz nie miałaś ich również tutaj, dopóki ich nie znalazłaś.

Pollyanna uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

— Rzeczywiście, ciociu Polly, nie miałam! To znaczy, że tam w Bostonie są jacyś Jimm'owie, panowie Pendleton i panie Snow, którzy czekają na to, żebym ich poznała?

— Tak, kochanie.

— Wobec tego, szalenie się cieszę. Wierzę teraz, ciociu Polly, że ty lepiej umiesz grać w tę moją grę ode mnie. Nigdy nie pomyślałam o ludziach, którzy czekają na to, żebym ich poznała. A przecież ludzi jest tak dużo! Widziałam nawet ich sporo, jak byłam tam przed dwoma laty z panią Gray. Byłyśmy w Bostonie dwie godziny, jak ci wiadomo, w drodze do ciebie. Na stacji był jeden pan, bardzo miły, który mi wskazał, gdzie mogę napić się wody. Czy przypuszczasz, że jest tam jeszcze teraz? Bardzobym go chciała poznać. I była tam także bardzo miła pani z małą dziewczynką. Mieszkają stale w Bostonie, powiedziały mi o tym. Ta dziewczynka nazywa się Zuzia Smith. Możliwe, że ją będę mogła bliżej poznać. Sądzisz, że będę mogła? I był jeden chłopiec i jeszcze jedna pani z dzieckiem, tylko, że oni mieszkają w Honolulu, więc na pewno nie spotkam ich w Bostonie. Ale w Bostonie w każdym razie

będzie pani Carew. A kto to jest pani Carew, ciociu Polly? Czy to nasza krewna?

— Boże święty, Pollyanno!—zawołała pani Chilton na pół ze śmiechem, na pół z rozpaczą. — Jak możesz żądać, żeby ktoś nadążył twoim myślom, skoro w ciągu dwóch sekund przerzucasz się z Honolulu do Bostonu! Nie, pani Carew nie jest naszą krewną, lecz siostrą panny Delli Wertherby. Czy pamiętasz pannę Wetherby z lecznicy?

Pollyanna klasnęła w dłonie.

— To jest jej siostra? Siostra panny Wetherby? Ach, wobec tego musi być bardzo miła, bo ogromnie miła jest panna Wetherby. Szalenie ją lubiłam. Ma takie uśmiechające się fałdki dookoła oczu i ust i umie opowiadać cudowne historie. Wprawdzie była ze mną tylko dwa miesiące, bo przyjechała na krótko przed moim wyjazdem. Z początku byłam zmartwiona, że nie była ze mną przez cały czas pobytu, lecz potem cieszyłam się. Bo widzisz, ciociu Polly, gdybym ją miała cały czas przy sobie, to później bardziej przykre byłoby pożegnanie, niż wówczas, kiedy ją znałam tak krótko. A teraz mam takie wrażenie, jakbym znowu miała być z nią razem, ponieważ jadę do jej siostry.

Pani Chilton odetchnęła głęboko i zacięła wargi.

— Ale Pollyanno droga, nie możesz się spodziewać, że obydwie siostry są jednakowe, — zauważyła.

— Jakto, przecież są siostrami, ciociu Polly, — argumentowała dziewczynka, otwierając szerzej oczy, — a ja mam wrażenie, że siostry zawsze są do siebie bardzo podobne. Znałam takie siostry w Towarzystwie Dobroczynnym. Były to nawet bliźnię-

ta i tak do siebie podobne, że poprostu nie mogłam odróżnić, która jest panią Peck, a która panią Jones, dopóki na nosie pani Jones nie wyrosła wielka brodawka. Wówczas wystarczyło na nią spojrzeć, a właściwie na tę brodawkę, żeby się przekonać z którą siostrą się rozmawia. Powiedziałam jej właśnie o tym pewnego dnia, gdy się dowiedziałam, że niektórzy ludzie biorą ją za panią Peck i zaznaczyłam, że przede wszystkim powinno się patrzeć na tę brodawkę na nosie. Wtedy pani Jones strasznie się na mnie rozgniewała, to znaczy była niezadowolona, chociaż ja osobiście nie wiem dlaczego. Uważam, że powinna być raczej zadowolona, że jest coś takiego, dzięki czemu można ją poznać. Później słyszałam, jak pani White opowiadała pani Rawson, że pani Jones stara się pozbyć tej brodawki i że robi wszystko, nawet sypie ptakowi sól na ogon. Ciociu Polly, czy sypanie ptakowi soli na ogon usuwa brodawki z ludzkich nosów?

— Oczywiście, że nie, moje dziecko! Jakżeś ty się zmieniła, Pollyanno, od czasu, gdyś wyszła z pod opieki tych pań dobroczynnych!

— Naprawdę, ciociu Polly? — zapytała dziewczynka z przerażeniem. — A czy ci to sprawia przykrość? Bo ja naprawdę nie chciałabym ci robić przykrości, ciociu Polly. W każdym razie, jeżeli sprawiam ci przykrość mówiąc o tych paniach, to powinnaś być zadowolona, bo zawsze myślę o nich w ten sposób, że jestem szczęśliwa, że dłużej już nie opiekują się mną i że znalazłam wreszcie moją własną rodzoną ciocię. Jesteś chyba zadowolona, prawda, ciociu Polly?

— Tak, tak, kochanie, oczywiście, że jestem, —

zaśmiała się pani Chilton, wstając aby wyjść z pokoju i czując się nagle winną tego, że niejednokrotnie denerwowało ją to wieczne zadowolenie Pollyanny.

Podczas następnych kilku dni, gdy listy w sprawie zimowego pobytu Pollyannny w Bostonie wędrowały tam i z powrotem, Pollyanna przygotowywała się do wyjazdu w ten sposób, że niezmordowanie składała wizyty swym licznym przyjaciołom w Beldingsville.

Każdy niemal w małej wiosce Vermont znał teraz Pollyannę i prawie każdy przyjmował udział w jej grze. Ci, którzy udziału nie przyjmowali, nie byli winni, bowiem nie zdawali sobie sprawy, czym właściwie była „gra w zadowolenie". Tak więc z domu do domu obnosiła Pollyanna wiadomość, że wyjeżdża do Bostonu na całą zimę. Wszyscy wyrażali żal z tego powodu począwszy od Nancy, królującej w kuchni ciotki Polly, aż do właściciela obszernego domu na wzgórku, pana Johna Pendletona.

Nancy nie zawaha się wyznać szczerze wszystkim, z wyjątkiem swej chlebodawczyni, że uważa tę wycieczkę do Bostonu za wariactwo i że ona ze swej strony wolałaby zabrać ze sobą pannę Pollyannę do swych rodziców, mieszkających w Corners. Wówczas pani Polly mogłaby spokojnie pojechać do Niemiec.

Zamieszkujący na wzgórku John Pendleton powiedział właściwie to samo, tylko nie zawahał się wyznać tego szczerze również i pani Chilton. Co do Jimmy, dwunastoletniego chłopca, którego John Pendleton przyjął do swego domu dzięki Pollyannie i którego adoptował (już z własnej woli), co do

Jimmy, to ten był poprostu oburzony i wcale tego nie ukrywał.

— Ale przecież dopiero przyjechałaś, — czynił wymówki Pollyannie takim dziwnym tonem, jakim mówi każdy mały chłopiec, gdy chce usilnie ukryć to, co dzieje się w jego sercu.

— Jakto, jestem tu już od marca, a zresztą nie mam zamiaru zostać tam na stałe. Będę tylko przez zimę.

— Mniejsza o to. Nie było cię przez cały rok prawie i gdybym przypuszczał, że zaraz znowu wyjedziesz, napewnobym nie organizował tego przyjęcia dla ciebie ze sztandarami i z orkiestrą, jak wracałaś z lecznicy.

— Ależ, Jimmy Bean! — zawołała Pollyanna zaskoczona, poczem tonem zranionej dumy, zauważyła: — Przecież cię nie prosiłam o to, żebyś mnie witał tak uroczyście, a jeżeli chodzi o ścisłość, toś znowu zrobił dwa błędy w jednym zdaniu. Te wszystkie zdania, które budujesz, brzmią nieprawidłowo.

— Co to kogo obchodzi?

Oczy Pollyanny zabłysły teraz gniewem.

— Powiedziałeś, że ciebie samego to obchodzi, jak mnie prosiłeś tego lata, żebym poprawiała wszystkie twoje błędy, bo pan Pendleton pragnie, abyś mówił poprawnie.

— Gdybyś była wychowana w przytułku i nie miała nikogo, kto o ciebie dba, napewno też robiłabyś stale błędy i jeszcze gorsze ode mnie, Pollyanno Whittier!

— Jakto, Jimmy Bean! — zapaliła się Pollyan-

na. — Ja też byłam wychowywana prawie w przytułku, a jednak...

— Przede wszystkim już nie jestem żaden Jimmy Bean, — przerwał jej chłopak, podnosząc z dumą głowę do góry.

— Nie jesteś... Jakto, Jimmy Be... Co to znaczy? — zdziwiła się dziewczynka.

— Zostałem legalnie zaadoptowany. Pan Pendleton powiada, że miał ten zamiar już od dawna, tylko jakoś się wszystko nie składało. Teraz nareszcie to zrobił. Nazywam się Jimmy Pendleton, a pana Pendletona nazywam „wujem Johnem", tylko się jeszcze jakoś do tego nie przyzwyczaiłem i właściwie nie zacząłem go jeszcze tak nazywać.

Chłopak mówił ciągle gniewnie i z wielką dumą, a z twarzyczki Pollyanny zniknął bezpowrotnie po tych słowach wyraz niezadowolenia. Po chwili klasnęła radośnie w dłonie.

— Ach, jak cudownie! Teraz nareszcie masz kogoś, kto o ciebie dba. I nie potrzebujesz się przed nikim tłomaczyć, bo nosisz nawet nazwisko pana Pendletona. Nie masz pojęcia, jak się cieszę.

Chłopiec wstał nagle z kamiennego murku, na którym obydwoje siedzieli i szybko się oddalił. Policzki miał rozpalone, a w oczach piekły go łzy. Przecież to wszystko zawdzięczał Pollyannie, to wielkie dobro, które go spotkało i zdawał sobie z tego dobrze sprawę. I to, co mówił, też było dzięki Pollyannie...

Cisnął małym kamykiem zawzięcie, potem drugim i trzecim. Miał wrażenie, że te gorące łzy nie pomieszczą się w oczach i spłyną mu po policzkach wbrew jego woli. Podniósł jeszcze jeden kamień

i cisnął nim z całych sił. Po dłuższej chwili przybiegł z powrotem do Pollyanny, która ciągle jeszcze siedziała na kamiennym murku.

— Załóżmy się, że dobiegnę do tej sosny prędzej od ciebie, — zawołał wyzywająco.

— Możemy się założyć, — odpowiedziała Pollyanna, podnosząc się z miejsca.

Wyścigi się jednak nie udały, bo Pollyanna przypomniała sobie w porę, że lekarze zabronili jej biegać. Ale Jimmy nie zważał już na to. Policzki mu już nie pałały i do oczu przestały napływać łzy. Jimmy teraz był znowu sobą.

ROZDZIAŁ III.

Darka Pollyanny.

Gdy zbliżał się ósmy września — dzień przybycia Pollyanny — pani Ruta Carew stawała się co raz bardziej zdenerwowana i podniecona. Zaznaczała wszystkim, że żałuje danej siostrze obietnicy przyjęcia do siebie dziecka i żałuje tego właściwie od pierwszej chwili. Istotnie, nim jeszcze minęło dwadzieścia cztery godziny od wyrażenia zgody, napisała do siostry, żądając od niej zwolnienia z danego tak nieopatrznie słowa, Della jednak odpowiedziała, że niestety, jest za późno, gdyż zarówno ona, jak i dr. Ames napisali już do państwa Chilton.

Wkrótce potem przyszedł drugi list od Delli, w którym komunikowała, że pani Chilton wyraziła swą zgodę i że w najbliższych dniach przybędzie

do Bostonu, aby pozałatwiać najważniejsze sprawy, związane ze szkołą i temu podobne. Nie pozostawało więc nic innego, tylko czekać cierpliwie i zdać się na łaskę losu. Pani Carew orientowała się w tym, zrezygnowana, lecz niechętna. Usiłowała być nawet uprzejma, gdy Della i pani Chilton zjawiły się z zapowiedzianą wizytą, a jednocześnie zadowolona była, że nie musi pani Chilton dotrzymywać towarzystwa, bowiem ciotka Pollyanny, podczas krótkiego pobytu w Bostonie miała mnóstwo spraw do załatwienia.

Całe szczęście, że przybycie Pollyanny miało nastąpić nie później niż ósmego września, bo pani Carew miała chociaż niezbyt wiele czasu na zastanawianie się nad owym „szaleńczym pomysłem tej zwarjowanej Delli".

Nie trzeba przypuszczać, że Della nie zdawała sobie sprawy ze stanu, w jakim znajdowała się jej siostra. Jeżeli pozornie patrzyła na wszystko z najzupełniejszym spokojem, to w głębi duszy lękała się dalszych następstw. Wierzyła tylko w Pollyannę i to jej dawało pewność, że dziewczynka zdoła zaskarbić sobie serce pani Carew. Właśnie z tego względu urządziła wszystko w ten sposób, że pani Carew miała wyjść po nią i po Pollyannę na dworzec, jednak po przedstawieniu dziewczynki i po pierwszych powitaniach, pod jakimś pierwszym lepszym pretekstem oddaliła się śpiesznie. Pani Carew zdążyła zaledwie spojrzeć na swą nową pupilkę, gdy nagle zorientowała się, że została sama z dzieckiem.

— Ach, Dello, Dello, nie odchodź, przecież ja nie mogę... — zawołała w podnieceniu, spoglądając roz-

paczliwym wzrokiem za znikającą w oddali postacią młodej pielęgniarki.

Lecz Della, jeżeli nawet słyszała, nie zwracała na te wołania uwagi i pani Carew zagniewana, rada nie rada, zwróciła się do dziewczynki, stojącej tuż przy niej.

— Jakie to okropne! Nie słyszała, prawda? — zapytała Pollyanna, śledząc również zrozpaczonym wzrokiem oddalającą się pannę Wetherby. — I ja nie chciałam, żeby nas tu zostawiła. Ale w każdym razie mam chociaż panią, prawda? Powinnam być z tego zadowolona.

— O tak, masz mnie, a ja mam ciebie, — odparła pani Carew niezbyt łaskawym głosem. — Chodź, pójdziemy tędy, — rozkazała, kierując się na prawo.

Pollyanna posłusznie skierowała się w tę stronę, drepcząc przy boku pani Carew obszernym peronem. Od czasu do czasu tylko spoglądała niespokojnie w twarz swej opiekunki pozbawioną uśmiechu. Wreszcie odezwała się wahająco:

— Obawiam się, iż pani myślała, że ja jestem ładna, — wyszeptała te słowa zmartwionym głosem.

— Ładna? — powtórzyła pani Carew.

— Tak, że mam loki i że wogóle mam inną twarz. Na pewno zastanawiała się pani, jak ja właściwie wyglądam, tak samo, jak ja się nad tym zastanawiałam. Tylko, że ja odrazu wyobrażałam sobie panią taką ładną i sympatyczną, bo znałam przecież pani siostrę. Mogłam mieć chociaż jakieśkolwiek pojęcie o pani, a pani o mnie nie miała żadnego. Ja oczywiście ładna nie jestem, chociażby z powodu

tych piegów, więc pani musi być przykro, jak pani mnie zobaczyła, wówczas gdy spodziewała się pani ujrzeć ładną dziewczynkę, zresztą...

— Głupstwa pleciesz, moje dziecko! — przerwała ostro pani Carew. — Chodź, dowiemy się teraz o twój bagaż i pojedziemy do domu. Miałam nadzieję, że siostra moja pojedzie z nami, lecz najwidoczniej nie miała czasu; nawet dzisiejszy wieczór miała zajęty.

Pollyanna uśmiechnęła się i skinęła główką.

— Tak, ale chyba rzeczywiście nie mogła. Przypuszczam, że tam komuś była potrzebna. Zawsze jest komuś potrzebną w lecznicy. To bardzo męczy, jak wiecznie człowiek potrzebny jest ludziom, prawda? Bo nigdy dla siebie nie ma się ani chwili czasu. Ale z drugiej strony przyjemnie jest być komuś potrzebnym, prawda?

Nie było odpowiedzi, może dlatego, że pani Carew zastanawiała się nad tym, czy istnieje ktoś taki na świecie, komuby ona rzeczywiście była potrzebna, nie dlatego, że pragnęła, aby ktoś tę potrzebę odczuwał, lecz po raz pierwszy dopiero przyszło jej to na myśl. Najwyraźniej była zagniewana i niechętnie spoglądała na dziecko, drepczące przy swoim boku.

Pollyanna nie widziała tej chmury na obliczu swej nowej opiekunki. Oczy Pollyanny błądziły dookoła, pełne radości i zaciekawienia.

— Mój Boże, jak tu dużo ludzi, — dziwiła się co raz bardziej. — Więcej nawet niż było wówczas, gdy ostatni raz przebywałam w Bostonie. Ale nie widziałam jeszcze nikogo ze znajomych.. Oczywiście ta pani z małym dzieckiem mieszka w Honolu-

lu, więc napewno tutaj jej nie ma, ale ciekawe, czy Zusia Smith będzie na dworcu, bo mieszka stale w Bostonie. Może ją pani zna? Zna pani Zuzię Smith?

— Nie, nie znam Zuzi Smith, — odpowiedziała sucho pani Carew.

— Nie zna pani? Ach, ona jest szalenie miła i bardzo ładna — ma takie piękne czarne loki. Jabym chciała mieć takie, jak pójdę do nieba. Ale mniejsza o to. Możliwe, że ją spotkam, bo bardzobym chciała, żeby pani ją poznała. O Boże! Jakie to cudowne auto! Więc tym autem teraz pojedziemy? — zawołała nagle, gdy przystanęły przed wspaniałą limuzyną, której drzwiczki otwierał teraz szofer w liberii.

Szofer usiłował ukryć uśmiech, lecz mu się to nie bardzo udawało. Pani Carew odpowiedziała takim tonem, jakby auto było dla niej rzeczą całkiem obojętną i stanowiło tylko pewną lokomocję, dzięki której mogła się przenosić swobodnie z jednego miejsca na drugie.

— O, Boże, więc to pani auto? — zapytała Pollyanna, orientując się nagle, gdy spojrzała na swą opiekunkę. — Jakież ono cudowne! Więc pani musi być bogata — strasznie — chciałam powiedzieć bardzo bogata, bogatsza nawet od tych ludzi, którzy mają dywany w każdym pokoju i jedzą w niedzielę lody, jak White'owie — jedna z tych pań w Towarzystwie Dobroczynnym. Zawsze przypuszczałam, że są bogaci, lecz nie wiedziałam, że bogaty człowiek, to taki, który ma brylantowe pierścionki, duzo służby, futer, suknie jedwabne

i aksamitne na codzień i do tego samochód. Czy pani ma to wszystko?

— Owszem, tak, przypuszczam, że mam, — przyznała pani Carew z bladym uśmiechem.

— To naprawdę pani jest bardzo bogata, — Pollyanna skinęła rezolutnie główką. — Moja ciotka Polly też ma to wszystko, tylko zamiast auta ma konie. O Boże, jak ja lubię jeździć samochodem, — zachwycała się Pollyanna z radosnym uśmiechem. — Właściwie dotychczas nigdy nie jechałam, tylko raz mnie samochód przejechał. Później wzięli mnie do tego samochodu, jak mnie z pod niego wydobyli, ale oczywiście byłam nieprzytomna, więc nie mogłam się nawet cieszyć. Od tego czasu nigdy już więcej nie jeździłam. Ciotka Polly nie lubi samochodów. Wuj Tom bardzo lubi i nawet chciałby sobie kupić auto. Powiada, że jest mu ogromnie do pracy potrzebne. Jest lekarzem, jak pani wiadomo, a wszyscy inni lekarze w naszym mieście mają już samochody. Nie wiem, jak to będzie z tym autem, bo ciotka Polly jest strasznie uparta. Pragnęłaby bardzo, aby wuj miał to, czego chce, tylko chciałaby, żeby pragnął zawsze tego samego, czego ona pragnie. Rozumie pani?

Pani Carew zaśmiała się nagle.

— Tak, moja droga, sądzę, że rozumiem — odparła sztywno, chociaż w oczach jej ciągle jeszcze błyskały figlarne, tak rzadkie u niej ogniki.

— Oczywiście, — westchnęła z zadowoleniem Pollyanna. — Wiedziałam, że pani zrozumie, chociaż mnie nie każdy zrozumieć potrafi. Ciotka Polly powiada, że nie chciałaby mieć auta nawet wówczas, gdyby to jej auto było jedyne na świecie i gdy-

by nie miała już obawy, że ją może przejechać. O Boże! Jakie mnóstwo domów! — przerwała nagle, rozglądając się zdziwionymi oczami. — Czyż te domy nigdy się nie skończą? Naturalnie, musi ich być tak dużo, żeby ci wszyscy ludzie, których widziałam na dworcu i tu na ulicach mieli gdzie mieszkać. Tam, gdzie jest dużo ludzi, musi być i dużo domów. Bardzo lubię ludzi, a pani?

— Lubisz ludzi?

— No tak, ludzi. To znaczy lubię każdego, wszystkich.

— Jabym tego o sobie powiedzieć nie mogła, Pollyanno, — rzekła pani Carew chłodno, marszcząc brwi.

W oczach pani Carew nie było już tych ogników. Spojrzenie jej zwrócone teraz było podejrzliwie w stronę Pollyanny. Pani Carew myślała w duchu:

— A teraz będzie pierwsze kazanie, że należy przebywać wśród bliźnich, chociażby w ten sposób, jak moja siostra Della.

— Pani nie lubi? Ach, to przykre, — westchnęła Pollyanna. — Przecież ludzie są tacy mili i tacy różni, wie pani? Przecież nawet tutaj musi być bardzo dużo miłych ludzi. Jestem ogromnie zadowolona, że tutaj przyjechałam! Z góry wiedziałam, że będę zadowolona, jeżeli będę z panią, to znaczy z siostrą panny Wetherby. Bardzo lubię pannę Wertherby i dlatego wiedziałam odrazu, że i panią będę lubić. Wiedziałam, że pani musi być podobna do niej, przecież wszystkie siostry są do siebie podobne tak samo, jak pani Jones i pani Peck, chociaż później już nie były tak bardzo podobne z po-

wodu tej brodawki. Ale pani nic o tem nie wie. Zaraz pani opowiem.

I tak się stało, że pani Carew, którą wszystko drażniło, a najbardziej nie lubiła dowiadywać się o obcych ludziach, ku swemu własnemu zdziwieniu wysłuchała historii o brodawce na nosie niejakiej pani Peck.

Zanim opowiadanie dobiegło do końca, limuzyna wjechała na Commonwalth Avenue i Pollyanna nagle zaczęła się zachwycać wspaniałą ulicą, na której był „taki piękny długi dziedziniec, który przecinał ją przez sam środek“, i która była o wiele ładniejsza, jak stwierdziła, „po tych wszystkich wąskich uliczkach“.

— Jestem pewna, że wszyscy chcieliby na niej mieszkać, — zawołała w pewnej chwili z entuzjazmem.

— Prawdopodobnie, ale niestety, to byłoby niemożliwe, — odpowiedziała pani Carew, marszcząc czoło.

Pollyanna, biorąc ten grymas swej opiekunki za wyraz niezadowolenia z tej przyczyny, że jej własny dom nie znajdował się na tej pięknej ulicy, pośpieszyła z zapewnieniami.

— Ale to nie ma nic do rzeczy, — uspokajała. — Nie uważam wcale, że te węższe uliczki są takie brzydkie. Może nawet wygodniejsze są pod pewnym względem, bo o wiele łatwiej przedostać się na drugą stronę, gdy się chce kupić w sklepiku jajek lub chleba... Ach, więc pani też tutaj mieszka? — zdziwiła się nagle, gdy auto przystanęło przed wspaniałą bramą domu pani Carew. — Więc pani tutaj mieszka?

— Jakto, oczywiście, że tu mieszkam, — odparła dama najwyraźniej zirytowana.

— Ach, jaka pani musi być szczęśliwa, że może pani mieszkać w tak cudownym miejscu! — zawołała dziewczynka, wyskakując na chodnik i rozglądając się gorączkowo dokoła. — Jest pani szczęśliwa?

Pani Carew nie odpowiedziała. Bez uśmiechu, ze zmarszczonymi brwiami wysiadła z limuzyny.

Po raz drugi w ciągu pięciu minut Pollyanna usiłowała ją uspokoić.

— Nie miałam tu na myśli tego, żeby pani miała być grzesznie dumna, — wyjaśniła, spoglądając w twarz pani Carew niespokojnym wzrokiem. — Może mnie pani właśnie o to posądzała, jak czasami posądza mnie o taki grzech ciotka Polly. Brzydko jest być zadowolonym z posiadania czegoś, czego inni nie mają, ale przyjemnie odczuwać tego rodzaju zadowolenie, kiedy się chce krzyczeć i zawiadamiać cały świat o tym, że się ma coś bardzo miłego, — dodała, podskakując na palcach.

Szofer odwrócił się pośpiesznie, udając, że zajęty jest czymś wewnątrz auta. Pani Carew ciągle jeszcze bez uśmiechu, z nachmurzoną twarzą, skierowała się w stronę szerokich kamiennych schodów.

— Chodź, Pollyanno, — rozkazała krótko i stanowczo.

*

W pięć dni później Della Wetherby otrzymała list od siostry i z niecierpliwością otworzyła kopertę. Była to pierwsza wiadomość, jaka nadeszła od przyjazdu Pollyanny do Bostonu.

„Moja droga siostrzyczko“, pisała pani Carew. „Na miłość boską, Dello, dlaczego nie uprzedziłaś mnie, czego mogę się spodziewać od dziecka, które pod twoją presją przyjęłam do swego domu? Zaczynam poprostu szaleć, a nie mogę jej przecież pozbyć się tak bez powodu. Próbowałam już trzykrotnie, lecz za każdym razem, nim zdążę wypowiedzieć słowo, ta mała zawsze mi przerywa, zachwycając się swoją obecną sytuacją, opowiadając, jak jej u mnie dobrze, jaka jest zadowolona i jaka ja jestem dobra, że pozwoliłam jej przyjechać do siebie na ten czas, kiedy jej ciotka Polly przebywa w Niemczech. Powiedz sama, czy mogę w takim wypadku wyjawić jej to, co myślę? Czy mogę powiedzieć jej: „Proszę cię, możebyś pojechała do domu, bo mnie jesteś niepotrzebna“. Najstraszniejsze jest to, że temu dziecku nawet na chwilę nie przyjdzie do głowy, że goszczę ją u siebie z taką niechęcią, a ja jej tej myśli wcale nie podsuwam.

„Oczywiście, gdyby zaczęła mi prawić jakieś kazania na temat moich grzechów, z pewnością odesłałabym ją natychmiast. Zapowiedziałam Ci na samym początku, że kazań jej nie zniosę i nie zniosłabym napewno. Już kilkakrotnie miałam wrażenie, że właśnie jakieś kazania się rozpoczną, lecz zazwyczaj w takich sytuacjach zaczyna mi w najniewinniejszy sposób opowiadać o Paniach Dobroczynnych. Mądrze robi, jeżeli chce dłużej tutaj zostać.

„Ale naprawdę, Dello, ona jest niemożliwa. Przede wszystkim w dziki sposób zachwyca się moim domem. Zaraz pierwszego dnia po przyjeździe zaczęła mnie błagać, żebym jej otworzyła wszystkie pokoje i zadowolona była dopiero wówczas, gdy mogła swobodnie obejrzeć „te wszystkie przecudne rzeczy", które, jak twierdzi, są o wiele ładniejsze od tego, co widziała u pana Johna Pendletona — najwidoczniej musi to być ktoś, kto mieszka w Beldingsville. W każdym razie nie należy on do Towarzystwa Dobroczynnego, co do tego upewniłam się dokładnie.

„Poza tym nie wystarcza jej bieganie z pokoju do pokoju, bo oto wczoraj znalazła gdzieś moją białą wieczorową suknię, której od wielu lat nie nosiłam, przybiegła do mnie i zaczęła mnie prosić, abym ją włożyła. Włożyłam suknię oczywiście, sama nie wiem dlaczego, ale po prostu jestem bezradna w jej obecności.

„Ale to był dopiero początek. Później chciała zobaczyć wszystko, co mam i była taka zabawna, jak zaczęła opowiadać o swym życiu w Towarzystwie dobroczynnym, że mimo woli musiałam się śmiać, chociaż w zasadzie powinnam była płakać na samą myśl o tym, jakie to dziecko jednak było biedne. Oczywiście po obejrzeniu sukien przeszła do biżuterii i taka była oczarowana moimi trzema pierścionkami, że zgłupiałam do reszty i otworzyłam kasetkę, żeby się mogła nasycić

widokiem klejnotów. Wiesz, Dello, myślałam, że to dziecko zwariuje. Ubierała mnie w każdy pierścionek z oddzielna, w każdą broszkę, bransoletkę i naszyjnik i chciała nawet włożyć mi na głowę brylantowy diadem, przystrojony perłami i szmaragdami. W końcu zgodziłam się i na to i czułam się jak jakaś z bogini w hinduskiej świątyni. Na domiar wszystkiego Pollyanna zaczęła tańczyć dokoła mnie, klaszcząc w ręce i wyśpiewując: „Ach, jak cudownie, jak cudownie! Mogłaby pani teraz siedzieć na wystawie u jubilera!“

„Miałam zamiar już zdjąć te wszystkie świecidełka z siebie, gdy nagle Pollyanna rzuciła się na podłogę i zaczęła płakać. Jak przypuszczasz, dlaczego płakała? Płakała dlatego, że radowała się, iż posiada oczy, którymi może widzieć! Co teraz powiesz na to?

„Oczywiście to jeszcze nie wszystko. To dopiero początek. Pollyanna jest u mnie dopiero cztery dni i ani chwilki nie ma wolnego czasu. Zaprzyjaźniła się już ze wszystkimi. Najlepszymi jej przyjaciółmi są: kominiarz, policjant z rogu i mały gazeciarz, nie mówiąc już o mojej własnej służbie. A musisz wiedzieć, że służba jest nią zachwycona. Nie myśl tylko, że i ja podzielam ten zachwyt. Chętnie odesłałabym tę małą z powrotem do Ciebie, gdyby nie to, że obiecałam zatrzymać ją przez całą zimę. Jeżeli sądzisz, że przy niej zdołam zapomnieć o moim

Jamie, to zaręczam Ci, że to niemożliwe. Właśnie w jej obecności odczuwam jeszcze dotkliwiej moją wielką stratę, dlatego, że mam ją zamiast niego. Ale powiadam Ci, że zatrzymam ją, dopóki mi się zbytnio nie naprzykrzy. Jak zacznie mi prawić kazania, pojedzie natychmiast, tymczasem jednak jeszcze się na to nie zdobyła.

„Całuję Cię mocno, Twoja

„Ruta“.

— Jeszcze się na to nie zdobyła! — uśmiechnęła się do siebie Della Wertherby, składając list siostry i chowając go do kieszeni. — Ach, Rutko, Rutko! Więc sama przyznajesz się, że otworzyłaś dla niej wszystkie pokoje, żeś się ubrała w białą jedwabną suknię i w klejnoty, a przecież Pollyanna jest u ciebie dopiero niecały tydzień. Ale kazań jeszcze prawić nie zaczęła i jestem pewna, że nie zacznie!

ROZDZIAŁ IV.

Pani Carew i „gra w zadowolenie“.

Boston dla Pollyanny był czymś całkiem nowym i prawdopodobnie Pollyanna dla Bostonu — w kręgu małego światka, w którym się obracała — była też całkiem niepowszednim typem.

Twierdziła, że jej się Boston podoba, lecz wolałaby, żeby był nieco mniejszy.

— Bo widzi pani, — tłumaczyła poważnie pani Carew, nazajutrz po przyjeździe — chciałabym go

cały poznać i wszystko w nim zobaczyć, a nie będę mogła. To zupełnie jak z tymi proszonymi obiadami u ciotki Polly. Zawsze jest tak dużo do jedzenia — chciałam powiedzieć do patrzenia — że nie można nie jeść, — to znaczy nic zobaczyć — i trudno się zdecydować, co właściwie należałoby wybrać.

— Oczywiście należy być zadowolonym, że jest tego wszystkiego takie mnóstwo, — rozumowała po chwili, zaczerpnąwszy w piersi powietrza, — bo wszystko, co się widzi jest piękne, wszystko jest dobre, nie takie, jak lekarstwa albo pogrzeby! Ale z drugiej strony wolałabym, żeby proszone obiady u ciotki Polly były podzielone na kilka dni, nawet na takie dni, kiedy na zwykły obiad nie ma deseru. Tak samo uważam, jak myślę o Bostonie. Chciałabym część Bostonu zabrać ze sobą do Beldingsville, ażeby pozostało mi coś na przyszłe lato. Oczywiście, to jest niemożliwe. Miasta nie są takie, jak mrożone ciastka, chociaż i ciastka zbyt długo się nie trzymają. Chciałby je człowiek przechować, a tu się wszystko rozpuszcza i psuje. Lepiej już zjeść wtedy, jak są świeże, więc lepiej chyba będzie, jak obejrzę Boston, dopóki jestem tutaj.

Zupełnie inaczej niż wszyscy ludzie, którzy uważają, że świat należy zwiedzać od najdalszego jego krańca, Pollyanna zaczęła „oglądać Boston“, rozpoczynając od najbliższego otoczenia, to znaczy od pięknej rezydencji na Commonwealth Avenue, która była teraz jej domem. Oglądanie to oraz praca w szkole pochłaniały cały jej czas i uwagę przez dobrych kilka dni.

Tyle było do widzenia i tyle do nauczenia się,

a wszystko było takie piękne, takie zadziwiające, począwszy od małych guziczków w ścianie, dzięki którym w pokoju robiło się widno, aż do wielkiej zacisznej sali balowej, w której wisiało mnóstwo luster i obrazów. Poza tym tyle ciekawych ludzi należało poznać, bo przecież oprócz pani Carew, była jeszcze Mary, która sprzątała pokoje, zjawiała się na każdy dzwonek i odprowadzała Pollyannę do szkoły i z powrotem do domu, była Bridget, która mieszkała w kuchni i gotowała, była Jennie, która usługiwała przy stole i Perkins, który prowadził samochód. A wszyscy oni byli tacy inni i tacy sympatyczni!

Pollyanna przyjechała w poniedziałek, więc prawie cały tydzień miała jeszcze przed sobą do pierwszej niedzieli. W niedzielę rano zeszła na dół w najlepszym ze swoich humorów.

— Strasznie kocham niedzielę, — westchnęła z zadowoleniem.

— Istotnie? — głos pani Carew był dziwnie matowy, bo ona przecież żadnego dnia nie darzyła specjalną sympatią.

— Tak, ze względu na kościół i na szkołę niedzielną. Co pani woli, kościół, czy niedzielną szkołę?

— Naprawdę, ja... — zaczęła pani Carew, która rzadko chodziła do kościoła, a do szkoły niedzielnej nie uczęszczała nigdy.

— Trudny jest wybór, prawda? — przerwała Pollyanna, patrząc na nią bardzo poważnymi i barzo błyszczącymi oczami. — Ale ja właściwie wolę kościół ze względu na tatusia. Wie pani o tym, że mój tatuś był pastorem, a teraz na pewno jest w nie-

bie razem z mamusią i resztą mego rodzeństwa, ale ja sobie prawie zawsze wyobrażam, że jest tutaj na ziemi i łatwiej mi sobie to wyobrazić w kościele, gdy ksiądz mówi kazanie. Wtedy zamykam oczy i wyobrażam sobie, że to mój tatuś mówi i to mi bardzo pomaga. Strasznie jestem zadowolona, że mogę sobie rozmaite rzeczy wyobrażać, a pani?

— Nie jestem taka pewna, Pollyanno.

— Ach, niech pani tylko pomyśli o ile piękniejsze są te rzeczy, które sobie wyobrażamy, niż te prawdziwe — oczywiście, może pani prawdziwe rzeczy piękniejsze są od tych, które ja sobie wyobrażam.

Pani Carew poruszyła gniewnie głową, pragnąc coś powiedzieć, lecz Pollyanna pośpiesznie szczebiotała dalej.

— Chociaż i moje rzeczy prawdziwe są nieraz bardzo piękne. Ale przez cały ten czas, jak byłam chora, jak nie mogłam chodzić, zawsze sobie coś wyobrażałam i było mi o wiele przyjemniej. A i teraz często wyobrażam sobie coś, naprzykład tatusia i inne rozmaite rzeczy. Nawet i dzisiaj będę sobie wyobrażała, że to tatuś stoi na ambonie. A o której pójdziemy?

— Pójdziemy?

— No tak, do kościoła.

— Ależ, Pollyanno, ja nie... to znaczy, ja właściwie... — pani Carew chrząknęła, pragnąc wytłumaczyć Pollyannie, że wogóle nie ma zamiaru pójść do kościoła, bo w zasadzie nigdy do kościoła nie chodzi, lecz widząc przed sobą poważną twarzyczkę dziewczynki i jej pełne radości oczy, nie mogła się jakoś zdobyć na te słowa.

— Przypuszczam, że pójdziemy po dziesiątej, — rzekła po chwili, pałając gniewem. — Do kościoła mamy bardzo nie daleko.

I to było przyczyną, dla której pani Carew owego pogodnego wrześniowego ranka zasiadła po raz pierwszy od wielu miesięcy w ławce rodziny Carew, w bardzo nowoczesnym i bogatym kościele, do którego przychodziła będąc małą dziewczynką i który w późniejszych latach całkiem świadomie omijała.

Dla Pollyanny to niedzielne poranne nabożeństwo było przeżyciem całkiem niezwykłym. Wspaniały śpiew na chórze, blask słoneczny przenikający przez cudowne witraże okien, opanowany głos kaznodziei, i słowa modlitwy powtarzane przez tłum wiernych, pozostawiły w jej pamięci wrażenie niezatarte. Dopiero, gdy zbliżały się do domu, Pollyanna ośmieliła się odezwać.

— Ach, proszę pani, właśnie myślałam o tym, jaka jestem zadowolona, że jeszcze kiedyś znowu będę na takim nabożeństwie.

Pani Carew zmarszczyła brwi i spojrzała ostro na małą. Pani Carew nie była w najlepszym humorze. Wygłoszonego przez księdza kazania nie słuchała zupełnie i nie przeniknęło ono do jej świadomości tak, jak przenikało do świadomości dziecka. A poza tym ta dziwna teoria małej przypominała jej śmieszne doktryny siostry Delli. Czyż Della nie powtarzała zawsze: „Życie jest jedną chwilą, a ty, Rutko, nie potrafisz z tej chwili skorzystać!“

— No i co? — zapytała pani Carew, jakby od niechcenia.

— Zastanawiam się tylko nad tym, co by było, gdybym musiała przeżyć wczoraj, dziś i jutro odrazu, — westchnęła Pollyanna. — Przecież byłoby to takie mnóstwo pięknych rzeczy. Ale miałam to wszystko wczoraj, żyję dzisiaj i mam przed sobą jutro, a później przyszłą niedzielę. Naprawdę, proszę pani, gdyby to nie była niedziela i gdybyśmy nie były teraz na ulicy, musiałabym tańczyć i śpiewać z radości. Taka już jestem, że nie umiem się opanować. Ale ponieważ jest niedziela, więc zaczekam, aż będziemy w domu i wtedy dopiero zaśpiewam sobie hymn, ten hymn najradośniejszy, jaki sobie mogę przypomnieć. Jaki jest najradośniejszy hymn? Czy pani wie?

— Nie, nie wiem, — odpowiedziała pani Carew cicho, rozglądając się dokoła, jakby szukała czegoś, co straciła.

W poniedziałek, nazajutrz rano, Pollyanna poszła do szkoły po raz pierwszy zupełnie sama. Znała już drogę doskonale, a do szkoły było bardzo nie daleko. Pollyanna ogromnie lubiła szkołę. Szkoła, do której uczęszczała, była małą prywatną szkółką dla dziewcząt, a dla Pollyanny była w swoim rodzaju także zupełnie czymś nowym. Trzeba pamiętać o tym, że Pollyanna lubiła rzeczy nieznane i pełne emocji.

Pani Carew jednak nie lubiła ciekawych przygód, ani doświadczeń, a ostatnimi dniami zaznała ich mnóstwo. Dla kogoś, kto jest już wszystkim zmęczony, kogo męczy stałe towarzystwo czyjejś osoby, drażniąca jest czyjaś radość i wszystko dokoła staje się irytujące. Pani Carew była więcej niż zirytowana. Ogarniała ją po prostu pasja. Jednak

w głębi duszy sama nie znała przyczyny i gdyby ją ktoś zapytał, dlaczego jest zdenerwowana, jedyny powód, jaki potrafiłaby podać, brzmiałby: „Dlatego, że Pollyanna jest taka zadowolona". Ale nawet samej pani Carew przyczyna ta wydawała się nieistotna.

Do Delli jednak pani Carew napisała, że wyraz „zadowolenie" gra jej już na nerwach i że chwilami odczuwa pragnienie, aby tego wyrazu mogła więcej nie słyszeć. Przyznawała jednak, że Pollyanna ani razu nie próbowała wygłaszać jej kazania i nie usiłowała również wciągać jej do swojej sławetnej gry. To wszystko wszakże, co dziewczynka robiła, było wyraźnym usiłowaniem podzielenia się z panią Carew uczuciem „zadowolenia", a dla osoby, która nigdy zadowolona nie była, wysiłki dziecka sprawiały wrażenie prowokacji.

Podczas następnego tygodnia pobytu Pollyanny zirytowanie pani Carew przeistoczyło się w pełną zniecierpliwienia pasję. Główną przyczyną tego było ustawiczne opowiadanie Pollyanny rozmaitych epizodów z życia Pań Dobroczynnych.

— Ale później już grały ze mną w „zadowolenie", proszę pani. Chociaż pani pewno tej gry nie zna. Muszę pani wytłumaczyć. Strasznie przyjemna jest ta gra.

Lecz pani Carew podniosła w górę ręce, jakby się chciała bronić.

— Daj spokój, Pollyanno, — zawołała. — Znam doskonale tę grę. Siostra opowiadała mi o niej i muszę przyznać, że... że nic mnie ona nie obchodzi.

— Dlaczegóż to, proszę pani? — zdziwiła się Pollyanna, a po chwili już pragnęła się usprawie-

dliwić. — Przecież ja wcale nie myślałam o tej grze dla pani, bo pani i tak nie mogłaby w nią grać.

— Nie mogłabym w nią grać! — zawołała pani Carew, która, aczkolwiek nie miała ochoty na tę głupią grę, nie mogła znieść tego, że ktoś śmiał podejrzewać, iż cośkolwiek w życiu było dla niej niemożliwe.

— Jakto, a pani nie uważa? — zaśmiała się radośnie Pollyanna. — Gra polega na tym, że należy znaleźć we wszystkim coś takiego, z czego możnaby było być zadowolonym. Przecież pani do tego się zupełnie nie nadaje, bo nie ma takiej rzeczy na świecie, z którejby pani była zadowolona. Jednym słowem ta gra jest nie dla pani? Czy nie mam racji?

Pani Carew zarumieniła się gniewnie. W swym oburzeniu powiedziała więcej, niż zamierzała powiedzieć.

— Wcale tak nie sądzę, Pollyanno, — odezwała się chłodno. — Tak się już jakoś układa, widzisz, że nie mogę znaleźć nic takiego, coby mi dało zadowolenie.

Pollyanna przez chwilę milczała w głębokiej zadumnie, po czym odrzuciła w tył główkę ze zdziwieniem.

— A dlaczego, proszę pani? — ośmieliła się zapytać.

— Bo czyż istnieje dla mnie coś takiego? — wyszeptała pani Carew, zapominając na chwilę o tym, że nie powinna prowokować Pollyanny do wygłaszania kazań.

— Owszem, istnieje, wszystko istnieje dla pani, — zapewniła Pollyanna jeszcze ciągle niedowie-

rzającym tonem. — Ma pani... ma pani taki piękny dom...

— W którym mogę jeść i spać, a mnie to nie wystarcza.

— Ale ma pani w tym domu tyle cudownych rzeczy, — podchwyciła znów Pollyanna.

— Te wszystkie piękne rzeczy już mi obrzydły.

— I ma pani auto, którym może pani wszędzie jeździć.

— Ale nie mam ochoty do podróży.

Pollyanna aż zachłysnęła się ze zdziwienia.

— Ale proszę pomyśleć, ilu ciekawych ludzi mogłaby pani zobaczyć!

— Nie interesują mnie ludzie, Pollyanno.

Pollyanna znowu zamyśliła się na chwilę. Wyraz smutku na jej twarzyczce pogłębił się jeszcze bardziej.

— Właściwie nie rozumiem, proszę pani, — odezwała się po chwili. — Dla tych ludzi, którzy mają samo zło, byłaby dobra moja gra, bo chodzi o to, żeby we wszystkim, co jest złe, mogli znaleźć coś przyjemnego. Ale tutaj, gdzie nie ma rzeczy złych, to naprawdę nie wiem, czy sama potrafię grać w moją grę.

Tym razem nie było odpowiedzi. Pani Carew siedziała, spoglądając uporczywie w okno. Wyraz gniewu zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca bezradnemu smutkowi. Odwróciła głowę bardzo wolno i rzekła:

— Pollyanno, myślałam, że nie będę mogła ci o tym powiedzieć, lecz teraz zdecydowałam inaczej. Pragnę ci powiedzieć, dlaczego nie istnieje dla mnie nic na świecie, coby mi mogło dać zadowole-

nie. — I opowiedziała Pollyannie historię małego Jamie, czteroletniego chłopca, który przed ośmiu laty zaginął i więcej już nigdy nie wrócił.

— I od tego czasu nigdy go pani więcej nie widziała? — zapytała szeptem Pollyanna, a w oczach jej ukazały się łzy, gdy pani Carew skończyła opowiadanie.

— Nigdy.

— Ale my go znajdziemy, proszę pani, jestem pewna, że go znajdziemy.

Pani Carew ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Niestety, to niemożliwe. Szukałam wszędzie, nawet za granicą.

— Ale przecież gdzieś musi być.

— Możliwe, że już nie żyje, Pollyanno.

Pollyanna wydała okrzyk rozpaczy.

— Ach, nie, proszę pani. Proszę tak nie mówić! Proszę sobie wyobrazić, że on żyje. To napewno pani pomoże. Z chwilą gdy wyobrazimy sobie, że żyje, będziemy mogły wyobrazić sobie także, że go znajdziemy, a wówczas to nam bardzo pomoże.

— Ja się jednak lękam, że on nie żyje, Pollyanno, — jęknęła pani Carew.

— Ale pani napewno nie wie, prawda? — pytała niespokojnie dziewczynka.

— Nie.

— Wobec tego trzeba sobie koniecznie wyobrazić, — zawołała Pollyanna z triumfem. — Jeżeli wyobraża sobie pani, że umarł, to tak samo może pani sobie wyobrazić, że żyje, a przecież to drugie będzie o wiele przyjemniejsze. Czy nie mam racji? Jestem pewna, że któregoś dnia go odnajdziemy. Jakże się cieszę, bo teraz wreszcie będzie pani mo-

gła grać w moją grę! Będzie pani w nią grała dla dobra Jamie. Będzie pani codziennie zadowolona, bo przecież każdy dzień zbliża nas do tej chwili, kiedy go odnajdziemy, pani rozumie?

Ale pani Carew nie rozumiała. Wstała ociężale z krzesła i odparła:

— Nie, nie, moje dziecko! Ty mnie nie rozumiesz, nie rozumiesz mnie absolutnie. Idź sobie teraz i poczytaj trochę, a zresztą możesz robić, co ci się podoba. Mam okropną migrenę i muszę się położyć.

Pollyanna z zasmuconą twarzyczką wolno wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ V.

Pollyanna wybiera się na spacer

Było to w drugą sobotę po południu, gdy Pollyanny wybrała się na pamiętny spacer. Dotychczas nigdy nie spacerowała sama, z wyjątkiem krótkiej drogi do szkoły i z powrotem. To, że kiedykolwiek na własną rękę zwiedzi ulice Bostonu, nie powstałoby nigdy w głowie pani Carew i dlatego też nigdy z nią na ten temat nie mówiła. W Beldingsville jednakże, szczególnie z początku, Pollyanna znajdowała wielką przyjemność w spacerowaniu po uliczkach miasteczka, zajęta poszukiwaniem nowych przyjaciół i nowych przygód.

Właśnie owej soboty po południu pani Carew powiedziała, jak zwykła mawiać często: — Idź, idź, moje dziecko. Rób, co ci się podoba. Tylko proszę cię, nie zadawaj mi dzisiaj więcej pytań!

Do tej pory Pollyana pozostawiona samej sobie, znajdowała zawsze mnóstwo ciekawych zajęć w obszernych i miłych pokojach, a poza tym miała towarzystwo w osobach Mary, Jennie, Bridget i Perkinsa. Dzisiaj jednakże Mary głowa bolała, Jennie zajęta była przymierzaniem nowego kapelusza, Bridget piekła placek z jabłkami, a Perkinsa dziewczynka nigdzie znaleźć nie mogła. Poza tym był wyjątkowo piękny wrześniowy dzień i nic wewnątrz domu nie mogło być tak urocze, jak jasne promienie słońca i świeży powiew wietrzyka na dworze. Pollyanna więc wyszła z domu i szybko zbiegła po kilkunastu szerokich kamiennych stopniach.

Przez pewien czas obserwowała w milczeniu ładnie ubranych mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy przechodzili obok domu, lub też wolniejszym krokiem kierowali się w stronę parku, do którego wchodziło się z tej samej Avenue. Potem Pollyanna uczyniła śmiałe postanowienie, ośmieliła się zejść na chodnik i poczęła się rozglądać, najprzód na prawo, potym na lewo.

Zdecydowała, że i ona właściwie mogłaby pójść na spacer. Pogoda była wyjątkowo prześliczna, a właściwie do tej pory jeszcze Pollyanna nie odbyła żadnego prawdziwego spaceru. Krótka odległość do szkoły i z powrotem zasadniczo nie wchodziła w rachubę. Trzeba przecież któregoś dnia się zdecydować. Pani Carew na pewno nie będzie się gniewała. Czyż nie powiedziała jej, że może robić, co jej się żywnie podoba, byleby nie zadawała tych ciągłych, natarczywych pytań? Pollyanna miała przed sobą całe długie popołudnie. I pomyśleć tyl-

ko, ile ciekawych rzeczy w takie popołudnie można zobaczyć. Pogoda była wyjątkowo sprzyjająca. Trzeba będzie pójść tędy . Cóż za radość i rozkosz prawdziwa. Pollyanna bez chwili wahania wolnym krokiem skierowała się w dół alei.

Patrząc w oczy spotykanych przechodniów, uśmiechała się radośnie. Była rozczarowana — broń Boże nie zdziwiona — że w odpowiedzi nikt nie obdarzył jej uśmiechem. Właściwie już przyzwyczaiła się do tego w Bostonie. Ciągle jeszcze uśmiechała się pełna nadziei, że może spotka kogoś takiego, kto i jej uśmiechem potrafi się odwzajemnić.

Dom pani Carew znajdował się na początku Commonwealth Avenue, to też w krótkim czasie Pollyanna znalazła się na samym skraju tej ulicy, postanawiając przejść na przeciwległą stronę. Tam, po przeciwnej stronie, spowity w czar słonecznej jesieni znajdował się bostoński park publiczny, który Pollyanna nazywała zawsze „dziedzińcem".

Na chwilę Pollyanna zawahała się, obejmując tęsknym wzrokiem wspaniałe drzewa i krzewy, rosnące tuż przed nią. Nie wątpiła ani na chwilę, że ten cudny ogród musiał należeć do jakiegoś bogatego pana lub pani. Raz, podczas pobytu w lecznicy dr. Amesa, zabrano ją na wizytę do pewnej pani, która mieszkała w prześlicznym domu, otoczonym takim właśnie ogrodem.

Miała teraz wielką ochotę zbliżyć się tam do tego parkanu, lecz zastanawiała się jeszcze nad tym, czy ma prawo tam wejść. Właściwie inni wchodzili tam, widziała to na własne oczy, ale mogli to być przecież zaproszeni goście. Gdy zobaczyła jednak dwie panie, jednego pana i małą dziewczynkę, mijają-

cych bez wahania bramę i idących główną aleją, doszła do wniosku, że i ona powinna się odważyć. Postanowiła spróbować, przebiegła szybko przez jezdnię i weszła do ogrodu.

Ogród był o wiele piękniejszy z bliska, niż z poprzedniej odległości. Ptaki ćwierkały nad głową Pollyanny, a wiewiórka skakała po ścieżce, jakby umykając z pod jej nóg. Na ławkach tu i tam siedzieli panowie, panie i dzieci. Po przez konary drzew przedzierał się blask słoneczny, rzucając refleks na spokojną taflę wody, a ze wszystkich stron dochodziły okrzyki dzieci i dźwięki muzyki.

Teraz po raz drugi Pollyanna zawahała się, po czym trochę nieśmiało podeszła do pięknie ubranej młodej pani, która kierowała się w stronę bramy.

— Proszę pani, czy to jest przyjęcie? — zapytała.

Młoda pani spojrzała na nią zdziwiona.

— Przyjęcie? — powtórzyła, nic nie rozumiejąc.

— Tak. To znaczy — chciałam zapytać, czy mam prawo wejść tutaj?

— Czy masz prawo wejść tutaj? Ależ oczywiście. Tu każdy może wchodzić! — wytłumaczyła młoda pani.

— Ach, doskonale. Jaka jestem szczęśliwa, że tu przyszłam, — uradowała się Pollyanna.

Młoda pani nic więcej nie rzekła, lecz odwróciła się i spojrzała za Pollyanną, gdy ta biegła już szeroką alejką.

Pollyanna nie zdziwiona zupełnie, że właściciel tego pięknego ogrodu jest tak wspaniałomyślny, że urządza przyjęcie dla wszystkich, szła ciągle odważnie przed siebie. Na zakręcie alejki natknęła

się na małą dziewczynkę, wiozącą w wózeczku lalkę. Przystanęła z radosnym okrzykiem, lecz nie powiedziała jeszcze wielu słów, gdy nagle z za jakiegoś krzewu wybiegła młoda pani śpiesznym krokiem, z niezadowoloną miną. Młoda pani chwyciła dziewczynkę za rękę i zawołała ostro:

— Gladys, Gladys, chodź zaraz do mnie. Czyż ci mama nie mówiła, żebyś nie rozmawiała z obcymi dziećmi?

— Ależ ja nie jestem obcym dzieckiem, — usprawiedliwiła się Pollyanna gorączkowo. — Mieszkam tutaj w Bostonie i... — lecz młoda pani i mała dziewczynka wraz z lalką siedzącą w wózeczku, były już bardzo daleko na ścieżce. Pollyanna, westchnąwszy głęboko, przystanęła. Przez chwilę stała spokojnie, najwyraźniej rozczarowana, po czym podniósłszy rezolutnie główkę, ruszyła dalej.

— W każdym razie powinnam być z tego zadowolona, — rzekła do siebie, — bo teraz może spotkam kogoś milszego, — może Zuzię Smith, albo nawet małego Jamie pani Carew. Muszę sobie chociaż wyobrazić, że ich spotkam, a jeżeli nie ich, to na pewno spotkam kogoś! — dorzuciła, błądząc wciąż zaciekawionym wzrokiem po twarzach mijających ją przechodniów.

Nikt temu nie zaprzeczy, że Pollyanna była samotna. Wychowana przez ojca i panie z Dobroczynnego Towarzystwa, w małym miasteczku na Zachodzie, uważała każdy dom w miasteczku za swój dom, a każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko za swych przyjaciół. Przybywszy do swej ciotki, mieszkającej w Vermont, w jedenastym roku życia, orjentowała się, że warunki zmieniły się o ty-

le, że tutaj znajdzie nowe domy i nowych przyjaciół, może o wiele milszych, bo będą w każdym razie „inni", a Pollyanna tak lubiła „inne" rzeczy i „innych" ludzi! Największą jej rozkoszą w Beldingsville było chodzenie po miasteczku i składanie wizyt tym wszystkim przyjaciołom, których niedawno poznała. Zupełnie więc naturalne, że Boston z pierwszego wejrzenia wydał się Pollyannie jeszcze bardziej obiecujący, mający możność dostarczenia jej wszelkich ciekawych atrakcyj.

Tym razem jednak Pollyanna musiała przyznać, że Boston ją rozczarował. Przebywała tutaj już prawie dwa tygodnie, a nie znała jeszcze ludzi, którzy mieszkali na tej samej ulicy, czy w najbliższym sąsiedztwie. Najdziwniejsze było to, że pani Carew także ich prawie nie znała. Okazywała właściwie zupełną obojętność stosunku do swych sąsiadów, którzy z punktu widzenia Pollyanny, byli przecież ludźmi naprawdę interesującymi i chociaż usiłowała przekonać o tym panią Carew, wszelkie jej wysiłki w tym kierunku na nic się nie zdały.

— Ludzie mnie nie interesują, Pollyanno, — odpowiadała zazwyczaj opiekunka i Pollyanna, którą ludzie bardzo interesowali — musiała się tą odpowiedzią zadowolnić.

Dzisiaj na spacerze, Pollyanna była przepełniona nadzieją, i nie liczyła absolutnie w tym wypadku na rozczarowanie. Dokoła niej znajdowali się ludzie, którzy bez wątpienia musieli być szalenie mili, gdyby ich Pollyanna mogła bliżej poznać. Ale niestety nie znała tu nikogo. Co gorsza, ludzie ci nie starali się wcale, aby ich poznała i najwidoczniej sami nie mieli najmniejszej ochoty do zawarcia

z nią znajomości. Pollyanna jeszcze ciągle przypominała sobie surowe ostrzeżenie piastunki na temat „obcych dzieci“.

— Muszę koniecznie ich wszystkich przekonać, że nie jestem żadnym obcym dzieckiem, — rzekła wreszcie do siebie, idąc wciąż odważnie naprzód.

Przejęta tą myślą, uśmiechała się serdecznie do wszystkich, a jeszcze serdeczniej uśmiechnęła się serdecznie do wszystkich, a jeszcze serdeczniej uśmiechnęła się do następnej spotkanej osoby, zagadując swobodnie:

— Piękną mamy dzisiaj pogodę, nieprawdaż?

— Hm... co takiego? O tak, owszem, — mruknęła dama, do której te słowa były zwrócone, przyśpieszając jednocześnie kroku.

Jeszcze dwukrotnie Pollyanna próbowała tego eksperymentu, lecz za każdym razem bez rezultatu. Wkrótce dotarła do małej sadzawki, którą widziała zdaleka ozłoconą promieniami słońca. Piękna to była sadzawka i na jej powierzchni kołysało się kilka małych łódek, z których dochodziły rozradowane śmiechy dziecięce. Obserwując te łódki, Pollyanna była coraz bardziej niezadowolona z tego, że jest taka samotna. W tej samej chwili dostrzegła mężczyznę, siedzącego również samotnie w pobliżu, skierowała się w jego stronę i przysiadła na przeciwnym końcu ławki. Usiadłszy, poczęła bez wahania przysuwać się do nieznajomego, pragnąc z nim zawrzeć znajomość, pewna, że chętnie ten odruch z jej strony przyjmie. Spojrzała nań, przejęta zaufaniem.

Z zewnętrznego wyglądu nie przedstawiał się nadzwyczajnie. Ubranie jego, choć nie zniszczone,

zakurzone było i sprawiało wrażenie zaniedbania. Każdy, kto spojrzałby na to ubranie (Pollyanna mało się na tem znała), zorjentowałby się odrazu, że jegomość ten jest więźniem, niedawno wypuszczonym na wolność. Twarz miał bladą, porośniętą niegolonym od kilku tygodni zarostem. Kapelusz o szerokim rondzie opadał mu na oczy, ręce trzymał w kieszeniach i z pochyloną głową siedział, wzrok mając utkwiony w ziemi.

Przez dłuższą chwilę Pollyanna nic nie mówiła, potem jednak odezwała się pełna nadziei:

— Piękną mamy dzisiaj pogodę, nieprawdaż?

Mężczyzna odwrócił głowę z widocznym przerażeniem.

— Co? Ach... Co powiedziałaś? — zapytał, zdziwiony, że ta uwaga była zwrócona do niego.

— Mówiłam, że piękną mamy pogodę, — wyjaśniła Pollyanna z zupełną powagą, — lecz właściwie ta sprawa tak mnie bardzo nie obchodzi. To znaczy, oczywiście zadowolona jestem z pogody, ale powiedziałam to tylko dlatego, żeby zacząć rozmowę, wkrótce będę mówić o czymś innym, o czymś zupełnie innym. Chciałam tylko z panem o czymś porozmawiać, o czymśkolwiek, rozumie pan?

Mężczyzna zaśmiał się niezbyt przyjaźnie. Nawet w uszach Pollyanny śmiech ten zabrzmiał trochę dziwnie, chociaż nie wiedziała, że śmiech na ustach tego człowieka był w ciągu ostatnich miesięcy bardzo rzadkim gościem.

— Więc chcesz, żebym z tobą rozmawiał, naprawdę? — zapytał jakby ze smutkiem. — Sam nie wiem, co ci z tego przyjdzie. Przypuszczam, że taka miła panienka, jak ty, może znaleźć wielu sympa-

tyczniejszych ludzi do rozmowy, a nie takiego starego pasorzyta, jak ja.

— Ach, ależ ja bardzo lubię starych pasorzytów, — zawołała Pollyanna pośpiesznie, — to znaczy chciałam powiedzieć, że bardzo lubię starszych ludzi, a ponieważ nie wiem, co znaczy pasorzyt, więc nie mogę go nie lubić. Zresztą, jeżeli pan jest pasorzytem, to mogę śmiało powiedzieć, że pasorzytów lubię, bo pana polubiłam odrazu, — zakończyła z pełnym zadowolenia uśmiechem, poprawiając się wygodniej na ławce.

— Hm! Bardzo mi to pochlebia, — uśmiechnął się mężczyzna ironicznie. Aczkolwiek wyraz jego twarzy i to, co mówił nacechowane było powątpiewaniem, najwyraźniej z dumą wyprostował się na swym miejscu. — No proszę, więc o czym będziemy rozmawiali?

— To jest dla mnie zupełnie obojętne, to znaczy wszystko mi jedno, nieprawdaż? — uśmiechnęła się Pollyanna uszczęśliwiona. — Ciotka Polly twierdzi, że o czymkolwiek bym nie mówiła, zawsze muszę sprowadzić rozmowę na temat Pań Dobroczynnych. Nie ma się czemu dziwić, bo przecież one mnie od małego wychowały, prawda? Możemy mówić o przyjęciu. Uważam, że to przyjęcie jest wyjątkowo piękne i wspaniałe.

— Przyjęcie?

— Tak, to przyjęcie, wie pan — ot, wszyscy ludzie, którzy są tu dzisiaj. Przecież to jest przyjęcie, nieprawdaż? Jedna pani powiedziała, że to dla wszystkich, więc zostałam tutaj, choć nie orientuję się jeszcze, gdzie są tutejsi gospodarze, którzy to przyjęcie wyprawili.



— Przede wszystkim powiedz mi jak się nazywasz?...
(str. 99).

Wargi nieznajomego zadrżały.

— Owszem, mała panienko, może to i przyjęcie w swoim rodzaju — uśmiechnął się, — lecz „gospodarzami“ są władze miasta Bostonu. To przecież jest ogród miejski — park publiczny dla wszystkich.

— Naprawdę? I zawsze? I będzie mi wolno tu przychodzić, kiedy zechcę? Ach, jak to dobrze! Lepiej nawet, niż przypuszczałam. Najgorsze było to, że lękałam się, że mnie tu nigdy więcej nie wpuszczą. Teraz jestem zadowolona i dobrze, że odrazu o tym nie wiedziałam; to mi jest o wiele przyjemniej. Przyjemne rzeczy są zawsze przyjemniejsze, gdy się człowiek z początku obawia, że miłe nie będą, prawda?

— Możliwe, że tak, jeżeli wogóle istnieją przyjemne rzeczy, — odpowiedział nieznajomy ponurym tonem.

— Napewno istnieją, — zapewniła go Pollyanna, nie dostrzegając nagłej zmiany w jego głosie. — Ale czyż tutaj nie jest pięknie? — zawołała znowu z rozjaśnioną twarzyczką. — Ciekawa jestem, czy pani Carew wie coś o tym parku, skoro on jest dla wszystkich. Przecież każdy powinien przychodzić tu stale i siadywać jak najdłużej.

Twarz mężczyzny spochmurniała.

— Ale ludzie przeważnie pracują i mają coś więcej do roboty, niż przychodzić tutaj i rozglądać się; niestety, ja do tych szczęśliwych nie należę.

— Naprawdę? To powinien pan być z tego zadowolony, — westchnęła Pollyanna, śledząc zachwyconym spojrzeniem przepływające w pobliżu łódki.

Nieznajomy rozchylił wargi, lecz nie wyrzekł ani słowa, a Pollyanna mówiła wciąż dalej.

— Chciałabym nie mieć nic więcej, tylko to, co mam. Chciałabym chodzić do szkoły. Bardzo lubię szkołę, ale istnieje mnóstwo rzeczy, które lubię bardziej. Jestem zadowolona, że mogę do szkoły chodzić. Szczególnie cieszę się, gdy przypomnę sobie, jak zeszłej zimy myślałam, że nigdy już do szkoły nie wrócę. Widzi pan, straciłam na pewien czas nogi — to znaczy, nie mogłam chodzić. Nigdy się człowiek nie zastanawia nad tym, jak bardzo nogi mu są potrzebne, gdy ma je zupełnie zdrowe. No, oczy są także potrzebne. Czy myślał pan kiedyś o tym, ile usług oddają panu oczy? Ja dopiero doszłam do tego wniosku, jak byłam w lecznicy. Leżała tam jedna pani, która oślepła przed rokiem. Namawiałam ją, żeby zabawiła się w moją grę, żeby znalazła sobie coś, z czego by się mogła cieszyć, ale tłumaczyła się, że nic znaleźć nie może, a jak się chciałam dowiedzieć dlaczego, kazała mi na godzinę zawiązać sobie oczy chustką, to wtedy się przekonam. Zrobiłam tak, jak chciała. To było straszne. Czy pan kiedyś tego próbował?

— Nie, nie próbowałem. — Wyraz gniewu i jednocześnie zdziwienia odzwierciadlił się na twarzy mężczyzny.

— Więc niech pan nie próbuje. Powiadam panu, że to było straszne. Po prostu człowiek nic nie może robić, nie może robić tego, co chce. Ale wytrzymałam wtedy całą godzinę. Od tego czasu byłam jeszcze bardziej zadowolona, że mam oczy i mogę widzieć — taka byłam zadowolona, że chciało mi się płakać z radości. Teraz już ona gra w moją grę —

ta niewidoma pani. Mówiła mi o tem panna Wetherby.

— W tę grę?

— Tak, w grę w zadowolenie. Nic panu o niej nie wspominałam? Chodzi o to, żeby znaleźć coś, z czego można być zadowolonym. Otóż ta niewidoma pani coś takiego znalazła. Jej mąż, to jest taki pan, który pomaga wydawać nowe prawa, więc prosiła go, aby wydał prawo, które by dopomogło niewidomym ludziom, a szczególnie małym dzieciom. I poszła do tych innych panów sama i opowiedziała im, jak się człowiek czuje, gdy jest niewidomy. A ci panowie razem z jej mężem wydali takie nowe prawo i powiedzieli, że ta ślepa pani zrobiła dla społeczeństwa bardzo wiele, więcej nawet niż jej mąż, bo gdyby nie ona, to by takie nowe prawo wcale nie istniało. Ta ślepa pani jest teraz zadowolona, że straciła wzrok, bo mogła chociaż pomóc małym dzieciom, które tak samo jak ona są nieszczęśliwe. Widzi pan więc, że jednak nauczyłam tę panią mojej gry. Ale mam wrażenie, że pan jeszcze o tej grze nic nie wie, więc muszę z nią pana zaznajomić. Zaczyna się ona w ten sposób... — i Pollyanna z rozjaśnionymi oczami opowiedziała nieznajomemu, jak to przed laty znalazła parę szczudeł zamiast lalki, o której tak bardzo marzyła.

Gdy opowiadanie dobiegło końca, zaległa długa, martwa cisza, po czym całkiem niespodziewanie nieznajomy podniósł się z ławki.

— Ach, więc pan już teraz odchodzi? — zapytała Pollyanna z wyraźnym rozczarowaniem.

— Tak, teraz już idę, — uśmiechnął się do niej jakoś dziwnie.

— Ale kiedyś przyjdzie pan tutaj znowu?

Potrząsnął głową, lecz znów się uśmiechnął.

— Mam nadzieję, że nie i właściwie wiem napewno, moja dzieweczko. Widzisz, uczyniłem dzisiaj wielkie odkrycie. Myślałem, że już jestem zupełnie stracony. Sądziłem, że już teraz dla mnie nie ma nigdzie miejsca. Ale w tej chwili zdałem sobie sprawę, że posiadam dwoje oczu, dwie ręce, i dwie nogi, które postanowiłem zużytkować. Postanowiłem jednocześnie pokazać pewnej osobie, że te skarby właśnie zużytkować potrafię!

Po chwili oddalił się.

— Boże, jakiż to zabawny jegomość! — wyszeptała do siebie Pollyanna. — ale był bardzo miły i jakiś taki zupełnie inny, — dorzuciła, podnosząc się i postanawiając iść dalej.

Była teraz znowu w swym zwykłym pogodnym nastroju i kroczyła przed siebie z tą pełną zaufania pewnością siebie, jaką posiada człowiek, nie znający wahań. Czyż ten nieznajomy nie powiedział, że to był publiczny park i że ona, Pollyanna, tak samo jak wszyscy, ma prawo w nim przebywać? Podeszła bliżej do sadzawki, minęła mostek i skierowała się do miejsca, skąd odpływały małe łódki. Przez pewien czas radośnie obserwowała dzieci, zwracając szczególną uwagę na to, czy przypadkiem nie zobaczy wśród nich ciemnych loków Zuzi Smith. Chętnie przejechałaby się którą z łódek, lecz mały szyldzik objaśniał, że przejażdżka kosztuje pięć centów, a ona przecież nie miała przy sobie pieniędzy. Pełna nadziei uśmiechała się, patrząc na przechodzące kobiety, a dwukrotnie nawet zagadała do nich, żadna jednak pierwsza do niej się nie odezwa-

ła, a ta, do której zwróciła się z jakąś uwagą, spojrzała na nią chłodno i nie raczyła nawet odpowiedzieć.

Po pewnym czasie Pollyanna skierowała kroki w boczną alejkę i tutaj ujrzała bladego chłopca w fotelu na kółkach. Miała ochotę z nim porozmawiać, był jednak tak zajęty książką, którą czytał, że nawet nie spojrzał na dziewczynkę. Zaraz potem natknęła się znów na przystojną, młodą, lecz smutnie wyglądającą dziewczynę, która siedziała sama ze spojrzeniem utkwionym w dalekiej przestrzeni, podobnie, jak przed tym siedział nieznajomy. Z okrzykiem radości Pollyanna pośpieszyła naprzód.

— Ach, jak się pani ma? — zawołała. — Tak się cieszę, że panią spotkałam! Już tak długo szukałam pani, — dorzuciła, zajmując wolne miejsce na ławce.

Ładna dziewczyna odwróciła się ze zdziwieniem i gorączka ciekawości zapłonęła w jej oczach.

— Ach! — wyszeptała, popadając nagle w rozczarowanie. — Myślałam... O co ci właściwie chodzi? — zapytała niechętnie. — Przecież ja cię nigdy w życiu na oczy nie widziałam.

— I ja pani także, — uśmiechnęła się Pollyanna, — ale mimo wszystko szukałam pani. To znaczy, nie wiedziałam, że to akuratnie będzie pani. Po prostu chciałam znaleźć kogoś samotnego, kto nikogo przy sobie nie ma. Tak samo, jak ja jestem samotna. A tyle jest tu dzisiaj ludzi. Widzi pani?

— Owszem, widzę, — skinęła głową dziewczyna, zapadając w dotychczasowe swoje zamyślenie. —

Ale, biedne dzieciątko, nie trzeba abyś zbyt wcześnie dowiedziała się o tym.

— O czym?

Że człowiek jest najbardziej samotny wśród tłumu w dużym mieście.

Pollyanna zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

— Naprawdę? Nie rozumiem jak to być może. Jak może człowiek być samotny skoro ma dokoła siebie ludzi. Właściwie,—zawahała się na chwilę,— i ja byłam dziś po południu samotna, choć tyle ludzi było tutaj, tylko że oni wszyscy nie myśleli o mnie i nie zwracali na mnie uwagi.

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się z goryczą.

— Otóż właśnie. Nie pomyśleli i nie zwrócili uwagi — tłum zawsze jest taki.

— Ale niektórzy ludzie są inni, więc powinniśmy się z tego cieszyć, — podchwyciła Pollyanna. — Teraz, kiedy...

— Ach, tak, niektórzy są inni, — przerwała jej tamta. Mówiąc, drżała i spoglądała lękliwie w alejkę tuż za Pollyanną. — Niektórzy zbyt wielką uwagę zwracają.

Pollyanna cofnęła się z przerażeniem. Powtarzające się tego popołudnia niepowodzenia uczyniły ją bardziej podejrzliwą.

— Czy pani mnie ma na myśli? — wybąkała. — To znaczy, że nie życzyła sobie pani, abym na panią zwróciła uwagę?

— Nie, nie, dziecinko! Myślałam o kimś zupełnie innym. O kimś, kto nie powinien był zwracać uwagi na mnie. Bardzo się cieszę, żeś do mnie zagadała, ale w pierwszej chwili myślałam, że to ktoś z domu.

— Ach, więc pani tutaj nie mieszka tak samo jak i ja, to znaczy, nie mieszka pani na stałe.

— Owszem, teraz tu mieszkam, — westchnęła dziewczyna, — jeżeli to wogóle można nazwać mieszkaniem.

— Dobrze, a co pani robi? — zapytała Pollyanna z ciekawością.

— Co robię? Zaraz ci powiem co robię, — zawołała tamta z nagłą goryczą. — Od rana do nocy sprzedaję włochatą wełnę, żaboty i uniżone ukłony dziewczętom, które śmieją się, rozmawiają i znają się między sobą. Później idę do domu, do małego pokoiczku pod dachem, w którym zmieścić się może tylko wąziutkie żelazne łóżko, umywalka z pogiętą miednicą, jedno kulawe krzesło i ja. W lecie jest tam jak na plaży, a w zimie — jak w lodowni, muszę jednak tam mieszkać, bo nie wyrzucą mnie z tego pokoiku, choćbym nawet nie pracowała. Dzisiaj nagle zaczęłam się buntować. Nie chcę mi się wracać do tej mojej nory, nie chce mi się pójść do biblioteki, żeby trochę poczytać. Mam dzisiaj ostatnie wolne pół dnia w tym roku, a potem już trzeba będzie bez wytchnienia pracować. Jestem jeszcze taka młoda, lubię śmiać się i żartować, tak samo jak tamte dziewczęta, którym przez cały dzień muszę sprzedawać ukłony. Ale dzisiaj postanowiłam zabawić się trochę.

Pollyanna uśmiechnęła się, skinąwszy głową w milczącej pochwale.

— Cieszę się, że pani myśli w ten sposób. Ja też tak uważam. Przyjemnie jest być szczęśliwym, prawda? Zresztą Biblia też nam nakazuje korzystać

z radości życia. Prawdopodobnie zna pani Biblię i wie pani o tym.

Młoda dziewczyna potrząsnęła głową. Wyraz onieśmielenia pojawił się na jej twarzy.

— Właściwie nie wiem, — odparła sucho. — Nie mogę powiedzieć, żebym zbyt często myślała o Biblii.

— Rzeczywiście? Zresztą to bardzo możliwe, ale, widzi pani, mój ojciec był pastorem i dlatego...

— Pastorem?

— Tak. A czy pani ojciec także? — zawołała Pollyanna, odpowiadając na dziwny błysk, jaki ujrzała w oczach dziewczyny.

— Tak, — rumieniec wystąpił dziewczynie aż na czoło.

— Ach, i odszedł tak samo jak mój, aby pozostać na zawsze z Bogiem i aniołami?

Młoda dziewczyna odwróciła z zażenowaniem głowę.

— Nie, żyje jeszcze, jest w domu, — odparła, wstrzymując oddech.

— Ach, jaka pani musi być szczęśliwa, — westchnęła Pollyanna zazdrośnie. — Czasami marzę o tym, żebym mogła choć raz zobaczyć mego ojca, ale pani swego widuje, prawda?

— Nie często. Widzisz, mieszkam teraz tutaj...

— Ale może go pani widzieć, a ja mojego nie mogę. Odszedł do mamy i do reszty rodzeństwa, tam do nieba i... A pani ma matkę także?

— Owszem, — dziewczyna kręciła się niespokojnie i sprawiała takie wrażenie, jakby miała ochotę uciec.

— Ach, więc pani może oglądać ich obydwo-

je, — wyszeptała Pollyanna z wyraźną tęsknotą w głosie. — Jaka pani musi być szczęśliwa! Bo przecież na świecie nie ma nikogo, ktoby tak mógł kochać, jak ojciec i matka. Widzi pani, ja się znam na tym, bo miałam ojca do jedenastu lat i tak samo do tego wieku miałam zamiast matki Panie Dobroczynne, dopóki mnie nie zabrała ciotka Polly. Panie Dobroczynne są bardzo miłe, ale to nie to, co matka, a nawet nie to, co ciotka Polly.

I Pollyanna ani na chwilę nie przestawała mówić. Była teraz w swoim żywiole. Lubiła mówić nade wszystko. Że było coś dziwnego, coś niemądrego, a nawet niestosownego w tym zbyt intymnym wypowiadaniu myśli i dzieleniu się nimi z zupełnie obcą osobą, poznaną na ławce w bostońskim parku — nie przyszło nawet Pollyannie do głowy. Dla niej wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci byli przyjaciółmi, bez różnicy, czy znała ich, czy nie znała. Uważała nawet, że nieznajomi są o wiele ciekawsi od znajomych, bo zawsze posiadają jakąś tajemnicę, której rąbek uchyla się dopiero wtedy, gdy się ich samych poznaje.

Dlatego to właśnie Pollyanna odpowiedziała tej młodej dziewczynie z zupełną szczerością o swym ojcu, o ciotce Polly, o swym domu na Zachodzie i o swej podróży na Wschód do Vermont. Opowiedziała o dawnych i nowych przyjaciołach i, oczywiście, o „grze w zadowolenie". Pollyanna zawsze prawie każdemu musiała opowiedzieć o tej grze wcześniej, czy później. Gra ta była niejako częścią jej samej, to też nie mogła się oprzeć, aby komuś, z kim zawierała znajomość, ani słowem o tym nie wspomnieć.

Co do młodej przystojnej dziewczyny, to ta mówiła niewiele. Nie siedziała jednak, jak dotychczas, zatopiona w zadumie i zauważyć można było na jej twarzy ogromną zmianę. Pałające policzki, ściągnięte brwi, zatroskane oczy i nerwowo poruszające się palce świadczyły o pewnej walce wewnętrznej. Od czasu do czasu spoglądała wymownie w stronę alejki biegnącej tuż za Pollyanną i w pewnej chwili, spojrzawszy w tamtym kierunku, chwyciła Pollyannę kurczowo za ramię.

— Słuchaj, dziecinko, jeszcze przez minutę nie odchodź ode mnie. Czy słyszysz? Zostań tu, gdzie jesteś. Tam jest mężczyzna, który miał przyjść, ale mniejsza o to, co będzie mówił, nie zwracaj na niego uwagi i nie odchodź. Pragnę zostać z tobą, rozumiesz?

Zanim Pollyanna zdążyła wyrazić swoje zdziwienie, wzrok jej spotkał się ze spojrzeniem przystojnego młodego jegomościa, który zatrzymał się przy ławce.

— Ach, tutaj jesteś, — uśmiechnął się z zadowoleniem, uchylając kapelusza przed towarzyszką Pollyanny. — Muszę się usprawiedliwić, że się trochę spóźniłem.

— Nic nie szkodzi, sir, — odparła młoda dziewczyna pośpiesznie. — Ja... i tak postanowiłam, że nie pójdę.

Młodzieniec zaśmiał się swobodnie.

— Ależ chodź, kochanie, nie gniewaj się na mnie o to, że się trochę spóźniłem!

— Wcale się nie gniewam, — zaprotestowała dziewczyna, rumieniąc się nagle. — Mówię tylko, że nie pójdę.

— Głupstwa pleciesz! — Mężczyzna przestał się uśmiechać, mówił teraz głosem zniecierpliwionym i ostrym. — Obiecywałaś wczoraj, że pójdziesz.

— Wiem, ale zmieniłam zamiar. Przyrzekłam tej tutaj małej przyjaciółce, że z nią zostanę.

— Ach, jeżeli pani woli pójść z tym młodym panem,—zaczęła Pollyanna zaniepokojona, lecz umilkła zaraz pod wpływem wymownego spojrzenia dziewczyny.

— Powiedziałam, że nie pójdę, więc nie ma o czym mówić.

— No, proszę, cóż za nagłe postanowienie? — zadrwił młodzieniec, darząc Pollyannę niezbyt przyjaznym spojrzeniem. — Wczoraj obiecywałaś...

— Wiem, że obiecywałam, — przerwała dziewczyna gorączkowo. — Ale później zorientowałam się, że nie powinnam. Nazwijmy to, jak chcemy. Postanowienia nie cofnę i koniec, — i odwróciła od niego twarz rezolutnie.

Nie był to jednak koniec. Młodzieniec jeszcze kilkakrotnie nalegał prosił i groził, a w oczach jego pojawił się błysk okrucieństwa. Wreszcie powiedział coś bardzo cicho i gniewnie, czego Pollyanna nie zrozumiała. W następnej chwili odwrócił się na pięcie i odszedł.

Dziewczyna spoglądała za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu, poczem otrząsnąwszy się z wrażenia, uścisnęła rękę Pollyanny.

— Dziękuję ci, dziecinko. Zawdzięczam ci więcej, niż sama przypuszczasz. Do widzenia.

— Ale pani teraz przecież nie odejdzie! — zawołała Pollyanna.

Dziewczyna westchnęła ze smutkiem.

— Muszę. Gotów wrócić, a po raz drugi nie zdobyłabym się może na tyle siły i odwagi... — wstała z ławki. Przez chwilę wahała się i wreszcie wyznała z goryczą: — Widzisz, on należy do tych, którzy niepotrzebnie zwracają uwagę, a nie powinien był na mnie uwagi zwracać! — Z tymi słowy odeszła.

— Jakaż ona zabawna, — szepnęła do siebie Pollyanna, spoglądając w zamyśleniu za znikającą sylwetkę dziewczyny. — Ładna nawet, ale strasznie dziwna, — dorzuciła, podnosząc się i leniwie idąc przed siebie.

ROZDZIAŁ VI.

Jerry śpieszy z pomocą.

Wkrótce Pollyanna dotarła do końca ogrodu i do bramy, za którą krzyżowały się z sobą dwie ulice. Było to miejsce godne szczególnego zainteresowania, z przejeżdżającymi ustawicznie taksówkami, autobusami, powozami i publicznością pieszą. Potężna czerwona butelka w witrynie kolonialnego sklepu zwróciła uwagę Pollyanny, a jednocześnie z głębi ulicy zaciekawił ją dźwięk jakiegoś nieznanego instrumentu. Wahając się tylko przez chwilę, Pollyanna ruszyła na przeciwną stronę ulicy, biegnąc lekko w kierunku dźwięków muzyki.

Z każdą chwilą znajdowała więcej rzeczy godnych ciekawości. W oknach wystawowych były rozmaite cuda, a dokoła katarynki, do której wreszcie dotarła, ujrzała grono tańczących dzieci, których

widok był wprost niezwykły. Pochłonięta tym widokiem Pollyanna bez zastanowienia poczęła iść za katarynką, wpatrzona z zachwytem w tańczące dzieci. Nagle znalazła się na tak ruchliwym rogu ulicy, że wysoki potężny mężczyzna, w błękitnym długim płaszczu zmuszony był przeprowadzać ludzi na przeciwległy chodnik. Przez dłuższą chwilę Pollyanna obserwowała go w milczeniu, po czym trochę niepewnie postanowiła sama przedostać się przez jezdnię.

Była to zadziwiająca przygoda. Wysoki mężczyzna w błękitnym płaszczu dostrzegł ją odrazu i począł jej dawać jakieś znaki. Zbliżył się nawet do niej i ująwszy pod rękę, przeprowadził, omijając ludzi i zatrzymując szereg warczących samochodów oraz kilka zniecierpliwionych koni. Pollyannie tak się spodobała ta przygoda, że po kilku minutach postanowiła wrócić. Przechodziła tak kilka razy w krótkich odstępach czasu, oczarowana magiczną siłą wzniesionej w górę ręki błękitno odzianego mężczyzny. Lecz gdy po raz ostatni usiłowała zejść z chodnika, mężczyzna w błękitnym płaszczu spojrzał na nią ze zmarszczonymi niechętnie brwiami.

— Słuchaj-no, dziewczynko, czy to ty przechodziłaś tędy przed minutą? — zapytał. — I znowu teraz przechodzisz?

— Tak, sir, — odparła wesoło Pollyanna. — Przechodziłam tędy już cztery razy!

— No, no — policjant zaczął się już irytować, lecz Pollyanna wyjaśniała dalej:

— I za każdym razem było co raz przyjemniej!

— No, czyżby? — złagodniał nagle policjant, ale po chwili znowu zmarszczył brwi. — Co ty sobie

myślisz, że ja tutaj jestem po to, żeby ciebie tam i z powrotem przeprowadzać?

— Ach, nie, sir — uśmiechnęła się z wdziękiem Pollyanna. — Zrozumiałe, że nie stoi pan tu tylko dla mnie! Przecież jest tu tyle innych ludzi. Ja wiem kim pan jest. Jest pan policjantem. Mamy tam też jednego policjanta przed domem, w którym mieszka pani Carew, tylko że on nie przeprowadza przechodniów, a po prostu spaceruje sobie po chodniku. Dawniej myślałam, że panowie są żołnierzami, bo mają takie złote guziki i granatowe kapelusze, ale teraz już wiem. Chociaż pan, to tak jak żołnierz. Musi pan być bardzo odważny, stojąc tu, wśród tych aut i powozów i pomagając ludziom przechodzić.

— Ho, ho, jeszcze jak! — napuszył się z dumą policjant, czerwieniąc się niczym sztubak i odrzucając w tył głowę z głośnym śmiechem. — Ho, ho, zupełnie jak... — urwał, podnosząc w górę rękę. Po chwili już przeprowadzał przez jezdnię najwidoczniej bardzo zalęknioną, trzęsącą się starszą damę. Jeżeli szedł teraz krokiem bardziej majestatycznym i jeżeli wyżej podnosił głowę, to czynił to tylko, pragnąc okazać się jeszcze odważniejszym w oczach stojącej na chodniku dziewczynki. Po chwili, podnosząc wymownie rękę w stronę niecierpliwiących się woźniców i szoferów, zbliżył się znowu do Pollyanny.

— Ach, to było wspaniałe! — powitała go z błyszczącymi oczami. — Strasznie przyjemnie patrzeć, jak pan to robi — zupełnie jakby Izraelici przechodzili przez Morze Czerwone, prawda? I jaki pan musi być zadowolony, że może pan to cały dzień ro-

bić! Zawsze myślę, że najprzyjemniej być doktorem, ale teraz widzę, że policjantem być, to jeszcze większa przyjemność, bo się pomaga ludziom, tak jak pan. A poza tym.. — przerwał jej nowy wybuch pełnego zażenowania śmiechu i policjant w błękitnym płaszczu był już znowu po środku jezdni, Pollyanna zaś została sama na chodniku.

Tylko jeszcze przez chwilę obserwowała z zachwytem „Morze Czerwone", po czym z wyraźnym żalem zawróciła.

— Chyba lepiej będzie, jak pójdę do domu, — medytowała. — Już napewno jest pora obiadowa. — I szybko skierowała się tą samą drogą, którą przyszła.

Dopóki na kilku rogach nie zawahała się i nie poszła w mylnym kierunku, nie zdawała sobie sprawy, że pójście „do domu" nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się zdawać mogło. I dopiero gdy stanęła przed budynkiem, którego nigdy w życiu nie widziała, przyszło jej na myśl, że zabłądziła.

Znajdowała się na wąskiej, brudnej i źle zabrukowanej uliczce. Po obydwu stronach widziała ponure bloki kamienic, a w nich jakieś nieciekawe sklepy i składy. Tam i z powrotem biegali śpiesznie szwargoczący mężczyźni i rozgadane kobiety, z których rozmów Pollyanna ani słowa nie mogła zrozumieć. Co gorsza, że ludzie ci spoglądali na nią z wielką ciekawością, jakby orjentowali się, że nie należy do ich grona.

Kilkakrotnie już zapytywała o drogę, lecz napróżno. Nikt z tych ludzi nie wiedział, gdzie mieszkała pani Carew, a dwie ostatnie osoby, do których

Pollyanna się zwróciła, odpowiedziały tak niewyraźnie, że zupełnie nie wiedziała o co im chodzi.

Szła ciągle w dół ulicy leniwie, jakby bez celu. Była już teraz naprawdę przerażona. Głód i zmęczenie dawały się coraz bardziej we znaki. Nogi ją bolały, oczy piekły od łez, które ciągle usiłowała powstrzymywać. Poza tym, niewiadomo dlaczego, robiło się co raz bardziej ciemno.

— W każdym razie, — szeptała do siebie przez łzy, — powinnam być zadowolona, że zabłądziłam, bo dopiero będzie mi przyjemnie, jak odnajdę drogę.

Na jakimś ruchliwym i hałaśliwym rogu, gdzie krzyżowały się dwie ulice, Pollyanna wreszcie w rozpaczy przystanęła. Tym razem twarzyczka jej zalała się łzami, a w braku chustki do nosa, poczęła Pollyanna ocierać twarz obydwiema rękami.

— Hej, mała, czego płaczesz? — zawołał jakiś wesoły głos. — Co ci się stało?

Odetchnąwszy z ulgą, Pollyanna odwróciła głowę i ujrzała przed sobą małego chłopca, dźwigającego pod pachą plik gazet.

— Tak się cieszę, że cię widzę! — zawołała. — Tak chciałam spotkać kogoś, kto nie mówi, jak wszyscy tutaj, po chińsku.

Chłopiec uśmiechnął się.

— To wcale nie jest chiński! — zawołał. — Masz na myśli gwarę Dago.

Pollyanna nieznacznie zmarszczyła brwi.

— Możliwe, ale w każdym razie to nie był język angielski, — odparła z powątpiewaniem, — i nikt nie umiał odpowiedzieć na moje pytania. Może od

ciebie się wreszcie czegoś dowiem. Czy wiesz, gdzie mieszka pani Carew?

— Nie! Możesz mnie zabić.

— Co takiego? — zdziwiła się Pollyanna, w coraz głębszym zwątpieniu.

Chłopiec uśmiechnął się znowu.

— Powiadam, że nie wiem. Nie mam przyjemności znać tej pani.

— A czy nie ma tu nikogo, ktoby ją znał? — wyszeptała Pollyanna. — Bo widzisz, wyszłam właśnie na spacer i zmyliłam drogę. Już nieraz znajdowałam się tak daleko, ale tym razem w żaden sposób nie mogę trafić do domu, a już nadeszła pora kolacji, chciałam powiedzieć obiadu i robi się co raz ciemniej. Chcę już wracać, muszę wracać.

— Hm, ja to rozumiem! — odparł współczująco chłopiec.

— A poza tym lękam się, że pani Carew też jest o mnie niespokojna — westchnęła Pollyanna.

— Napewno, jeśli wyszłaś bez pozwolenia, — zażartował nieoczekiwanie chłopiec. — Ale posłuchaj, czy nie wiesz, na jakiej ulicy mieszkasz?

— Nie, tylko wiem, że to jest jakaś aleja, — odpowiedziała szeptem Pollyanna.

— Aleja? No, to jakoś znajdziemy. Już się zrobi. A jaki numer domu? Czy to mi możesz powiedzieć? Połam sobie trochę głowę!

— Połamać głowę? — Pollyanna zmarszczyła brwi, podnosząc rękę do czoła.

Chłopiec spoglądał na nią pogardliwie.

— Ach, daj już spokój! Widzę, że tuman z ciebie. Pytam, czy nie znasz numeru domu, o który ci chodzi?

— Nie, tylko wiem, że tam była siódemka, — zawołała Pollyanna, pełna nowej nadziei.

— Słyszeliście moi państwo? — zaśmiał się drwiąco chłopak. — Była siódemka, a ona myśli, że w ten sposób poznam numer!

— Ach, ale ja poznam dom, jak go tylko zobaczę, — oświadczyła gorączkowo Pollyanna, — i myślę, że poznam również ulicę, po tym wspaniałym obszernym dziedzińcu, który jest w samym środku.

Tym razem na twarzy chłopca odmalowało się zdziwienie.

— Dziedziniec? — otworzył szeroko usta, — po środku ulicy?

— Tak, drzewa i trawa, a w środku aleja do spaceru, ławki i... — lecz chłopiec przerwał jej nagle głośnym okrzykiem.

— Już wiem! Commonwealth Avenue, ty na pewno tam mieszkasz!

— Ach, więc wiesz, wiesz naprawdę? — dowiadywała się Pollyanna. — Właśnie to bardzo podobnie brzmi, chociaż nie jestem pewna.

— Możesz mi wierzyć, — chłopak wydął wargi z dumą. — Przecież codziennie zawożę tam do ogrodu Sir Jamesa, więc i ciebie zaprowadzę. Musisz jednak poczekać tutaj, dopóki nie skończę roboty i nie sprzedam wszystkich gazet. Potem zaprowadzę cię na tę twoją aleję, nim jeszcze zdążysz zostać Robinsonem.

— To znaczy, że mnie odprowadzisz do domu? — zapytała Pollyanna, nie rozumiejąc słów jego dokładnie.

— Naturalnie! Będzie to całkiem łatwe, jeżeli mówisz, że poznasz dom.

— O, na pewno poznam, — zawołała Pollyanna, trochę w duszy zaniepokojona. — Gdybyś nie mógł...

Ale chłopiec raz jeszcze obrzucił ją pełnym wzgardy spojrzeniem i umknął, mieszając się z tłumem. W chwilę później Pollyanna usłuszała jego głośne wołanie:

— Kurier! Wiadomości! Herald! Może pan pozwoli gazetkę, sir?

Z westchnieniem ulgi Pollyanna cofnęła się do jakiejś bramy, postanawiając cierpliwie czekać. Była zmęczona, lecz szczęśliwa. Mimo niepowodzeń, z jakimi się zetknęła tego popołudnia, ufała temu chłopcu i była najzupełniej pewna, że on właśnie odprowadzi ją do domu.

— Jest miły i bardzo go lubię, — mówiła do siebie, śledząc za zręczną i ruchliwą postacią gazeciarza. — Ale mówi szalenie zabawnie. Słowa, które wypowiada, mają brzmienie angielskie, lecz niektóre jakby się nie wiązały z resztą tego, co mówi. Jestem zadowolona, że na niego natrafiłam, — dorzuciła, wzdychając z zadowoleniem.

Wkrótce potem chłopiec wrócił, nie mając już gazet pod pachą.

— Chodźmy, mała. Wszystko załatwiłem, — zawołał wesoło. — Teraz będziemy szukać tej alei. Gdybym był bogatszy, odwiózłbym cię do domu autobusem, ale ponieważ zarobiłem dzisiaj niewiele, trzeba będzie dyrdać piechotą.

Prawie przez całą drogę milczeli. Pollyanna po raz pierwszy w życiu była zbyt zmęczona, aby móc

opowiadać o Paniach Dobroczynnych, chłopcu zaś chodziło głównie o to, żeby najkrótszą drogą jak najśpieszniej dotrzeć do celu. Gdy zamajaczył przed nimi Park Publiczny, Pollyanna wykrzyknęła radośnie:

— O, teraz już prawie że jesteśmy na miejscu! Ten ogród przypominam sobie dokładnie, spędziłam tu bardzo mile czas. Stąd już jest całkiem blisko do domu.

— No, to dzięki Bogu! Pójdziemy teraz dalej, — uśmiechnął się chłopiec.. — Widzisz, co ci mówiłem? Pójdziemy tędy w stronę alei i później znajdziemy swój dom.

— O, ja ten dom napewno znajdę, — cieszyła się Pollyanna, nabierając już zupełnej pewności siebie.

Było prawie całkiem ciemno, gdy wstępowali po szerokich kamiennych schodach, prowadzących do mieszkania pani Carew. Chłopiec przycisnął guzik dzwonka, drzwi się natychmiast otworzyły i Pollyanna znalazła się nietylko przed obliczem Mary, lecz również pani Carew, Bridget i Jennie. Wszystkie cztery kobiety stały przed nią z bladymi twarzami i czami pełnymi niepokoju.

— Dziecko, dziecko, gdzieś ty była? — dowiadywała się pani Carew, biegnąc Pollyannie na spotkanie.

— Ja... ja tylko poszłam na spacer, — wytłumaczyła szeptem dziewczynka, — i zabłądziłam i ten chłopiec...

— Gdzie ją znalazłeś? — zwróciła się pani Carew ostro do towarzysza Pollyanny, który w tej chwili ze szczerym podziwem patrzył na wszystko, co ota-

czało go w tym jasno oświetlonym hallu. — Gdzie ją znalazłeś, chłopcze? — powtórzyła jeszcze bardziej surowo.

Przez krótką chwilę chłopak patrzył jej w oczy bezczelnie, poczem łobuzerski ognik zamajaczył w jego sporzeniu, choć głos, którym przemówił, był pełen powagi.

— Znalazłem ją na placu Bowdoin, ale mam wrażenie, że wracała z północnej dzielnicy, proszę pani.

— W północnej dzielnicy — takie dziecko — same! Pollyanno! — zadrżała pani Carew.

— Ja nie byłam sama, proszę pani, — zaprotestowała Pollyanna. — Było tam całe mnóstwo ludzi, nieprawdaż, chłopcze?

Lecz chłopiec z łobuzerskim uśmieszkiem zniknął już za uchylonymi drzwiami.

Wielu rzeczy dowiedziała się Pollyanna w ciągu następnej pół godziny. Dowiedziała się, że małym dziewczynkom nie wolno spacerować samotnie po obcym mieście, ani też siadywać na ławkach i rozmawiać z obcymi ludźmi. Dowiedziała się również, że to „stało się tylko cudem", że wogóle wróciła do domu tego wieczoru i że „cudem" także uniknęła bardzo przykrych skutków swej lekkomyślności. Dowiedziała się o tem, że Boston to nie Beldingsville i że powinna się nadal z tym liczyć.

— Ależ, proszę pani, — tłumaczyła Pollyanna w rozpaczy, — przecież jestem już tutaj i nie zginęłam na zawsze. Ja byłam przez cały czas zadowolona, więc nie mogłam myśleć o tych wszystkich przykrych rzeczach, jakie mogłyby nastąpić.

— Tak, tak, moje dziecko, przypuszczam, przypuszczam, — wzdychała pani Carew, — ale narobi-

łaś mi wiele strachu i muszę się upewnić, że więcej już nigdy tego nie uczynisz. A teraz chodź, kochanie, musisz być głodna.

Kładąc się na spoczynek tego wieczoru, Pollyanna ze smutkiem szeptała do siebie:

— Najbardziej to mnie martwi, że nie zapytałam tego chłopca ani o nazwisko, ani o adres. Teraz w żaden sposób nie będę mu mogła podziękować!

ROZDZIAŁ VII.

Nowa znajomość.

Wszystkie ruchy Pollyanny od owego pełnego przygód spaceru były jeszcze troskliwiej strzeżone i z wyjątkiem codziennego chodzenia do szkoły, nie wolno jej było wydalać się z domu bez opieki Mary albo pani Carew. Pollyanny jednak nie irytowało to zupełnie, bowiem lubiła bardzo zarówno panią Carew, jak i Mary, to też chętnie przebywała w ich towarzystwie. — Obydwie niewiasty ostatnimi czasy zawsze znajdowały dla dziewczynki kilka wolnych chwil. Nawet pani Carew, przejęta ustawicznym lękiem o dziecko, powierzone swej opiece, usiłowała teraz zajmować się Pollyanną coraz więcej.

Było więc tak, że dziewczynka pod opieką pani Carew chodziła na koncerty i przedstawienia, do biblioteki publicznej i muzeum sztuki, zaś w towarzystwie Mary odbywała interesujące spacery po Bostonie, zwiedzała ratusz i okoliczne kościoły.

Pollyanna ogromnie lubiła jeździć samochodem,

lecz chętniej jeszcze odbywała spacery tramwajem, o czym ku wielkiemu swemu zdziwieniu pani Carew pewnego dnia się przekonała.

— Czy pojedziemy tramwajem? — zapytała pewnego ranka Pollyanna.

— Nie, Perkins nas zawiezie, — odparła pani Carew, a widząc rozczarowanie w oczach Pollyanny, dodała ze zdziwieniem: — Sądziłam, że lubisz auto, moje dziecko!

— Ach, bardzo lubię, — zapewniła Pollyanna pośpiesznie, — wiem przecież, że auto wypada taniej, niż tramwaj i...

— Taniej niż tramwaj! — zawołała pani Carew, coraz bardziej zdziwiona.

— No, tak, — wyjaśniła Pollyanna, otwierając szeroko oczy, — za tramwaj płaci się po pięć centów od osoby, a auto nic nie kosztuje, bo jest pani własnością. Ja zresztą bardzo lubię auto, — zapewniła, nie pozwalając pani Carew dojść do słowa. — Tylko, że tramwaj jedzie wolniej, więc można swobodnie obserwować tych wszystkich ludzi, którzy chodzą po ulicy, a to jest takie przyjemne, nieprawdaż?

— Jabym tego nie powiedziała, Pollyanno, — mruknęła pani Carew, wychodząc z pokoju.

Zdarzyło się tak, że w dwa dni później pani Carew jeszcze więcej dziwnych rzeczy usłyszała o Pollyannie — tym razem z ust Mary.

— To jest naprawdę śmieszne, łaskawa pani, — opowiadała Mary z powagą, odpowiadając na zapytanie swej chlebodawczyni, — dziwne jest jak Pollyanna doskonale czuje się między ludźmi, nie zdradzając najmniejszego onieśmielenia. Zasadni-

czo sama ich nie zaczepia. Nic podobnego. Tylko uśmiecha się do nich pogodnie i to wszystko. Sama widziałam jak wsiadłyśmy do tramwaju pełnego mężczyzn, kobiet i dzieci, że na widok Pollyanny wszyscy się odrazu rozweselili. Dorośli przestali się kłócić o miejsca, a dzieci przestały płakać. Czasami wystarcza, żeby panna Pollyanna powiedziała coś do mnie i żeby inni to słyszeli. Czasami znów powie tylko komuś „Dziękuję" za ustąpienie miejsca, a tamten już z nią jest w przyjaźni. Ma dziwny sposób uśmiechania się do psów i dzieci. Każdy pies na jej widok macha ogonem, a każde dziecko, małe czy większe, nabiera do niej zaufania. Jeżeli zdarzy się tak, że wsiądziemy do mylnego tramwaju, to nawet konduktor, patrząc na pannę Pollyannę, nie może się na nas gniewać.

— Hm, bardzo dziwne, — wyszeptała pani Carew, odchodząc.

Październik był tego roku szczególnie ciepły i pogodny, to też trudno było komukolwiek w domu uzbroić się w taką cierpliwość, aby stale przebywać na spacerach z Pollyanną. Pani Carew w pierwszym rzędzie cierpliwością zbytnią nie grzeszyła, a Mary znów zajęcia domowe nie pozwalały na poświęcanie zbyt wiele czasu Pollyannie.

O trzymaniu dziecka w czterech ścianach pokoju podczas pogodnych słonecznych dni, nie mogło być mowy. To też stanęło na tym, że Pollyannie wolno było wychodzić samej do sąsiedniego publicznego parku, gdzie przebywała codziennie po kilka godzin. Pozornie więc była znowu tak samo wolna jak dawniej, lecz w gruncie rzeczy otaczały ją wysokie i nieprzebyte mury codziennego regulaminu.

Nie wolno jej było rozmawiać z obcymi ludźmi, nie wolno było bawić się z obcymi dziećmi i w żadnym wypadku nie wolno jej było wychodzić po za obręb publicznego parku. Na domiar wszystkiego, Mary, która ją przez pierwsze dni odprowadzała do parku, długo upewniała się, czy dziewczynka zna dokładnie powrotną drogę do domu i czy przypadkiem nie zabłądzi, przechodząc z ogrodu przez ulicę Arlington na Commonwealth Avenue. Pollyanna musiała wracać z parku wówczas, gdy zegar na wieży kościelnej wydzwaniał pół do piątej.

Często teraz Pollyanna udawała się na spacery do parku. Czasami nawet chodziła z którąś z koleżanek szkolnych, częściej jednak wybierała się sama. Mimo braku swobody, mimo ograniczeń, jakie jej narzuciła opiekunka, dziewczynka przepędzała czas w parku wspaniale. Mogła przecież swobodnie obserwować ludzi, chociaż nie wolno jej było z nimi rozmawiać, mogła za to rozmawiać z wiewiórkami, gołębiami i jaskółkami, które tak gorączkowo dopraszały się pożywienia, i które przywykły już do tego, że Pollyanna zawsze im coś dobrego na podwieczorek przyniosła.

Prawie codziennie Pollyanna rozglądała się uważnie w poszukiwaniu za przyjaciółmi, z którymi zawarła znajomość podczas swojej pamiętnej pierwszej eskapady — za mężczyzną, który uradował się, że posiada oczy, ręce i nogi i za przystojną młodą dziewczyną, która nie chciała dotrzymywać towarzystwa pięknemu młodzieńcowi. Niestety, przyjaciół swych spotkać jakoś nie mogła. Natomiast codziennie widywała młodego chłopca w fotelu na kółkach, z którym szczerze pragnęła poroz-

mawiać. Chłopiec także karmił ptaki i wiewiórki i oswoił je do tego stopnia, że gołębie przysiadały mu na głowie i na ramionach, a wiewiórki zaglądały do kieszeni w poszukiwaniu orzechów. Pollyanna obserwująca to wszystko z daleka, za każdym razem dostrzegała ten dziwny fakt, że aczkolwiek chłopiec najwidoczniej szczerze rozkoszował się karmieniem swych ulubieńców, to jednak zapasy, jakie przywoził ze sobą, wyczerpywały się bardzo szybko i chociaż wiewiórki domagały się większej ilości orzechów, następnego dnia znowu dostawały ich niewiele.

Gdy chłopiec nie był zajęty karmieniem ptaków i wiewiórek, zazwyczaj zatapiał się w czytaniu. Na fotelu miał zawsze dwie albo trzy zniszczone książki i jakieś pismo ilustrowane. Nie wiadomo jakim cudem znajdował się zawsze na tym samym miejscu i Pollyanna zastanawiała się nad tym, kto go tutaj przywozi. Wreszcie pewnego niezapomnianego dnia zgłębiła tę tajemnicę. Szkoły tego dnia nie było, więc przyszła do parku przed południem. Gdy tylko zajęła miejsce na swej ławce, ujrzała w głębi alejki fotel na kółkach, popychany przez chłopca o jasnych włosach i zadartym nosie. Przyjrzała się uważniej twarzy tego chłopca, po czym zerwawszy się z ławki, podbiegła ku niemu z okrzykiem radości.

— Ach, to ty, ty! Poznałam cię odrazu, choć nie wiem jak się nazywasz. Przecież to ty odprowadziłeś mnie do domu! Pamiętasz? Taka jestem zadowolona, że cię widzę! Tak chciałam ci podziękować!

— Oj, — czy to nie ta mała z Avenue?—uśmiech-

nął się chłopak. — Co się z tobą dzieje? Czyś znowu zabłądziła?

— Ach, nie! — zawołała Pollyanna, podskakując w miejscu z niewysłowionej radości. — Już więcej nie zabłądzę, bo sama chodzę tylko do parku. I nie wolno mi z nikim rozmawiać, ale z tobą to mi wolno, bo cię znam, a jego też będę znała, jak mi go przedstawisz, — dodała, rzucając rozradowane spojrzenie na chłopca, siedzącego w fotelu.

Gazeciarz uśmiechnął się przyjaźnie i poklepał po ramieniu swego towarzysza.

— Słyszałeś? Jak się na to zapatrujesz? Zaczekaj, to cię przedstawię! — i przyjął najpoważniejszą pozę. — Łaskawa pani, to jest mój przyjaciel, Sir James, Lord Murphy Alli, a to... — lecz chłopiec w fotelu nagle mu przerwał.

— Jerry, przestań gadać głupstwa! — zawołał gniewnie, poczem zwrócił się do Pollyanny z rozjaśnioną twarzą. — Widziałem cię tutaj już kilka razy. Obserwowałem, jak karmiłaś ptaki i wiewiórki, a zawsze miałaś dla nich mnóstwo pożywienia! Przypuszczam, że i ty najbardziej lubisz Sir Lancelota. Oczywiście miła jest również Lady Rowena, ale czyż nie była wczoraj przykra w stosunku do Guineveve, zabierając porcję, która dla tamtej była przeznaczona?

Pollyanna mrugała powiekami i marszczyła brwi, spoglądając to na jednego chłopca, to na drugiego i zupełnie nie pojmując, o co chodzi. Jerry zachichotał znowu, poczem popchnął fotel na stałe jego miejsce i odwrócił się, aby odejść. Przez ramię jeszcze zawołał w stronę Pollyanny:

— Słuchaj, mała, muszę ci jeszcze coś powie-

dzieć. Ten młodzieniec nie jest ani pijany, ani wariat. On tylko takimi imionami obdarza swoich tutejszych przyjaciół, — wskazał ręką, nadbiegające ze wszystkich stron ptaki i wiewiórki. — To nie są nawet imiona żyjących ludzi, tylko bohaterów książkowych. Rozumiesz teraz? On woli ich nakarmić, niż samego siebie. Głuptas, co? Żegnam cię, Sir James, — dorzucił, robiąc zabawny grymas w stronę chłopca siedzącego w fotelu. — Nie bądź zły na mnie! Zobaczymy się później, — i odszedł.

Pollyanna jeszcze ciągle mrugała powiekami i marszczyła brwi, gdy nowy znajomy odwrócił ku niej twarz uśmiechniętą.

— Nie zwracaj uwagi na Jerry. To jest jego zwykły sposób. Dałby sobie rękę uciąć dla mnie, ale lubi mi dokuczać. Gdzieś ty go widziała? Więc znał cię już dawno? A mnie nawet nie powiedział twojego nazwiska.

— Jestem Pollyanna Whittier. Zabłądziłam kiedyś na ulicy, Jerry mnie spotkał i odprowadził do domu, — wyjaśniła Pollyanna, jeszcze ciągle czując się nieswojo.

— Rozumiem. To na niego wygląda, — skinął głową chłopiec. — A czyż mnie tutaj nie przywozi codziennie?

Wyraz wzruszenia zamajaczył w oczach dziewczynki.

— Więc ty wogóle nie możesz chodzić, Sir James?

Chłopiec zaśmiał się wesoło.

— „Sir James“ rzeczywiście! To jest jeszcze jedno wariactwo Jerry. Nie jestem przecież żaden „Sir“.

Pollyanna spojrzała z wyraźnym rozczarowaniem.

— Nie jesteś? I nie jesteś także Lordem, jak on mówił?

— Naturalnie, że nie.

— Ach, a ja miałam nadzieję, że jesteś tak, jak ten Mały Lord Fauntleroy, wiesz chyba? — wyjaśniała. — I...

Lecz chłopiec przerwał jej gorączkowo:

— Więc znasz Małego Lorda Fauntleroya? A wiesz może coś o Sir Lancelocie i o Świętym Grallu, albo o Królu Arturze i o jego Okrągłym Stole, o Lady Rowenie, o Ivanhoe i o tych wszystkich?

Pollyanna potrząsnęła z powątpiewaniem głową.

— Lękam się, że nie wszystkich ich znam, — wyznała szczerze. — Czy oni wszyscy są w książkach?

Chłopiec skinął głową.

— Mam je właśnie tutaj niektóre, — rzekł. — Lubię je czytać nawet po kilka razy, bo zawsze znajduję w nich coś nowego. Zresztą żadnych innych książek nie mam. To są książki ojca. Ach, ty mały urwisie, zostaw to! — wybuchnął nagle śmiechem, gdy wiewiórka o puszystym ogonie wskoczyła mu na kolano i wsunęła nos do kieszeni. — Trzeba im będzie lepiej dać obiad, bo gotowe nas połknąć, — uśmiechnął się do Pollyanny. — To jest właśnie Sir Lancelot, on zawsze musi być pierwszy.

Z poza swoich pleców dobył małe tekturowe pudełko, i otworzył je ostrożnie, śledzony bacznym wzrokiem rozszerzonych oczu wiewiórki. Nad głową jego rozległ się teraz szum skrzydeł śpieszących na poczęstunek gołębi, za którymi przyfrunęły rów-

nież jaskółki. Sir Lancelot, uradowany i podniecony zajął w tej chwili niepodzielnie jedną z poręczy fotelu. Inny gość o równie puszystym ogonie, usadowił się o kilka centymetrów dalej. Trzecia wiewiórka, zazdrosna widocznie, poczęła hałasować nieznośnie na gałęzi sąsiedniego drzewa.

Z tekturowego pudełka chłopiec wyjął kilka orzechów, czerstwą bułkę i pączek. Przez chwilę spoglądał na pączek tęsknym wzrokiem wahająco.

— A ty co przyniosłaś? — zapytał wreszcie.

— Mam tutaj, — skinęła głową Pollyanna, wskazując papierową torbę, którą miała w ręku.

— O, to może jabym to zjadł dzisiaj, — westchnął chłopiec, chowając pączek z powrotem do pudełka z westchnieniem ulgi.

Pollyanna, nie orientując się w tym wszystkim, zanurzyła dłoń w papierową torbę i zawartością jej poczęła częstować skrzydlatych i czworonożnych gości.

Cudowna to była chwila. Dla Pollyanny popołudnie to było najprzyjemniejszym popołudniem w życiu, bo znalazła wreszcie kogoś, kto umiał mówić szybciej i dłużej, niż ona sama potrafiła. Ten obcy chłopiec zdawał się mieć niewyczerpany zasób cudownych historii o bohaterskich rycerzach i pięknych damach dworu, o ciekawych podróżach i długotrwałych wojnach. Potrafił swe historie tak barwnie opowiadać, że Pollyanna na własne oczy widziała bohaterską odwagę uzbrojonych rycerzy, i piękne damy w tkanych srebrem i złotem szatach, chociaż w rzeczywistości patrzyła tylko na stadko trzepoczących gołębi i jaskółek, oraz na puszyste wiewiórki, zabawiające się wśród wysokiej trawy.

O Paniach Dobroczynnych zupełnie zapomniała, nawet o „grze w zadowolenie“ nie myślała w tej chwili. Z pałającymi policzkami i błyszczącymi oczami przenosiła się myślą w dawne czasy, wsłuchana w opowiadanie swego towarzysza, który podczas tej jednej krótkiej godziny chciał sobie powetować długie dni szarej, ponurej samotności.

Dopiero gdy zegar na wieży kościelnej wydzwonił południe i gdy Pollyanna znalazła się już przed domem swej opiekunki, uprzytomniła sobie nagle, że nie wie, jak się nazywa ów chłopiec.

— Wiem tylko, że nie Sir James, — szepnęła do siebie, marszcząc brwi gniewnie. — Ale mniejsza o to, przecież jutro go mogę o to zapytać.

ROZDZIAŁ VIII.

Jamie.

Pollyanna jednak nie spotkała chłopca nazajutrz, deszcz bowiem padał, więc wogóle nie mogła pójść do ogrodu. Następnego dnia także padało. Trzeciego dnia nie widziała go również, bo chociaż słońce świeciło jasno, chociaż dzień był prawie upalny i chociaż poszła do parku wyjątkowo wcześnie tego popołudnia, nowy jej znajomy wogóle się nie zjawił. Zato czwartego dnia została go na jego zwykłym miejscu i podbiegła doń z radosnym powitaniem.

— Ach, jakże się cieszę, że cię widzę! Gdzieżeś się podziewał? Wczoraj wogóle cię tu nie było.

— Nie mogłem. Miałem takie bóle, że w żaden

sposób nie mogłem wyjść z domu, — wytłumaczył, a Pollyanna zauważyła, że był dzisiaj wyjątkowo blady.

— Bóle? Więc ciebie to boli? — Wyszeptała Pollyanna, przejęta współczuciem.

— O, tak, przeważnie, — skinął chłopiec głową swobodnie. — Ale zazwyczaj są to bóle do wytrzymania, wczorajsze jednak były straszne, do tego stopnia, że nie mogłem się ruszać.

— Ale jak ty możesz mieć humor, skoro cię stale boli? — dziwiła się dziewczynka.

— Jakto, nie rozumiem, — tym razem chłopiec otworzył szerzej oczy. — Przecież tak jak jest, tak widocznie musi być, to po co myśleć o tym, że mogłoby być inaczej? Zresztą im więcej boli jednego dnia, tym przyjemniej jest nazajutrz.

— Ja wiem! To tak, jak z tą grą... — zaczęła Pollyanna, lecz chłopiec nagle jej przerwał.

— A dzisiaj przyniosłaś dużo orzechów? — zapytał niespokojnie. Mam nadzieję że tak! Bo widzisz, ja dzisiaj wogóle nic nie mogłem przynieść. Jerry dziś rano nie mógł zaoszczędzić ani pensa na orzechy i nawet sam mam bardzo skromne śniadanie w pudełku.

Pollyanna spojrzała nań z przerażeniem.

— Więc mówisz, że sam będziesz miał mało na drugie śniadanie?

— Oczywiście! — uśmiechnął się chłopiec. — Ale nie martw się. Nie pierwszy to raz i nie ostatni. Już się do tego przyzwyczaiłem. O, patrz, zjawił się Sir Lancelot.

Pollyanna jednak nie myślała w tej chwili o wiewiórkach.

— A w domu także nie było nic więcej do jedzenia?

— Ach, nie, w domu nigdy nic nie zostaje, — zaśmiał się chłopiec. — Widzisz, mamcia pracuje poza domem — myje schody i pierze — więc dostaje tam jedzenie, a Jerry je, co popadnie, tylko rano i wieczorem jada z nami, jeżeli jest coś w domu do jedzenia.

Pollyanna była coraz bardziej przestraszona.

— A co robicie, jak nic nie macie?

— Chodzimy głodni oczywiście.

— Jeszcze nigdy nie słyszałam o takich ludziach, którzyby nie mieli co jeść, — dziwiła się Pollyanna. — Wprawdzie tatuś i ja też byliśmy biedni i jedliśmy groch i rybę, gdy mieliśmy apetyt na indyka, ale w każdym razie zawsze coś do jedzenia było. Dlaczego nie mówicie o tym ludziom — tym ludziom, którzy mieszkają w tych wszystkich pięknych domach?

— To co by z tego było?

— Jakto, daliby wam coś, oczywiście!

Chłopiec zaśmiał się znowu, tym razem trochę dziwnie.

— Naiwna jesteś, moja droga. I tak by nic z tego nie było. Przynajmniej nikt z tych ludzi, których ja znam, nie uwzględniłby naszej prośby i nie poczęstowałby nas ani pieczenią, ani ciastkami z kremem. Zresztą, ponieważ ty ani przez chwilę nigdy nie byłaś głodna, zupełnie zrozumiałe, że nie możesz wiedzieć, jak bardzo w takich razach smakuje suchy chleb z mlekiem. Nie potrafiłabyś tego nawet zanotować w swojej Radosnej Księdze.

— W czym?

Chłopiec zaśmiał się zażenowany i nagle poczerwieniał.

— Zapomnij o tym! Zdawało mi się przez chwilę, że rozmawiam z mamcią, albo z Jerrym.

— Ale co to jest ta twoja Radosna Księga? — szepnęła Pollyanna. — Proszę cię, powiedz. Czy są w niej rycerze, panowie i damy?

Chłopiec potrząsnął głową. Oczy mu pociemniały i zasnuła je mgła smutku.

— Nie, wcale tego nie chciałem, — westchnął głęboko. — Ale widzisz, jak człowiek nie może chodzić, nie może nawet walczyć i zdobywać trofeów, nie może marzyć o tym, aby jakaś piękna dama podała mu szpadę i udekorowała pierś złotym żetonem. — Nagły płomień zapalił się w jego oczach. Podniósł głowę, jakby w odpowiedzi na czyjeś wyzwanie, po czym w tej samej chwili ów płomień przygasł i chłopiec zapadł w milczenie.

— Taki człowiek nie jest do niczego zdolny, — mówił po chwili zmęczonym głosem. — Może tylko siedzieć i myśleć, a czas dłuży mu się okropnie. Ze mną właśnie tak jest. Chciałbym chodzić do szkoły i uczyć się tych wszystkich rzeczy, których mamcia nauczyć mnie nie może, a o których myślę tak często. Chciałbym biegać i grać w piłkę z innymi chłopcami, chciałbym wychodzić z domu i sprzedawać gazety z Jerrym. Chciałbym, aby przez całe życie nie potrzebował się mną nikt opiekować.

— Wiem, wiem, — wyszeptała Pollyanna, patrząc nań rozjaśnionym wzrokiem. — Przecież i mnie na pewien czas nogi odmówiły posłuszeństwa.

— Naprawdę? Wobec tego na pewno musisz

wiedzieć. Ale ty później wyzdrowiałaś, a ja nie, — westchnął i oczy mu jeszcze bardziej pociemniały.

— Jednakże do tej pory nie powiedziałeś mi jeszcze o Radosnej Księdze, — przypomniała mu Pollyanna po chwili.

Chłopiec drgnął i zaśmiał się zawstydzony.

— Widzisz, bo ona ma tylko wartość pewną dla mnie. Ty na pewno byś się wcale nią nie interesowała. Rozpocząłem ją rok temu. Czułem się tego dnia wyjątkowo niedobrze. Wszystko mnie drażniło. Miałem do wszystkich pretensję, siedziałem zamyślony, aż wreszcie wziąłem jedną z książek ojca i próbowałem czytać. Wzrok mój spoczął przede wszystkim na następującym ustępie, którego się później nauczyłem na pamięć:

„Przyjemności tkwią głęboko, tam, gdzie ich wcale nie widzimy. Radość istnieje w dźwięku lub w ciszy".

— Byłem oszołomiony. Zacząłem się zastanawiać nad tym, czy i w mojej ciszy jest radość i zacząłem jej szukać, wiesz, tej radości. Sięgnąłem po czysty notes, który mi kiedyś Jerry podarował i postanowiłem zapisywać w nim wszystkie moje radości. Odtąd wszystko, co mi sprawiało przyjemność, zapisywałem w notesie, aby później móc się przekonać, ile tych radości miałem.

— Tak, tak! — zawołała uradowana Pollyanna, gdy chłopiec zamilkł na chwilę.

— Nie spodziewałem się ich wiele, a okazało się, że jest ich bardzo dużo. Istniały rzeczy, które trochę lubiłem, więc i one oczywiście znalazły się w moim notatniku. Z zapisywaniem było coraz więcej roboty. Raz ktoś podarował mi kwiat w doniczce, innym

znów razem Jerry znalazł ciekawą książkę w tramwaju. Znajdowałem co raz więcej przyjemności w odszukiwaniu tych miłych drobiazgów i w ten sposób czas mi się już tak nie dłużył. Pewnego dnia Jerry znalazł mój notatnik i przeczytał wszystko, co w nim było, po czym nazwał go Radosną Księgą. Potem już tak zostało.

— Tak zostało! — zawołała Pollyanna z rozjaśnioną twarzyczką. — Przecież to jest właśnie moja gra! Zabawiasz się w „grę w zadowolenie" i sam o tym nie wiesz, a nauczyłeś się lepiej, niż ktokolwiek inny. Obawiam się, że nawet ja nie potrafiłabym w nią grać, gdybym nie miała co jeść i gdybym zupełnie chodzić nie mogła.

— Gra? Jaka gra? Ja nic o takiej grze nie wiem, zmarszczył brwi chłopiec.

Pollyanna klasnęła w dłonie.

— Wiem, że nie wiesz i dlatego to jest takie miłe i takie nadzwyczajne! Ale posłuchaj, opowiem ci.

I opowiedziała mu o wszystkim dokładnie.

— Hm! — mruknął w zamyśleniu, gdy skończyła. — I co teraz o tym wszystkim myślisz?

— Że grasz w moją grę lepiej niż ktokolwiek, a ja przecież nie znam nawet twego nazwiska i nic o tobie nie wiem! — zawołała Pollyanna, nie panując już nad sobą. — Ale chciałabym wiedzieć — chciałabym wiedzieć wszystko.

— Właściwie niewiele jest ciekawego, — odparł, wzruszając ramionami. — Zresztą patrz, przyszedł biedny Sir Lancelot i jego przyjaciele żeby im dać obiad.

— Mój Boże, już są, — westchnęła Pollyanna,

patrząc niecierpliwie na kręcące się, wygłodniałe stworzonka. Niechętnym ruchem sięgnęła po papierową torebkę, którą przyniosła ze sobą i całą jej zawartość wysypała na ziemię. — Już załatwione, więc możemy mówić dalej, — rzekła. — A tyle jeszcze chciałabym się dowiedzieć. Przede wszystkim powiedz mi, jak się nazywasz? Wiem tylko, że „Sir James".

Chłopiec uśmiechnął się.

— To tylko Jerry tak mnie nazywa, a mamcia woła mnie „Jamie".

— Jamie? — Pollyanna wstrzymała oddech, sztywniejąc z wrażenia. Błysk nadziei pojawił się w jej oczach, jednak zaraz po chwili odzwierciadliło się w nich pełne przestrachu powątpiewanie.

— Czy „mamcia" to znaczy mama?

— Naturalnie!

Pollyanna najwidoczniej posmutniała. Z twarzy jej znikł rozradowany uśmiech. Jeżeli Jamie ma matkę, to oczywiście nie może być owym Jamiem pani Carew, którego matka umarła już bardzo dawno. Ale chociaż nie jest nim, to jednak trzeba przyznać, że jest wyjątkowo interesujący.

— A gdzie ty mieszkasz? — dopytywała gorączkowo. — Czy masz jeszcze kogośkolwiek w rodzinie oprócz matki i Jerryego? Czy zawsze przyjeżdżałeś tu codziennie? Gdzie masz swoją Radosną Księgę? Czy mogłabym ją zobaczyć? Czy lekarze nie obiecują ci, że będziesz mógł kiedyś chodzić? A skąd zdobyłeś ten fotel na kółkach?

Chłopiec uśmiechnął się.

— Czy przypuszczasz, że na te wszystkie pytania będę ci mógł odrazu odpowiedzieć? Zacznę od

ostatniego i tak będę odpowiadał po kolei, jeżeli wszystkie zapamiętam. Fotel ten zdobyłem rok temu. Jerry zna takiego jednego jegomościa, który pisze do gazet, więc napisał i o mnie, że nie mogę chodzić, o wszystkim i nawet o mojej Radosnej Księdze. Pewnego dnia przyszło dwóch panów i dwie panie z tym fotelem i powiedzieli, że ten fotel jest dla mnie. Przeczytali w gazecie to, co było o mnie napisane i chcieli, żebym miał od nich pamiątkę.

— O, Boże, jaki ty musiałeś być zadowolony!

— Naturalnie, że byłem. Na ten temat całą stronę zapisałem w mojej Radosnej Księdze.

— A nigdy już nie będziesz mógł chodzić?—oczy Pollyanny napełniły się łzami.

— W każdym razie nie zanosi się na to. Mówią, że to niemożliwe.

— Ach, i o mnie to samo mówili, ale jak pojechałam do dr. Amesa i byłam tam przez rok, to zupełnie wyzdrowiałam. Może on i tobie by pomógł.

Chłopiec potrząsnął głową.

— To niemożliwe, bo i tak nie mógłbym do niego jechać. To musi bardzo dużo kosztować, więc trzeba się pogodzić z myślą, że nigdy już chodzić nie będę. Ale mniejsza o to, — odrzucił w tył głowę niecierpliwie. — Staram się wogóle o tym nie myśleć. Wiesz przecież, do czego takie myślenie doprowadza.

— Tak, tak, naturalnie i niepotrzebnie o tym mówię, — zawołała Pollyanna, odczuwając żal do samej siebie. — Najważniejsze jest to, że potrafisz w moją grę grać lepiej ode mnie. Ale mów dalej. Nie odpowiedziałeś mi jeszcze nawet na połowę pytań.

Gdzie mieszkasz i czy Jerry jest jedynym twoim bratem?

Nagła zmiana pojawiła się na twarzy chłopca. Oczy mu zabłysły.

— Tak, chociaż zasadniczo to nie jest mój brat. Nie jest nawet moim krewnym, tak samo zresztą jak i mamcia. I pomyśl tylko, jacy oni są dla mnie dobrzy!

— Co to znaczy? — zapytała Pollyanna, nie wierząc własnym uszom — więc ta — ta twoja mamcia nie jest twoją matką?

— Nie, i właśnie dlatego...

— A ty wogóle nie masz matki? — przerwała Pollyanna z wzrastającym podnieceniem.

— Nie, matki wogóle nie pamiętam, a ojciec umarł sześć lat temu.

— Ile ty wtedy miałeś lat?

— Nie wiem. Byłem bardzo mały. Mamcia powiada, że mogłem mieć najwyżej sześć lat. To znaczy wtedy, kiedy oni mnie do siebie wzięli.

— I na imię ci Jamie? — Pollyanna z trudem wstrzymywała oddech.

— No tak, przecież powiedziałem.

— A jakie jest twoje nazwisko? — tęsknie, lecz bojaźliwie zapytała Pollyanna.

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

— Nie pamiętam. Przypuszczam, że byłem za mały. Nawet Murphyowie nie wiedzą. Zawsze mnie tylko znali jako Jamie.

Rozczarowanie odmalowało się na twarzy Pollyanny, lecz w tym samym momencie myśl jakaś odegnała ten chwilowy cień.

— Jeżeli nie wiesz, jak brzmi twoje nazwisko, to na pewno nie będziesz również wiedział, czy przypadkiem nie nazywasz się Kent! — zawołała.

— Kent? — zdziwił się chłopiec.

— Tak, — odparła Pollyanna w podnieceniu. — Bo widzisz, był taki mały chłopiec nazwiskiem Jamie Kent, który... — urwała nagle, przygryzając wargi. Przyszło jej na myśl w tej chwili, że lepiej będzie jak nie zwierzy się przed chłopcem ze swojej nadziei, że on właśnie mógł być owym zaginionym Jamie. Najlepiej samej się najprzód upewnić na ten temat, bo gotowa mu zamiast radości, dostarczyć tylko jeszcze więcej goryczy. Pamiętała dobrze, jak bardzo rozczarowany był Jimmy Bean, gdy zmuszona mu była powiedzieć, że Panie Dobroczynne nie chcą go już więcej i gdy z początku nie chciał go również Pendleton. Postanowiła nie popełniać tego błędu po raz drugi, to też natychmiast przybrała minę jak najbardziej obojętną i rzekła:

— Ale mniejsza o Jamie Kenta. Opowiedz mi lepiej o sobie. Jestem szalenie ciekawa!

— Właśnie niewiele jest do opowiadania. Nie wiem o niczym przyjemnym, — zawahał się chłopiec. — Podobno ojciec mój był — był bardzo dziwny i nigdy z nikim nie rozmawiał. Sąsiedzi nie znali nawet jego nazwiska, tylko nazywali go „profesorem“. Mamcia powiada, że mieszkaliśmy obydwaj w maleńkim pokoiczku na poddaszu domu w Lowell, gdzie mamcia do tej pory mieszka. Mamcia była wtedy bardzo biedna, ale nie tak biedna jak dzisiaj. Ojciec Jerryego żył wówczas i pracował.

— Tak, tak, mów dalej, — zachęcała Pollyanna.

— Otóż mamcia powiada, że mój ojciec był cho-

ry i stawał się co raz bardziej dziwny, więc oni zabierali mnie do siebie na dół, żebym ciągle tak z nim nie siedział. Mogłem wtedy trochę chodzić, ale nogi nie były zupełnie w porządku. Bawiłem się z Jerrym i z jego małą siostrzyczką, która umarła. Jak ojciec umarł, nie było nikogo, ktoby mnie zabrał, więc niektórzy sąsiedzi chcieli mnie oddać do przytułku dla sierot. Właśnie ta mała dziewczynka umarła, więc powiedzieli, że ja zajmę jej miejsce. I od tego czasu u nich jestem. Czułem się coraz gorzej, a oni też są coraz biedniejsi od czasu, jak ojciec Jerryego umarł, trzymają mnie jednak u siebie. No, czy nie uważasz, że to jest prawdziwa miłość bliźniego?

— Tak, o, tak, — zawołała Pollyanna. — Ale otrzymają swoją nagrodę, otrzymają na pewno! — Pollyanna drżała już teraz z podniecenia. Ostatni cień zwątpienia pierzchnął bezpowrotnie. Odnalazła zaginionego Jamie. Była tego pewna. Ale lepiej nic jeszcze nie mówić o tym. Najprzód musi go zobaczyć pani Carew. A później — później...! Nawet Pollyannę imaginacja zawodziła, gdy chciała sobie wyobrazić panią Carew i Jamie w tej chwili wielkiego szczęścia.

Skoczyła na równe nogi, nie zważając zupełnie na Sir Lancelota, który wrócił znowu i ośmielił się wejść na kolana w poszukiwaniu większej ilości orzechów.

— Muszę już teraz iść, ale jutro tu przyjdę. Możliwe, że przyjdę z jedną panią, którą na pewno chętnie poznasz. Ty będziesz tu także jutro, prawda?— zapytała z niepokojem.

— Oczywiście, o ile tylko będzie pogoda. Jerry

przywozi mnie tutaj prawie codziennie rano. Później już by nie mógł, bo musi sprzedawać gazety. Zabieram swój obiad i zostaję do czwartej. Jerry jest bardzo dobry dla mnie, jak brat.

— Wiem, wiem, — skinęła głową Pollyanna. — Może znajdziesz kogoś takiego, kto będzie dla ciebie także bardzo dobry, — uśmiechnęła się i z uśmiechem tym szybko pobiegła do domu.

ROZDZIAŁ IX

Plany i projekty.

W drodze do domu Pollyanna układała pełne nadziei plany. Jutro za wszelką cenę musi nakłonić panią Carew, aby poszła z nią na spacer do publicznego parku. W jaki sposób plan ten zdoła przeprowadzić, sama jeszcze nie orientowała się dokładnie, wiedziała tylko, że to jest konieczne.

O tym, żeby powiedzieć pani Carew po prostu, że odnalazła Jamie i że pragnie, aby ona sama go zobaczyła — nie mogło być mowy. Przecież zachodziła możliwość, że to wcale nie był ten Jamie, a jeżeli tak było istotnie i jeżeli rozpaliłaby w duszy pani Carew płonne nadzieje, rezultat mógłby być tragiczny. Pollyanna wiedziała od Mary, że już dwukrotnie pani Carew narażana była na głębokie rozczarowanie, gdy jej wskazano jakiegoś rzekomo znalezionego chłopca, który jednak, jak się okazało, absolutnie nie był podobny do synka zmarłej siostry. Zdawała więc sobie sprawę, że w żaden sposób nie może powiedzieć pani Carew, dlaczego tak

bardzo zależy jej na tym, aby wraz z nią udała się do parku. Ale to byłby przecież jedyny sposób, przekonywała samą siebie Pollyanna, biegnąc uszczęśliwiona do domu.

Los jednakże, jak się okazało, jeszcze raz postanowił wtrącić się w te przykre sprawy, bo nazajutrz, wyjrzawszy przez okno, Pollyanna przekonała się, że pogoda absolutnie nie nadaje się do spaceru po ogrodzie. Gorzej jeszcze, bo ani następnego dnia, ani też po dwóch dniach chmury za żadną cenę nie chciały się przerzedzić i dziewczynka zmuszona była wszystkie trzy popołudnia przepędzić na wędrowaniu od okna do okna, spoglądaniu w niebo i ciągłem zadawaniu jednego i tego samego pytania:

— Jak pani myśli, czy wygląda na to, że się wypogodzi?

Tak niezwykłe było to zachowanie ze strony zawsze wesołego i pogodnego dziecka i tak irytująco wpływało jedno i to samo pytanie, powtarzane co chwilę, że pani Carew wreszcie straciła cierpliwość.

— Na miłość boską, dziecko, o co ci chodzi? — wybuchnęła. — Nigdy nie przypuszczałam, że potrafisz tak kaprysić na temat pogody. A gdzież się podziała dzisiaj twoja „gra w zadowolenie"?

Pollyanna poczerwieniała i zawstydziła się.

— Mój Boże, rzeczywiście zapomniałam w tej chwili o mojej grze, — przyznała. — A przecież na pewno znalazłabym coś przyjemnego, gdybym tylko poszukała. Na przykład przyjemnie jest pomyśleć, że kiedyś przecież deszcz przestanie padać, jeżeli Pan Bóg nie ześle nowej chmury. Ale widzi pani, tak chciałam, żeby dzisiaj było ładnie.

— Dlaczego specjalnie dzisiaj?

— Ach, bo... bo miałam ochotę pójść na spacer do parku, — Pollyanna usiłowała mówić najbardziej obojętnie. — Myślałam... myślałam nawet, że pani także zechce pójść ze mną. — Zewnętrznie Pollyanna była szalenie odważna, lecz w duszy spalało ją poprostu gorączkowe podniecenie.

— Ja mam iść na spacer do parku? — zdziwiła się pani Carew, unosząc ku górze brwi. — Bardzo ci dziękuję, ale obawiam się, że nic by z tego nie było, — dorzuciła z uśmiechem.

— Ach, przecież by pani chyba nie odmówiła! — wyszeptała Pollyanna z nagłym przerażeniem.

— Owszem, odmawiam.

Polyanna z trudnością przełknęła ślinę. Twarzyczka jej stawała się co raz bardziej blada.

— Ależ, proszę nie mówić, że pani nie pójdzie, jak będzie pogoda, — błagała. — Ja ze specjalnej przyczyny chciałabym, żeby pani poszła ze mną ten jeden raz.

Pani Carew zmarszczyła brwi. Otworzyła już usta, aby wypowiedzieć „nie", jeszcze bardziej stanowczo, lecz coś w błagalnym wzroku Pollyanny powstrzymało ją od tego i w zamian z otwartych ust padła nieoczekiwana obietnica.

— Dobrze, dobrze, dziecko, niech i tak będzie. Ale jak ci przyrzeknę pójść, ty musisz mi ze swojej strony przyrzec, że chociaż przez godzinę nie będziesz podchodziła do okna i nie będziesz pytała, czy myślę że się wypogodzi.

— Dobrze, będę — chciałam powiedzieć, że nie będę, — odparła zadyszana Pollyanna, po czym, widząc że jaśniej staje się na dworze, mimo woli pód-

biegła do okna, wołając radośnie: — Jak pani myśli, czy się... Ach! — urwała nagle z przerażeniem i wybiegła z pokoju.

Nieoczekiwanie „wypogodziło się“ następnego ranka. Lecz chociaż słońce świeciło jasno, na dworze panował przykry chłód i po południu, gdy Pollyanna wróciła ze szkoły, zerwał się bardzo silny wiatr. Mimo wszelkich protestów jednak, upierała się, że dzień jest wyjątkowo piękny i zaznaczyła, że będzie bardzo zmartwiona, jeżeli pani Carew nie pójdzie z nią na spacer do parku. I pani Carew poszła, chociaż z początku oponowała.

Jak było do przewidzenia, wyprawa okazała się bezowocna. Zniecierpliwiona kobieta i zaniepokojona dziewczynka, drżąc, śpiesznie przebiegały wszystkie alejki parkowe. Pollyanna, nie znalazłszy chłopca w zwykłym jego miejscu, szukała go po wszystkich kątach i zakamarkach ogrodu. Była wreszcie w parku i zdołała sprowadzić tutaj panią Carew, a Jamie nie mogła znaleźć i co gorsza, nie mogła pisnąć o tym ani słowem pani Carew. Wreszcie zziębnięta i przemęczona, pani Carew zażądała powrotu do domu i Pollyanna z rozpaczą w duszy poszła.

Nastały smutne dni dla Pollyanny. To, co dla niej graniczyło z tragedią, a w oczach pani Carew było tylko zwykłą „niepogodą“, pogarszało jeszcze nastrój, stwarzało pustkę i czyniło życie bezbarwnym. Jeżeli w przerwach choć na chwilę wyłaniało się z poza chmur słońce, Pollyanna wybiegała do parku, lecz za każdym razem na próżno. Jamie nie było. Nastała połowa listopada i nawet ten przyjemny i wesoły park stał się teraz dziwnie ponury. Drzewa

stały nagie, ławki prawie puste i ani jednej łódki nie widać było na stawku. Wprawdzie wiewiórki i gołębie trwały na swoich stanowiskach, a jaskółki fruwały stadami jak zwykle, lecz karmić je było raczej przykro niż radośnie, bo każde machnięcie ogonem Sir Lancelota przywodziło gorzkie wspomnienia o chłopcu, który mu nadał to imię i którego nie było teraz tutaj.

— I pomyśleć, że nie dowiedziałam się nawet, gdzie mieszka! — powtarzała wciąż do siebie Pollyanna w miarę upływających dni. — A na pewno to był Jamie, jestem przekonana. I teraz będę musiała czekać i czekać dopóki wiosna nie nadejdzie, dopóki nie będzie wystarczająco ciepło, żeby tu mógł przyjść znowu. A wtedy może ja znowu nie będę tu mogła przychodzić. O, Boże, Boże, przecież to był Jamie, jestem pewna, że to był on!

Wreszcie pewnego słotnego popołudnia stało się coś nieoczekiwanego. Przechodząc korytarzem nagórze, Pollyanna usłyszała z dolnego hallu jakieś gniewne głosy, z których jeden był głosem Mary, drugi zaś... Ten drugi głos właśnie mówił:

— Przestałaby pani! Tu nie ma mowy o jałmużnie. Pani rozumie? Chcę widzieć tę małą, Pollyannę. Mam dla niej wiadomość od... od Sir Jamesa. Może by pani tę małą tu zawołała.

Z okrzykiem radości Pollyanna zawróciła i zbiegła szybko po schodach.

— Ach, jestem właśnie, jestem! — zawołała, wstrzymując oddech. — Co się stało? Czy Jamie cię przysłał?

Pod wpływem podniecenia omal nie rzuciła się

chłopcu na szyję, lecz zapobiegła temu przerażona i zgorszona Mary.

— Panno Pollyanno, panno Pollyanno, więc panienka go zna — tego żebraka?

Chłopiec zarumienił się gniewnie, lecz zanim zdążył przemówić, Pollyanna już samorzutnie stanęła w jego obronie.

— To nie jest wcale żebrak. On jest moim najserdeczniejszym przyjacielem, zresztą to właśnie on odprowadził mnie do domu, jak wtedy zabłądziłam, — po czym zwróciła się do chłopca, powtarzając raz jeszcze: — Co się stało? Czy Jamie cię przysłał?

— Oczywiście, że on. Zaziębił się miesiąc temu i dotychczas nie wstał.

— Co takiego? — zdziwiła się Pollyanna.

— Zaziębił się, — położył się do łóżka. Jest chory i chce się z tobą widzieć. Przyjdziesz?

— Chory? O, jak mi przykro! — Zmartwiła się Pollyanna. — Naturalnie, że przyjdę. Pójdę tylko po kapelusz i płaszcz i zaraz wrócę.

— Panno Pollyanno!— zawołała Mary w najwyższym zgorszeniu. — Tak panienka mówi, jakby pani Carew pozwoliła panience pójść z jakimś obcym chłopakiem!

— Ależ on nie jest wcale obcy, — zaprotestowała Pollyanna. — Znam go od dawna i muszę tam iść. Ja...

— Na miłość boską, co to wszystko znaczy? — zawołała pani Carew lodowatym tonem, ukazując się w drzwiach salonu. — Pollyanno, kto jest ten chłopiec i co on tutaj robi?

Pollyanna odwróciła się z mimowolnym okrzykiem.

— Ach, proszę pani, pani mi pozwoli pójść, prawda?

— Dokąd pójść?

— Zobaczyć się z moim bratem, proszę pani, — wtrącił pośpiesznie chłopak, usiłując być grzecznym. — On jest chory i nie da mi chyba spokoju, dopóki jej nie przyprowadzę. Ciągle myśli o niej.

— Czy mogę pójść, pani mi pozwoli? — prosiła Pollyanna.

Pani Carew nachmurzyła się.

— Pójść z tym chłopcem — ty? Oczywiście że nie, Pollyanno! Dziwię się, że śmiałaś przez chwilę pomyśleć o tem.

— Ale ja bym chciała, żeby i pani ze mną poszła, — szepnęła zawstydzona dziewczynka.

— Ja? Głupstwa pleciesz, moje dziecko! To niemożliwe. Możesz dać temu chłopcu trochę pieniędzy, jeśli chcesz, ale...

— Dziękuję pani, ja tu nie przyszedłem po pieniądze, — zawołał chłopak, a oczy pałały mu gniewem. — Przyszedłem tutaj po nią.

— Tak, proszę pani, to jest Jerry - Jerry Murphy, ten chłopiec który mnie znalazł, jak zginęłam i odprowadził do domu. Czy teraz pozwoli mi pani iść?

Pani Carew potrząsnęła przecząco głową.

— Nie ma o czym mówić, Pollyanno.

— Ale on powiada, że ja... że tamten chłopiec jest chory i chce mnie widzieć!

— Na to, niestety, nic pomóc nie mogę.

— Ale ja go naprawdę znam bardzo dobrze, pro-

szę pani. Mówię prawdę. On czyta książki, takie śliczne książki, w których jest pełno rycerzy, możnych panów i dam, karmi ptaki i wiewiórki i nadaje im imiona, poza tym nie może chodzić i często po całych dniach nie ma nic do jedzenia. Ten chłopiec od roku już gra w moją grę, a wcale o tym nie wiedział i gra w nią o wiele lepiej ode mnie. Naprawdę, proszę pani, ja muszę tam iść do niego, — Pollyanna już prawie szlochała. — Nie mogę go znowu utracić!

Rumieniec gniewu ukazał się na policzkach pani Carew.

— Pollyanno, pleciesz głupstwa. Jestem zdziwiona. Jestem zaskoczona tym, że upierasz się przy czymś, czego ja nie pochwalam. Nie mogę pozwolić na to, żebyś poszła z tym chłopcem. A teraz proszę cię, żebym więcej o tym nie słyszała!

Nowy wyraz odmalował się na twarzy Pollyanny. Z przerażoną minką podniosła głowę i spojrzała prosto w oczy pani Carew, poczem drżącym, lecz poważnym tonem rzekła:

— Wobec tego powiem już pani. Chciałam milczeć, dopóki się nie upewnię. Chciałam, żeby go pani najprzód zobaczyła. Ale teraz muszę powiedzieć. Nie mogę go stracić znowu. Mam wrażenie, że to jest Jamie.

— Jamie! Ale nie mój Jamie! — Pani Carew nagle zbladła.

— Niemożliwe!

— Wiem o tym, ale na imię mu Jamie, a nazwiska swego nie zna. Ojciec mu umarł, jak miał sześć lat, a matki swojej zupełnie nie pamięta. Przypuszcza, że ma teraz dwanaście lat. Ci ludzie zabrali go

po śmierci ojca, ojciec zaś za życia był strasznie dziwny, nie powiedział nikomu swego nazwiska i...

Lecz pani Carew przerwała jej ruchem ręki. Była teraz jeszcze bledsza niż przed tym, lecz oczy jej płonęły niesamowitym ogniem.

— Pójdziemy tam natychmiast, — zawołała. — Mary, powiedz Perkinsowi, żeby wóz jak najprędzej był gotowy. Pollyanno, biegnij po płaszcz i kapelusz. Chłopcze, proszę cię, zaczekaj chwilę. Zaraz będziemy gotowe i pójdziemy z tobą, — i pani Carew pobiegła śpiesznie na górę.

Chłopak czekający na dole w hallu odetchnął głęboko.

— Patrzcie państwo! — gwizdnął przez zęby. — To nawet autobusem nie trzeba będzie jechać! Taka jazda to dopiero pierwsza klasa! Ciekawe, co na to powie Sir James?

ROZDZIAŁ X.

W rodzinie Murphyów.

Z głuchym warkotem, który jest tak charakterystyczny, jeżeli chodzi o luksusowe limuzyny, auto pani Carew pomknęło w dół alei Commonwealth i ulicą Arlington do placu Karola. Wewnątrz siedziała jasnooka dziewczynka i blada, najwidoczniej zdenerwowana elegancka kobieta. Na siedzeniu przy motorze, ku niechęci zgorszonego szofera, zajął miejsce Jerry Murphy, niezwykle dumny i przejęty swoją misją.

Gdy limuzyna zatrzymała się przed odrapaną

bramą, na wąskiej, brudnej uliczce, chłopak wyskoczył na chodnik i naśladując maniery lokaja w liberii, które niejednokrotnie miał okazję zaobserwować, otworzył usłużnie drzwiczki auta, czekając aż panie wysiądą.

Pollyanna wyskoczyła od razu i oczy jej rozszerzyły się przestrachem, gdy rozejrzała się dokoła. Za jej przykładem poszła pani Carew, drżąca na całym ciele, z wzrokiem pałającym, spoglądająca nieufnie na gromadkę obdartych dzieci, które szczebiocąc i wymyślając sobie nawzajem, bawiły się przed kamienicą, a teraz z ciekawością otoczyły auto.

Jerry począł wymachiwać gniewnie rękami.

— Wynosić mi się stąd! — wołał do tłumu dzieciarni. — Tu nie jest bezpłatne kino! W tej chwili uciekajcie. Z drogi. Goście przyjechali do naszego Jamie.

Pani Carew zadrżała znowu i położyła dłoń na ramieniu Jerryego.

— Daj spokój! — mitygowała go.

Ale chłopiec nie słyszał. Rozpychając się pięściami i łokciami, torował drogę znakomitym gościom i nim pani Carew zdążyła się zorientować, znajdowała się już wraz z chłopcem i Pollyanną u podnóża krzywych schodów, prowadzących do ciemnego, cuchnącego korytarza.

Jeszcze raz wyciągnęła przed siebie drżącą rękę.

— Zaczekajcie, — rozkazała szeptem. — Pamiętajcie! Żeby żadne z was nie powiedziało ani słowa, że... że to może ten chłopiec, którego szukam. Muszę najprzód sama zobaczyć i zadać mu kilka pytań.

— Oczywiście! — zgodziła się Pollyanna.

— To się wie, — skinął głową chłopiec. — Ja tam nie będę przeszkadzał. Proszę tylko wchodzić ostrożnie po tych schodach, bo wszędzie są dziury, a często można spotkać tutaj jakiegoś śpiącego dzieciaka. Winda jest dzisiaj nieczynna, — zażartował wesoło. — Musimy pójść na górę piechotą!

Pani Carew wkrótce sama przekonała się o owych „dziurach", w które co chwila wpadały jej obcasy, dostrzegła również zapowiedzianego „dzieciaka" — dwuletnie maleństwo, bawiące się jakimś blaszanym pudełkiem i narabiające mnóstwo hałasu na całych schodach. Ze wszystkich stron drzwi były otwarte, lub uchylone, i co chwilę przez wąską szczelinę ukazywała się jakaś twarz kobieca lub brudna twarzyczka dziecka. Z niektórych mieszkań dobiegał głośny płacz niemowlęcia, z innych znów przekleństwa wypowiadane męskim głosem. Zewsząd czuć było zapach wódki, gotującej się kapusty i dawno nie mytych ciał ludzkich.

Na trzecim i ostatnim piętrze chłopiec zatrzymał się przed jakimiś zamkniętymi drzwiami.

— Właśnie myślę o tym, co powie Sir James, gdy zobaczy paczkę, którą mu przyniosłem, — wyszeptał przyciszonym głosem. — Mamcia to na pewno będzie płakać, jakby Jamie od nas odchodził. — Po chwili otworzył na oścież drzwi z radosnym okrzykiem: — Już jesteśmy, przyjechaliśmy autobusem! Lepiej się czujesz, Sir James?

Był to maleńki pokoik, zimny, niewesoły i beznadziejnie pusty, lecz czysty i schludny. Nikt nie wychylił głowy przez otwarte drzwi, nie było tu rozkrzyczanych dzieci, nie unosiła się w powietrzu przykra woń wódki, kapusty, czy ludzkiego brudu.

W pokoiku stały dwa łóżka, trzy połamane krzesła, zwykły stół z surowego drzewa i komin z dogasającym ogniem, który widocznie rozpalany był tylko wówczas, kiedy przejmujące zimno dawało się dobrze we znaki mieszkańcom. Na jednym z łóżek leżał chłopiec o zaczerwienionych policzkach i pałających gorączką oczach. Przy nim siedziała szczupła, blada kobieta, pochylona i zgarbiona od reumatyzmu.

Pani Carew weszła do pokoju i jakby pragnąc dodać samej sobie odwagi, przystanęła na chwilę, oparta plecami o ścianę. Pollyanna spiesznie pobiegła naprzód z radosnym okrzykiem, Jerry zaś, usprawiedliwiwszy się krótkim: — Zaraz wrócę, przepraszam! — zniknął za drzwiami.

— Ach, Jamie, tak się cieszę że cię znalazłam, — zawołała Pollyanna. — Nie wiesz nawet, że szukałam cię codziennie. Ale przykro mi, że jesteś chory!

Jamie uśmiechnął się radośnie i wyciągnął ku niej wychudzoną rękę.

— Ja się nie martwię — jestem zadowolony, — odparł wymownie, —bo dzięki temu przyszłaś mnie odwiedzić. Zresztą już teraz czuję się lepiej. Mamciu, to jest ta mała dziewczynka, która mnie nauczyła „gry w zadowolenie". Mamcia już także w to gra, — zawołał z triumfem, zwracając się do Pollyanny. — Z początku płakała, że ją plecy bolą i że nie może nic robić, ale później, gdy ja zachorowałem, zaczęła się cieszyć, że nie pracuje, bo chociaż może mną się opiekować.

W tej chwili pani Carew postąpiła kilka kroków naprzód, patrząc z przestrachem i jednocześnie z tęsknotą w twarz chłopca leżącego w łóżku.

— To jest pani Carew. Przyszła tu ze mną, aby cię zobaczyć, Jamie, — przedstawiła Pollyanna drżącym głosikiem.

Szczupła, zgarbiona kobieta podniosła się w tej chwili z wysiłkiem, podsuwając gościowi krzesło. Pani Carew przyjęła zaproszenie, nie patrząc nawet na właścicielkę mieszkania. Wzrok jej przez cały czas był utkwiony w twarz chłopca.

— Na imię ci Jamie? — zapytała z widocznym trudem.

— Tak, proszę pani. — Jasne jego oczy nie unikały jej spojrzenia.

— A jak się nazywasz?

— Nie wiem.

— To nie jest pani syn? — po raz pierwszy pani Carew zwróciła się do bladej kobiety, stojącej wciąż przy łóżku.

— Nie, łaskawa pani.

— I nie zna pani jego nazwiska?

— Nie, łaskawa pani. Nigdy go nie znałam.

Z wyrazem rozpaczy pani Carew zwróciła się znowu do chłopca.

— Ale pomyśl, pomyśl — nie przypominasz sobie, jak się nazywałeś, Jamie?

Chłopiec potrząsnął przecząco głową. W oczach jego pojawiło się zdziwienie.

— Nie, nic zupełnie.

— Czy nie masz nic takiego, co należało kiedyś do twego ojca i na czym mogło by być jego nazwisko?

— Nie pozostawił nic wartościowego, oprócz książek,—wtrąciła się do rozmowy pani Murphy.— Tutaj leżą. Może pani chce je przejrzeć, — zapropo-

nowała, wskazując rząd zniszczonych tomów na półce. Po chwili z nieopanowaną ciekawością zapytała: — Czy pani sądzi, że go pani kiedyś znała?

— Nie wiem, — wyszeptała pani Carew jakimś nie swoim głosem, wstając i podchodząc do półki z książkami.

Książek tych nie było wiele — dziesięć albo dwanaście. Stał tam jakiś tom utworów Szekspira, pozatem „Ivanhoe", bardzo zniszczona „Bogini jeziora", tom zbiorowych poezyj, Tennyson bez oprawy, zrujnowany zupełnie „Mały Lord Fauntleroy" i dwie czy trzy książki, jak się okazało — historia starożytna i średniowieczna. Lecz chociaż pani Carew przeglądała uważnie każdą książkę z oddzielna, nigdzie nie znalazła ani śladu nazwiska właściciela. Z głębokim westchnieniem powróciła do leżącego chłopca i do bladej kobiety, którzy obydwoje w tej chwili patrzyli na nią zdziwionymi i pytającymi oczami.

— Chciałabym, żebyście mi powiedzieli wszystko, co sami wiecie, — rzekła urywanym głosem, padając bezsilnie na krzesło stojące przy łóżku.

I chłopiec zaczął mówić. Była to mniej więcej ta sama historia, jaką opowiedział Pollyannie w parku. Niewiele było w niej nowego, nic specjalnie ważnego, z wyjątkiem tajemniczych zapytań, jakie zadawała pani Carew. Skończywszy opowiadanie, Jamie utkwił gorączkowe spojrzenie w twarzy pani Carew.

— Pani przypuszcza, że znała mego ojca? — zapytał błagalnie.

Pani Carew przymknęła oczy i drżącą dłoń przyłożyła do czoła.

— Nie wiem, — odpowiedziała, — ale przypuszczam, że nie.

Pollyanna wydała okrzyk głębokiego rozczarowania, lecz zaraz umilkła, posłuszna ostrzegawczemu spojrzeniu pani Carew. Z nowym przerażeniem jednak poczęła rozglądać się po izdebce.

Jamie, odwróciwszy oczy od pani Carew, nagle zbudził się do swych obowiązków gospodarza.

— Ładnie z twojej strony, że przyszłaś! — rzekł do Pollyanny z wdzięcznością. — Jak tam Sir Lancelot? Czy ciągle go jeszcze karmisz? — a gdy Pollyanna nie odpowiedziała od razu, przeniósł pośpiesznie wzrok z jej twarzyczki na coś czerwonego w pękniętej butelce na oknie. — Widziałaś mój bukiet? Jerry go znalazł. Ktoś go widocznie zgubił, a on podniósł. Prawda, że piękny? Nawet trochę pachnie.

Lecz Pollyanna zdawała się nie słyszeć tego, co mówił. Szeroko rozwartymi oczami rozglądała się po pokoju, składając to znów rozkładając nerwowo dłonie.

— Nie rozumiem tylko, jak możesz wogóle tutaj grać w moją grę, Jamie, — szeptała. — Nie przypuszczałam, że może istnieć podobnie okropne mieszkanie, — dorzuciła z drżeniem.

— Ho! — uśmiechnął się Jamie wyzywająco. — To powinnaś widzieć mieszkanie Pików na dole. Tamto jest o wiele gorsze od naszego. Nie wyobrażasz sobie, ile pięknych rzeczy jest w tym pokoju. Mamy na przykład słońce codziennie najmniej przez dwie godziny, a gdy się podejdzie zupełnie blisko do okna, to można zobaczyć spory kawałek nieba. Żebyśmy tylko mogli mieć dalej ten pokój, bo lę-

kamy się że będziemy się musieli stąd wyprowadzić, a to nas najbardziej martwi.

— Wyprowadzić?

— Tak. Zalegamy z komornem, bo mamcia była tak chora, że nie mogła nic zarobić. — Mimo wesołego uśmiechu głos Jamie drżał w tej chwili. — Panna Dolan z parteru, ta, która przechowuje mój fotel na kółkach — dopomaga nam już od kilku dni. Ale przecież nie będzie mogła zawsze, więc będziemy musieli stąd pójść, chyba, że Jerry nagle się zbogaci.

— Ach, czy nie można byłoby... — zaczęła szeptem Pollyanna.

Urwała nagle. Pani Carew podniosła się nagle z krzesła i zawołała śpiesznie:

— Chodźmy, Pollyanno, musimy już iść, — a po chwili zmęczonym głosem do właścicielki nędznego pokoiku: — Nie potrzebuje się pani wyprowadzać. Zaraz przyślę trochę pieniędzy i prowiantów i zawiadomię o pani jedno z towarzystw dobroczynnych, w którym sama jestem zainteresowana. Z pewnością...

Nagle przestała mówić. Pochylona postać bladej kobiety nieoczekiwanie wyprostowała się. Policzki pani Murphy pałały, oczy jej płonęły ogniem gniewu.

— Bardzo pani dziękuję, nie trzeba, — zawołała drżącym głosem, lecz z dumą. — Jesteśmy biedni— Bóg wie najlepiej, ale jałmużny nie potrzebujemy.

— Przesada! — zawołała pani Carew ostro. — Zgadzacie się na to, żeby wam pomagała ta kobieta z dołu. Tak przynajmniej mówił ten mały.

— Tak, ale to nie jest jałmużna, — zaprotestowa-

ła zgarbiona kobieta. — Pani Dolan jest moją przyjaciółką i wie o tym, że w razie potrzeby i ja bym jej przyszła z pomocą. Pomoc ze strony przyjaciół nie jest jałmużną. Oni to robią pod wpływem uczucia, więc jest w tym pewna różnica. Nie zawsze nam tak było, jak jest dzisiaj i dlatego to takie bolesne. Dziękuję pani, ale nie możemy przyjąć od pani pieniędzy.

Pani Carew zmarszczyła brwi gniewnie. Ta chwila była dla niej bardzo nieprzyjemna i pełna rozczarowania. Pani Carew nigdy nie grzeszyła zbytnią cierpliwością, teraz jednak panowała nad sobą, choć była bardzo zmęczona.

— Dobrze, niech i tak będzie,—zauważyła chłodno, poczem z wyraźną irytacją dorzuciła: — Ale dlaczego nie pójdzie pani do swego gospodarza i nie zażąda, żeby tu pewne rzeczy ponaprawiał? Przecież należy się pani coś więcej, niż potłuczone szyby w oknach, które się zastępuje papierem i gałganami. A i te schody, którymi wchodziłam tutaj, są stanowczo dla ludzi niebezpieczne.

Pani Murphy westchnęła ze smutkiem. Pochyliła się teraz jeszcze bardziej niż przed tym.

— Próbowaliśmy coś zrobić, lecz nigdy nic osiągnąć nie można. Gospodarza nie znamy, tylko administratora, a ten powiada, że komorne jest zbyt niskie, aby jeszcze kłaść pieniądze w naprawy.

— Głupstwa plecie! — obruszyła się pani Carew z całą ostrożnością osoby nerwowej, która wreszcie znalazła ujście dla swej irytacji. — Przecież to wstyd! Zresztą lokatorzy mają prawo żądać. Te schody są okropne. Już ja w tym będę, żeby tutaj poczyniono najważniejsze naprawy. Jak się nazy-

wa ten administrator i kto jest właścicielem tego zaniedbanego domu?

— Nazwiska właściciela nie znam, łaskawa pani, a administratorem jest pan Dodge.

— Dodge! — pani Carew drgnęła nagle i dziwna zmiana pojawiła się na jej twarzy. — Nie ma pani chyba na myśli Henry Dodgea?

— Owszem, proszę pani. Mam wrażenie, że mu właśnie na imię Henry.

Rumieniec zażenowania wypłynął na twarz pani Carew, po chwili jednak ustąpił, czyniąc ją jeszcze bledszą niż dotychczas.

— Dobrze, ja... ja się już tym zajmę, — wyszeptała niepewnie, idąc ku drzwiom. — Chodźmy, Pollyanno, musimy już teraz iść.

Pollyanna stała pochylona nad łóżkiem, ze łzami w oczach żegnając chorego Jamie.

— Ale ja przyjdę znowu. Na pewno przyjdę wkrótce, — obiecywała serdecznie, wychodząc za panią Carew.

Przez cały czas, gdy schodziły po schodach z trzech wysokich pięter, gdy przedzierały się z trudem przez rozgadany i żywo gestykulujący tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy otaczali zniechęconego Perkinsa i wspaniałą limuzynę — Pollyanna milczała. Lecz doczekawszy się zaledwie, aby szofer zatrzasnął za nimi drzwiczki auta, wyszeptała błagalnie:

— Proszę, bardzo proszę, niech pani powie, że to był Jamie! Jemu byłoby naprawdę dobrze, gdyby to właśnie był on.

— Ale to nie jest Jamie.

— O Boże! Czy pani jest pewna?

Zaległa chwila ciszy, poczem pani Carew nagle ukryła twarz w dłoniach.

— Nie, nie jestem pewna i w tym jest właśnie cała tragedia, — jęknęła. — Wątpię, czy to jest on, a raczej pewna jestem, że nie. Ale oczywiście istnieje ta możliwość i to mnie właśnie zabija.

— A czy nie może pani wyobrazić sobie, że to jest Jamie, — prosiła Pollyanna, — i udawać, że to właśnie jest on? Mogłaby go pani wtedy zabrać do domu i... — lecz pani Carew drgnęła przerażona.

— Zabrać tego chłopca do swego domu wówczas, gdy to nie jest Jamie? Nigdy Pollyanno! To byłoby niemożliwe.

— Ale jeżeli nie może pani pomóc Jamie, to jestem pewna, że on byłby bardzo zadowolony, że jest ktoś, komu pani pomaga, — argumentowała Pollyanna nieśmiało. — A co jeżeli ten pani Jamie jest taki właśnie jak ten Jamie, biedny i chory i jeżeli nie ma nikogo, kto by mu przyszedł z pomocą i...

— Dosyć, dosyć Pollyanno, — jęczała pani Carew, kręcąc nieprzytomnie głową w bezgranicznej rozpaczy. — Gdy pomyślę, że może gdzieś nasz Jamie jest jak ten... — głęboki szloch nie pozwolił jej skończyć rozpoczętego zdania.

— Właśnie o tym myślałam! — zawołała w podnieceniu Pollyanna. — Więc pani teraz rozumie? Gdyby to był pani Jamie, oczywiście zabrałaby go pani do siebie, a jeżeli to nie jest on, to nie zrobi pani żadnej krzywdy tamtemu Jamie, biorąc do siebie tego, a będzie to tylko dobry uczynek, bo uszczęśliwi pani tego biedaka! A później, jak pani znajdzie prawdziwego Jamie, to i tak pani nic nie

straci, bo będzie pani miała przy sobie dwóch szczęśliwych chłopców, zamiast jednego. Zresztą... — lecz i tym razem przerwała jej pani Carew.

— Dość, już dość, Pollyanno! Muszę pomyśleć, zastanowić się nad tym wszystkim.

Ze łzami w oczach Pollyanna oparła się o poduszki samochodu. Z wyraźnym wysiłkiem zachowywała milczenie w ciągu długiej minuty, poczem wybuchnęła, nie mogąc już dłużej panować nad sobą:

— Ach, ale jakie straszne było to mieszkanie! Życzyłabym temu gospodarzowi, żeby w nim mieszkał. Ciekawa jestem, czy czułby się tam dobrze. — Pani Carew poruszyła się niespokojnie. Twarz jej skurczyła się dziwnym grymasem. Błagalnie niemal przywarła do ramienia Pollyanny.

— Daj spokój! — zawołała. — Może ona nie wie, Pollyanno. Napewno nie wie. Jestem pewna, że nie wie nawet, iż ten dom do niej należy. Ale my to załatwimy, załatwimy z pewnością.

— Ona! Więc to kobieta jest właścicielką tego domu i pani ją zna? I zna pani administratora także?

— Tak, — pani Carew zagryzła wargi. — Znam ją i znam administratora.

— Ach, jak ja się cieszę, — westchnęła Pollyanna. — W takim razie będzie wszystko w porządku.

— Napewno będzie lepiej, niż jest teraz, — obiecała pani Carew z przejęciem, gdy auto zatrzymało się przed bramą jej mieszkania.

Pani Carew mówiła tak, jak by była pewna tego, co mówi. Może rzeczywiście zrobiła jakieś postanowienie, lecz nie chciała w to wtajemniczać Pollyanny. Przed udaniem się na spoczynek napisała list do

Henry Dodgea, wzywający go na natychmiastową konferencję w sprawie poczynienia pewnych zmian i napraw w jednym z domów, które były jej własnością. W liście było kilka niechętnych zdań na temat „powybijanych okien“ i „krzywych schodów“, które to zdania przyprawiły Henry Dodgea o zły humor i były powodem głośnego przekleństwa, rzuconego przez zęby, chociaż w tej samej chwili administrator zbladł nagle i nawiedziło go uczucie panicznego lęku.

ROZDZIAŁ XI.

Niespodzianka dla pani Carew.

Po załatwieniu kwestii naprawy uszkodzonych mieszkań, pani Carew doszła do wniosku, że obowiązek swój spełniła i że sprawa raz na zawsze została wyczerpana. Trzeba będzie o tym wszystkim zapomnieć. Ów chłopiec nie był Jamiem, nie ulegało to najmniejszej wątpliwości. Czyż ten chory, niedołężny dzieciak mógł być synem jej zmarłej siostry? Niemożliwe! Postanowiła za wszelką cenę przestać o tym myśleć.

Ale teraz dopiero pani Carew stanęła w obliczu nader dziwnego zjawiska. Choć myśleć o tym wszystkim nie chciała, to jednak okazało się to silniejsze od niej samej. Ciągle miała przed oczyma obraz nędznego pokoiku na poddaszu i rozgorączkowaną twarz chorego chłopca. Ustawicznie szumiało jej w uszach rozrywające serce pytanie „A co, jeżeli to jest Jamie?“ Poza tym ciągle miała przy

sobie Pollyannę i aczkolwiek unikała wszelkich rozmów na ten temat, nie mogła uniknąć niemej prośby i wyrzutu, odzwierciadlających się w smutnych oczach dziewczynki.

Dwukrotnie już pod wpływem ostatecznej rozpaczy pani Carew odwiedziła chłopca, perswadując sobie, że jeszcze jedna taka wizyta przekona ją wreszcie, że nie powinna o nim więcej myśleć. Lecz chociaż w obecności chorego zdawała się już być najzupełniej przekonana, za każdym razem po powrocie do domu poddawała się znowu zwątpieniom. Wreszcie, przejęta tym wszystkim do ostateczności, postanowiła napisać do siostry, aby się z nią podzielić tą całą historią.

„Nie miałam zamiaru wtajemniczać Cię w tę sprawę“, pisała zorientowawszy się dokładnie w sytuacji“. Nie chciałam Cię martwić i wzniecać w twej duszy płonnych nadziei. Tak jestem pewna, że to nie on, a jednak gdy piszę te słowa, pewność moja najwyraźniej jest zachwiana. Dlatego też chcę, żebyś przyjechała. Musisz go sama zobaczyć.

„Ciekawa jestem szalenie, co Ty powiesz! Oczywiście nie widziałyśmy naszego Jamie od tego czasu, kiedy miał cztery lata. Teraz powinien mieć już dwanaście, a ten chłopiec, przypuszczam, też jest mniej więcej w tym wieku. (Sam nie wie, ile ma lat). Z włosów i oczu nie jest podobny do naszego Jamie. Poza tym jest kaleką, lecz kalectwo to stało się na skutek nieszczęśliwego upadku przed sześciu laty, a w ciągu następnych lat czte-

rech stan jego zdrowia bardzo się pogorszył. Mały wyglądu swego ojca opisać nie potrafi, lecz z tego co zdołałam się dowiedzieć, trudno sądzić, żeby to mógł być mąż naszej biednej Doris. Nazywano go podobno „profesorem“, był szalonym dziwakiem i zdaje się, że nie posiadał nic oprócz kilku książek. Możliwe że to jest jedyny sprawdzian. John Kent był zawsze bardzo dziwny i posiadał wybitnie cygańską naturę, nie przypominam sobie tylko, czy lubił książki. Może Ty pamiętasz? Oczywiście tytuł „profesora“ mógł się jemu samemu podobać, lub też mógł mu zostać narzucony przez innych. Co do tego chłopca. to naprawdę nie wiem, lecz mam nadzieję, że Ty się zorientujesz.

„Twoja zrozpaczona siostra,

„Ruta“.

Della przyjechała natychmiast i bezzwłocznie udała się do chłopca, jednakże i ona „nie wiedziała“. Tak samo jak starsza siostra, oświadczyła, że nie przypuszcza, aby to był ich Jamie, lecz z drugiej strony zachodziła ta możliwość. Równie jednak, jak Pollyanna, znalazła odrazu rozwiązanie tego zawiłego problematu.

— Ale dlaczego nie miałabyś go wziąć do siebie, kochanie? — zaproponowała siostrze. — Dlaczego nie miałabyś go wziąć i zaadoptować? Dla niego byłoby to prawdziwe szczęście, a dla ciebie... — lecz pani Carew drżała, nie pozwalając jej nawet dokończyć.

— Nie, nie, nie mogę, nie mogę! — szeptała. —

Pragnę mieć mego Jamie, mego własnego — nikogo więcej, — i Della z głębokim westchnieniem musiała ustąpić i wrócić do swej przerwanej pracy w lecznicy.

Jeżeli jednak pani Carew sądziła, że temat tym samym został wyczerpany, myliła się znowu, bowiem dalsze jej dni były jeszcze bardziej niespokojne, a noce jeszcze bardziej bezsenne, rojące się od ustawicznych myśli, które nie dawały jej zasnąć. Poza tym miała co raz więcej przykrości z Pollyanną.

Pollyanna była dziwnie nie swoja. Dręczył ją niepokój i ustawiczne cisnące się na usta pytania. Po raz pierwszy w swym krótkim życiu dziewczynka zetknęła się oko w oko z prawdziwą nędzą. Znała ludzi, którzy nie mieli co jeść, którzy nosili na sobie łachmany, którzy mieszkali w ciemnych, brudnych i ciasnych izdebkach. Pierwszym jej impulsem było oczywiście pomóc tym ludziom. Odwiedziwszy w towarzystwie pani Carew po raz drugi chorego Jamie, zdziwiona była niezwykłymi zmianami, jakie w izdebce zastała. Ten Dodge ponaprawiał wszystko, nawet szyby w oknach były całe. Ale to nie wystarczało Pollyannie. Przecież na ulicy przed domem zobaczyła znowu wynędzniałych mężczyzn, blade kobiety i obdarte dzieci — najbliższych sąsiadów swego przyjaciela Jamie. W zaufaniu spoglądała na panią Carew, oczekując od niej pomocy dla tych biedaków.

— Rzeczywiście! — oburzyła się opiekunka, orientując się wreszcie, czego od niej „ta bezczelna smarkata“ wymaga. — Chciałabyś może, żeby wszystkim tym ludziom odnowić mieszkania, wpra-

wić szyby i wyreparować schody? A może masz jeszcze jakieś życzenie?

— O, tak, miałabym wiele życzeń, — westchnęła uradowana Pollyanna. — Widzi pani, oni potrzebowaliby tyle rozmaitych rzeczy! A jak przyjemnie byłoby dać im to wszystko! Jakżebym chciała być bogata i móc także pomagać, ale szczęśliwa jestem, że mogę patrzeć, jak pani to robi.

Pani Carew aż otworzyła usta ze zdziwienia. Nie czekając specjalnej okazji i zdobywając się na najwyższą cierpliwość, wytłumaczyła dziewczynce, że nie ma najmniejszego zamiaru nic więcej czynić w kierunku dopomożenia tym ludziom i, że nie widzi powodów, dla których miałaby zmienić to postanowienie. Nikt zresztą nie spodziewa się niczego od niej. Uczyniła wszystko co było w jej mocy, wykazała całą swą wspaniałomyślność, uskuteczniając naprawy w mieszkaniu Murphych i Jamiego. To, że była właścicielką owego domu, nie miało przecież nic do rzeczy. Następnie wyjaśniła Pollyannie, że istniało mnóstwo instytucyj dobroczynnych, do których należało niesienie pomocy biednym i że instytucje te zostały już przez nią o wszystkim zawiadomione, miała bowiem do tego prawo, gdyż częściowo wszystkie prawie takie instytucje finansowo podtrzymywała. Ale nawet i teraz Pollyanna nie była jeszcze w zupełności przekonana.

— Nie rozumiem, — argumentowała, — dlaczego lepiej jest, jak wszyscy razem niosą pomoc biednym, zamiast każda osoba pomagałaby oddzielnie. Ja naprzykład wolałabym sama podarować Jamie jakąś piękną książkę, niż czekać, żeby się tym za-

na, że on też wolał by przyjąć podarunek ode mnie.

— Bardzo możliwe, — odparła pani Carew, zmęczona już nieco i zniecierpliwiona. — Ale dla samego Jamie też byłoby lepiej, gdyby dostał tę książkę od towarzystwa, które napewno potrafiłoby wybrać coś odpowiedniego dla takiego chłopca.

To ją skłoniło w następnej chwili do wypowiedzenia kilku mądrych zdań (ani jednego z nich Pollyanna nie zrozumiała) na temat „pauperyzacji biednych", „zła, jakie sieje dawanie jałmużny" i „marnych efektów pracy niezorganizowanej dobroczynności".

— Zresztą, — dodała w odpowiedzi na ciągle jeszcze zmartwiony wyraz twarzyczki Pollyanny, — przypuszczam, że gdybym nawet zaofiarowała pomoc tym ludziom, napewno by jej nie przyjęli. Pamiętasz, jak pani Murphy oburzyła się w pierwszej chwili, gdy chciałam jej przysłać prowianty i pieniądze, chociaż jednocześnie przyjmowała pomoc od swych sąsiadów z parteru.

— Tak, wiem, — westchnęła Pollyanna, odwracając głowę. — Istnieje coś, czego dokładnie nie rozumiem. Ale z drugiej strony nie jest dobrze, że my mamy tyle pięknych rzeczy, a oni wogóle nic nie mają.

W miarę upływających dni to dziwne uczucie w sercu Pollyanny zamiast przygasać — wzrastało. Wszystkie pytania, jakie zadawała, wszystkie wypowiadane przez nią komentarze, nie przynosiły bynajmniej ulgi zamyślonej wciąż i uparcie milczącej pani Carew. Nawet kontynuowanie gry w za-

dowolenie Pollyanna uważała za rzecz zupełnie niepotrzebną, twierdząc:

— Nie rozumiem, jak można widzieć w życiu tych ludzi coś, z czego mogliby być zadowoleni. My tylko możemy się cieszyć, że nie jesteśmy tacy biedni jak oni, ale gdy myślę o tym, żal mi ich ogromnie, więc nie mogę nawet cieszyć się z tego. Powinniśmy być raczej zadowoleni, że są biedni, którym możemy pomagać, ale jeżeli im nie pomagamy, to wówczas zadowolenie nasze nie ma zupełnie żadnego sensu. — Jeżeli chodziło o ten problem, to Pollyanna nie mogła znaleźć nikogo, kto by go potrafił rozwiązać.

Podsuwała go niejednokrotnie już pani Carew, ta jednak, prześladowana wciąż wizją poszukiwanego Jamie, stawała się tylko jeszcze bardziej niespokojna, podrażniona i zirytowana. Zbliżało się Boże Narodzenie, które dla pani Carew było symbolem jeszcze większej męki, bowiem zawsze przypominała jej się pusta dziecięca pończoszka, która miała być pończoszką małego Jamie.

Wreszcie na tydzień przed świętami pani Carew stoczyła ze sobą ostatnią nadludzką walkę. Zrezygnowana, bez uśmiechu radosnego na twarzy, wydała odpowiednie instrukcje Mary i zwróciła się do Pollyanny.

— Pollyanno, — zaczęła prawie onieśmielona,— postanowiłam... postanowiłam jednak wziąć Jamie. Auto zaraz tu podjedzie. Pojadę po niego i zabiorę go do domu. Możesz pojechać ze mną, jeśli masz ochotę.

Błysk niesamowitego szczęścia rozjaśnił twarzyczkę Pollyanny.

— Ach, ach, jak ja się cieszę! — zawołała. — Jestem taka uradowana, że chce mi się płakać! Czy pani też w chwilach najwyższej radości napływają łzy do oczu?

— Nie jestem tego pewna, Pollyanno, — odpowiedziała pani Carew w zamyśleniu, twarz jej jednak pozostała nadal chmurna i posępna.

Znalazłszy się w małej izdebce Murphych, pani Carew w krótkich słowach wytłumaczyła cel swojej wizyty. Opowiedziała pokrótce historię zniknięcia małego Jamie, dodając iż możliwe jest, że właśnie ten Jamie jest jej zaginionym siostrzeńcem. Nie robiła tajemnicy ze swych powątpiewań na ten temat, oświadczyła jednak, że postanowiła wziąć chłopca do siebie i dostarczyć mu wszelkich możliwych wygód. Pod koniec zmęczonym i monotonnym głosem zwierzyła się ze swych planów co do jego przyszłości.

U wezgłowia łóżka pani Murphy słuchała, popłakując rzewnie. Po przeciwnej stronie pokoju Jerry Murphy, patrząc na gościa rozognionym wzrokiem, wołał mimo woli od czasu do czasu:

— Patrzcie państwo! Kto by się tego spodziewał?

Jeżeli chodziło o Jamie, to leżał on jak zwykle w łóżku wsłuchany w monotonny głos pani Carew, która dobrocią swoją otwierała przed nim wrota nieznanego raju. Lecz w miarę tego, jak pani Carew mówiła, coś dziwnego poczęło majaczyć w oczach chłopca. Bardzo wolno przymknął powieki i odwrócił się twarzą do ściany.

Gdy pani Carew przestała mówić, nastała długa chwila ciszy, poczem Jamie podniósł głowę i odpo-

wiedział. Wszyscy zauważyli, że twarz miał bardzo bladą, a oczy pełne łez.

— Dziękuję bardzo, łaskawa pani, ale niestety nie będę mógł pójść, — rzekł z prostotą.

— Nie możesz? Co takiego? — zawołała pani Carew, nie wierząc własnym uszom.

— Jamie! — wyszeptała przerażona Pollyanna.

— Słuchaj, stary, ci cię znowu ugryzło? — wtrącił się Jerry, podbiegając śpiesznie do łóżka. — Nie widzisz szczęścia, choć jest ono tuż przy tobie?

— Tak, ale nie mogę pójść, — odpowiedział chory znowu.

— Ale Jamie, Jamie, pomyśl co to dla ciebie znaczy! — jęknęła pani Murphy od wezgłowia łóżka.

— Ja rozumiem, — wyszeptał Jamie. — Przypuszczacie, że nie wiem, co robię, odmawiając? — teraz oczy pełne łez utkwił w twarzy pani Carew.— Nie mogę, — szepnął jeszcze ciszej. — Nie mogę zgodzić się na to, aby się pani poświęcała dla mnie. Byłoby całkiem inaczej, gdyby to pani robiła z uczucia. Ale pani przecież nic nie czuje do mnie. Nie ja pani jestem potrzebny. Potrzebny jest pani prawdziwy Jamie, a ja nim nie jestem. Pani też jest o tym przekonana, widzę to z pani twarzy.

— Tak, ale... ale... — zaczęła pani Carew bezradnie.

— Zresztą nie jestem taki, jak inni chłopcy, nie mogę przecież chodzić, — przerwał jej chory gorączkowo. — Po pewnym czasie będę już tylko panią męczył, a ja bym nie zniósł tego, żebym miał być dla kogoś ciężarem. Oczywiście, gdyby pani coś dla mnie czuła — tak jak mamcia... — podniósł w górę rękę i wybuchnął głośnym szlochem, po

czym znów odwrócił twarz od ściany. — Ja nie jestem ten Jamie, którego pani szuka, więc nie mogę pójść. — Z tymi słowy opadł na poduszki i naciągnął na siebie stary zniszczony szal, którym był przykryty.

W pokoju nastała śmiertelna cisza, po czym pani Carew spokojnie podniosła się z krzesła. Twarz jej w tej chwili nic nie wyrażała, lecz było w niej coś takiego, co powstrzymało nawet słowa, cisnące się na usta Pollyanny.

— Chodźmy, Pollyanno, — powiedziała tylko pani Carew.

— Będziesz potem żałował swojej głupoty! — mówił Jerry Murphy do chłopca leżącego w łóżku, gdy drzwi zamknęły się za gośćmi.

Chory nic nie odpowiedział, tylko począł płakać, jakby te drzwi zamknięte prowadziły właśnie do owego nieznanego raju i jakby zamknęły się teraz przed nim na zawsze.

ROZDZIAŁ XII.

Za ladą sklepową.

Pani Carew była zła. Dojść już do tego, żeby uczynić postanowienie wzięcia chorego chłopca do swego domu i otrzymać z jego strony odpowiedź odmowną — to już przechodziło wszelkie oczekiwania. Nie była przyzwyczajona do tego, żeby ktoś śmiał ignorować jej zaproszenia, lub nie spełniać wyrażonych przez nią życzeń. Co gorsza, teraz kiedy nie mogła wziąć do siebie tego

chłopca, odczuwała jeszcze większy niepokój, bo przecież w zasadzie chłopak ten mógł jednak być prawdziwym Jamie. Zdawała sobie dokładnie sprawę, że pragnęła go mieć u siebie nie dlatego, że kierowało nią jakieś głębsze uczucie, lub że chciała biedakowi pomóc, lecz dlatego, że była pewna, iż raz na zawsze osiągnie upragniony spokój i przestanie ją dręczyć to wiecznie szumiące w uszach pytanie: „A jeżeli to jest prawdziwy Jamie?"

Nie wyjaśniał sprawy fakt, że chłopak jako przyczynę swojej odmowy podał to, że ona do niego „nic nie czuje". Teraz pani Carew z wielką dumą przyznawała się, że istotnie nie żywi dla tego kaleki żadnego uczucia, że przekonana jest, iż to nie jest syn jej siostry i że postara się jak najśpieszniej „o tym wszystkim zapomnieć".

Zapomnieć jednak nie mogła. Myśl o chłopcu nie dawała jej poprostu spokoju i nawiedzały ją teraz coraz częstsze zwątpienia. Chociaż usiłowała myśli swe kierować na inne sprawy, ustawicznie przed oczami jej wyobraźni majaczyła rozgorączkowana twarz chłopca i wnętrze ubogiej, ciasnej izdebki.

A poza tym była jeszcze Pollyanna. Wszystko wskazywało na to, że dziewczynka nieoczekiwanie przestała być sobą. Po całych dniach snuła się po domu, nie znajdując nic takiego, co by ją mogło zainteresować.

— Ach, nie, nie jestem chora, — odpowiadała, gdy ją pytano na ten temat.

— A co ci jest właściwie?

— Nic. Ja... ja tylko wciąż myślę o Jamie —

jakby on się cieszył, gdyby widział te wszystkie piękne rzeczy, dywany, obrazy i zasłony.

To samo było z jedzeniem. Pollyanna straciła zupełnie apetyt, lecz i w tym wypadku nie z powodu choroby.

— Ach, nie, — wzdychała ponuro. — Po prostu nie jestem głodna. Zresztą gdy tylko zaczynam jeść, zawsze przypomina mi się Jamie, bo on biedak, często nawet suchych bułek nie ma. I wtedy właśnie odechciewa mi się jeść.

Niezupełnie rozumiejąc ten dziwny stan dziewczynki, pani Carew postanowiła za wszelką cenę rozweselić trochę Pollyannę i w tym celu na święta Bożego Narodzenia zakupiła wspaniałe drzewko, dwa tuziny kolorowych świeczek i całe mnóstwo kolorowych szklanych kulek do przystrojenia choinki. Po raz pierwszy od wielu lat w obszernym, ponurym salonie stało się widno i wesoło. Miało się odbyć nawet świąteczne przyjęcie, bowiem pani Carew skłoniła Pollyannę, aby ta zaprosiła kilkanaście swych szkolnych koleżanek na wieczór wigilijny.

Lecz i w tym wypadku czekało panią Carew rozczarowanie, bo chociaż Pollyanna była jej za to bardzo wdzięczna i przez pewien czas wykazywała radość i podniecenie, jednak twarzyczki jej ani na chwilę nie rozjaśnił ten dawny pogodny uśmiech. Jednym słowem przyjęcie świąteczne było raczej smutne niż wesołe, a na widok pierwszej zapalonej świeczki Pollyanna wybuchnęła głośnym płaczem.

— Co to znaczy, Pollyanno? — zawołała pani Carew. — Na miłość boską, co ci się stało?

— Nic, — szlochała Pollyanna. — Tylko tutaj jest

tak pięknie, że mi się nagle zachciało płakać. Pomyślałam o tym, jak Jamie chciałby takie drzewko zobaczyć.

W tej chwili wyczerpała się cierpliwość pani Carew.

— Jamie, Jamie i znowu Jamie! — zawołała gniewnie. — Pollyanno, czy nie przestaniesz nigdy mówić o tym chłopcu? Wiesz przecież, że nie z mojej winy nie ma go tutaj. Prosiłam, żeby u nas zamieszkał. Zresztą, gdzie się podziała twoja „gra w zadowolenie"? Przypuszczam, że dobrze byłoby, gdybyś teraz do niej powróciła.

— Ależ ja o niej nie zapomniałam, — skarżyła się Pollyanna. — I właśnie dlatego nic nie rozumiem. Nigdy jeszcze tak dziwnie się nie czułam. Zawsze dawniej, gdy myślałam o tej grze — byłam szczęśliwa. A teraz przez tego Jamie — jestem zadowolona, że widzę te piękne dywany i obrazy, że mogę jeść dobre rzeczy, spacerować, biegać i chodzić do szkoły, lecz im bardziej cieszę się z tego, co sama mam, tym więcej przykro mi, że on nie ma tego wszystkiego. Nigdy mi tak dziwnie nie było i nigdy tak się jeszcze nie czułam, a pani?

Lecz pani Carew z rozpaczliwym gestem odwróciła się tylko bez słowa.

Było to nazajutrz po Bożym Narodzeniu, kiedy zaszło coś tak niezwykłego, że Pollyanna na pewien czas zapomniała zupełnie o Jamie. Pani Carew wybrała się po zakupy i gdy zastanawiała się nad wyborem jakiegoś koronkowego kołnierzyka, Pollyanna wypatrzyła za ladą sklepową twarz młodej sprzedawczyni, która wydała jej się dziwnie znajoma. Przez chwilę stała zamyślona, marszcząc

brwi, poczem z radosnym okrzykiem podbiegła do lady.

— Ach, to pani, to pani! — zawołała do dziewczyny, która wyjmowała z pudełka naręcz sztucznych kwiatów. — Tak się cieszę, że panią widzę!

Dziewczyna stojąca za ladą, podniosła głowę i spojrzała na Pollyannę. Lecz prawie w tej samej chwili jej ponura wychudzona twarzyczka rozjaśniła się wesołym uśmiechem.

— Przecież to moja mała znajoma z publicznego parku! — zawołała.

— Tak. Jak to dobrze, że pani pamięta, — cieszyła się Pollyanna. — Ale pani już nigdy więcej tam nie była. Nieraz szukałam pani po wszystkich alejkach.

— Nie mogłam. Muszę pracować. Wtedy wyjątkowo byłam wolna. Pięćdziesiąt centów, proszę pani, — zwróciła się z odpowiedzią do jakieś starszej damy, która zapytywała o cenę biało-czarnego żabocika, leżącego na kontuarze.

— Pięćdziesiąt centów? Hm! — starsza dama wzięła w palce żabocik, zawahała się, poczem odłożyła go znowu z głębokim westchnieniem. — Hm, tak. Jest rzeczywiście bardzo ładny, moje dziecko, — pochwaliła, odchodząc.

Tuż za nią podeszły dwie roześmiane dziewczyny, które chichocąc i rozmawiając głośno zainteresowały się najmodniejszym przybraniem do sukni z czerwonego aksamitu, przybranego tiulem i drobnymi kwiatuszkami. Gdy dziewczęta po chwili odeszły, Pollyanna spojrzała na sprzedawczynię z głębokim westchnieniem.

— Więc pani to przez cały dzień robi? Mój Boże, jaka pani musi być zadowolona!

— Zadowolona?

— Tak. Bo to musi być przyjemnie widzieć ciągle tylu rozmaitych ludzi! A poza tym może pani z nimi rozmawiać. Nawet musi pani rozmawiać, bo to leży w pani interesie. Ja bym strasznie chętnie to robiła i napewno zajmę się tym, jak dorosnę. To tak przyjemnie patrzeć, co oni wszyscy kupują!

— Przyjemnie! — uśmiechnęła się z przekąsem dziewczyna z poza kontuaru. — Widzisz, dziecko, gdybyś znała choć połowę... — To kosztuje dolara proszę pani, — przerwała samej sobie pośpiesznie, odpowiadając młodej klientce na zapytanie o cenę żółtego żabotu, wyłożonego na wystawę.

— Najwyższy czas, żeby mi pani dała odpowiedź, — ofuknęła ją młoda dama. — Już dwa razy o to panienkę pytałam.

Dziewczyna za ladą przygryzła wargi.

— Bardzo przepraszam, nie słyszałam.

— Na to już nie mam rady. Pani jest tu po to, żeby słyszeć. Płacą pani za to, nieprawdaż? A ile kosztuje ten czarny?

— Pięćdziesiąt centów.

— A ten niebieski?

— Dolara.

— Tylko bez impertynencji, moja panno! proszę odpowiadać grzecznie, bo poskarżę się dyrekcji. Proszę mi pokazać te czerwone żaboty.

Usta sprzedawczyni zadrżały, lecz nie padło z nich ani słowo. Posłusznie podeszła do gablotki i wyjęła z niej kilka czerwonych żabotów. Oczy jej tylko pałały, a ręce drżały wyraźnie, gdy kła-

dla żaboty na kontuarze. Młoda klientka, którą obsługiwała, obejrzała pięć żabotów, zapytała o cenę czterech i odeszła wyjaśniając krótko:

— Nie ma tu nic takiego, co by mi się naprawdę podobało.

— No, — szepnęła dziewczyna z za lady, zwracając się do zdziwionej Pollyanny,—cóż teraz myślisz o moim zawodzie? Czy jest się z czego cieszyć?

Pollyanna zaśmiała się trochę histerycznie:

— O Boże, czy ona była zła? Ale śmieszna była jednocześnie, nie uważa pani? W każdym razie powinna się pani cieszyć, że nie wszystkie klientki są takie.

— To prawda, — przyznała sprzedawczyni, uśmiechając się blado. — Muszę ci jednak powiedzieć, dziecinko, że ta twoja „gra w zadowolenie", o której mi wtedy mówiłaś, jest może dobra dla ciebie, bo dla... — znowu urwała nieoczekiwanie. — Pięćdziesiąt centów, łaskawa pani, — zwróciła się do kogoś, kto ją zapytywał z przeciwnej strony kontuaru.

— Czy jest pani tak samo samotna jak zawsze? — zapytała Pollyanna poważnie, gdy sprzedawczyni po chwili znowu była wolna.

— Nie wiem, czy pięć razy od czasu jak się z tobą widziałam, byłam w jakimś towarzystwie, — odpowiedziała dziewczyna z goryczą.

— Ach, ale święta Bożego Narodzenia przepędziła pani przyjemnie, nieprawdaż?

— O tak. Leżałam cały dzień w łóżku, mając nogi okręcone kocem i czytałam gazety. Później pod wieczór wyskoczyłam do restauracji, aby zjeść za trzydzieści pięć centów kawałek pasztetu.

— Czy nogi panią tak bardzo bolały?

— Porobiły mi się nawet pęcherze. Pracuję przecież stojąc, a przed świętami ruch był okropny.

— Ach! — zadrżała Pollyanna ze współczuciem. — I nie miała pani ani choinki, ani towarzystwa, ani nic zupełnie? — zawołała zdziwiona i zgorszona.

— Nic absolutnie!

— O Boże! Jaka szkoda, że nie widziała pani mojego drzewka! — westchnęła dziewczynka. — Była naprawdę piękne i . . . Ale zaraz! — zawołała radośnie. — Przecież teraz jeszcze może je pani zobaczyć. Stoi nie rozebrane. Nie mogłaby pani przyjść dzisiaj albo jutro wieczorem i...

— Pollyanno! — przerwał rozmowę zimny stalowy głos pani Carew, — co to wszystko ma znaczyć? Gdzieżeś ty była? Szukałam cię po całym magazynie. Zaglądałam nawet do działu okryć.

Pollyanna odwróciła się z radosnym okrzykiem.

— Ach, jak się cieszę, że pani przyszła, — zawołała. — Nie znam nazwiska tej panienki, ale poza tym znam ją doskonale. Kiedyś, bardzo dawno temu, poznałam ją w parku, a biedaczka jest strasznie samotna i nie ma zupełnie nikogo. Jej ojciec też był pastorem, tak samo jak mój, tylko że on żyje. Biedna, nie miała nawet drzewka świątecznego, tylko pęcherze na nogach i kawałek pasztetu, a ja bym tak chciała, żeby mogła zobaczyć moje drzewko, — szczebiotała Pollyanna, wstrzymując oddech. — Prosiłam ją, żeby przyszła dziś, albo jutro wieczorem. Pani mi pozwoli zapalić wtedy choinkę, prawda?

— Naprawdę, Pollyanno — zaczęła pani Carew

z chłodnym niezadowoleniem. Lecz dziewczyna z poza lady przerwała jej głosem równie chłodnym i wyrażającym jeszcze większą niechęć:

— Proszę się nie martwić, łaskawa pani. Ja nie mam zamiaru przyjść.

— Ach, ależ ja bardzo proszę, — szepnęła Pollyanna. — Pani wcale nie wie, jak bardzo mi na tym zależy...

— Zauważyłam jednak, że tej pani o wiele mniej zależy na mojej wizycie, — przerwała znowu sprzedawczyni z wyrazem okrucieństwa w oczach.

Pani Carew zarumieniła się z gniewu i skierowała się ku wyjściu, Pollyanna jednak uczepiła się jej ramienia, mówiąc w międzyczasie prawie z rozpaczą do dziewczyny za kontuarem, która akuratnie była wolna od klientów:

— Wcale tak nie jest, — przekonywała sprzedawczynię. — Pani Carew bardzo chce panią widzieć, ja wiem że chce. Pani nie wie, jaka ona jest dobra, ile pieniędzy daje rozmaitym dobroczynnym instytucjom.

— Pollyanno! — zawołała pani Carew ostro. Znowu chciała wyjść ze sklepu, lecz tym razem zatrzymał ją pełen przekąsu i ironii głos sprzedawczyni.

— O, tak, ja wiem! Jest wiele takich, którym się nie chce pracować. A ileż to potrzebujących rąk wyciąga się do takich pań, lecz ci, którzy naprawdę potrzebują, zazwyczaj nic nie dostają. I to jest właśnie w porządku. W takich sytuacjach nie ma niczyjej winy. Czasami tylko dziwię się, że te dobroczynne panie nie potrafią pomóc młodej dziewczynie, nim jeszcze wkroczyła na złą drogę. Dlaczego te dobrodziejki nie mogą dać przy-

zwoitym dziewczynom czystego mieszkania, książek, obrazów, miękkich dywanów, muzyki i kogoś, kto by o nie dbał? Może wtedy nie byłoby tyle... Boże święty, co ja mówię? — urwała nagle, wstrzymując oddech, poczem zmęczoną twarz odwróciła w stronę eleganckiej młodej damy, która zatrzymała się przed nią, oglądając z zaciekawieniem błękitny koronkowy żabot.

— To kosztuje pięćdziesiąt centów, łaskawa pani, — usłyszała pani Carew jej monotonną odpowiedź, gdy śpiesznie wychodziła ze sklepu z Pollyanną.

ROZDZIAŁ XIII.

Oczekiwanie i zwycięstwo.

Był to zachwycający plan. Pollyanna obmyśliła go w ciągu pięciu minut i przedłożyła pani Carew. Pani Carew nie uważała go za tak nadzwyczajny i wypowiedziała się na ten temat całkiem wyraźnie.

— Ach, a ja jestem pewna, że tak im się będzie zdawało, — argumentowała Pollyanna, odpowiadając na zastrzeżenia pani Carew. — I proszę pomyśleć, jak łatwo możemy to zrobić! Choinka jest tak jak była z wyjątkiem prezentów, ale i z nimi można dać jakoś radę. Do wigilii Nowego Roku już bardzo niedaleko, a wyobraźmy sobie, jak oni będą się cieszyć! A pani by się nie cieszyła, gdyby pani na święta nie miała nic, tylko pęcherze na nogach i kawałek pasztetu?

— Boże, Boże, cóż za niemożliwe dziecko z ciebie! — nachmurzyła się pani Carew. — Nie pomy-

ślałaś nawet o tym, że zupełnie nie znamy nazwiska tej młodej osoby.

— To cóż z tego? A czyż nie zabawne jest to, że ja jednak znam ją bardzo dobrze? — uśmiechnęła się Pollyanna. — Widzi pani, tak przyjemnie rozmawiałyśmy wtedy w ogrodzie, a ona mi powiedziała o tym, że jest samotna i że najbardziej samotna się czuje wśród tłumu wielkiego miasta, bo w tłumie ludzie ani nie myślą, ani też nie zwracają uwagi. Owszem, był taki jeden, który zwrócił na nią uwagę, ale za bardzo, jak sama powiedziała, a nie powinien był tego robić. Strasznie śmiesznie jest, jak się o tym pomyśli. W każdym razie przyszedł po nią do ogrodu, żeby z nim gdzieś tam poszła, ale ona nie chciała iść, a on był bardzo ładny jegomość, tylko później strasznie się na nią rozgniewał. Ludzie przeważnie brzydną, jak się gniewają, prawda? A dzisiaj tam była w sklepie jedna pani, która oglądała żaboty i powiedziała bardzo dużo brzydkich rzeczy. Jak zaczęła tak brzydko mówić, to też nie była ładna. Ale pani mi pozwoli zaprosić ich na choinkę w wigilię Nowego Roku, prawda? Zaproszę tę panienkę, co sprzedaje żaboty i Jamie. On jest już teraz zdrowszy, więc będzie mógł przyjść. Jerry go oczywiście przywiezie, ale później będzie mógł też zostać u nas.

— Ach, oczywiście, jeszcze Jerry! — zawołała pani Carew z ironią. — Dlaczego ma być tylko Jerry? Jestem pewna, że Jerry ma mnóstwo przyjaciół, którzy też napewno chętnie przyjdą. A poza tym...

— Ach, proszę pani, więc naprawdę mogę? — przerwała jej Pollyanna w najwyższym zachwy-

cie. — Jaka pani jest strasznie dobra! Ja bym tak chciała... — lecz pani Carew aż krzyknęła głośno ze zdziwienia i przestrachu.

— Nie, nie, Pollyanno, ja... — zaczęła, akcentując swój protest. Ale Pollyanna, rozumiejąc mylnie znaczenie tych słów, nie dała za wygraną i ciągnęła dalej:

— Naprawdę pani jest bardzo dobra, lepsza nawet niż dotychczas. Niech mi pani pozwoli to sobie powiedzieć. Teraz będę mogła urządzić prawdziwe przyjęcie! Zaproszę Tomka Dolana i jego siostrę Jennie, dwie dziewczynki od Macdonaldów i trzy dziewczynki, których nazwiska nie znam, ale wiem, że mieszkają pod Murphy'ami, żebym tylko dla wszystkich miała dosyć miejsca. Dopiero się ucieszą, jak im powiem o tym! Naprawdę, proszę pani, nigdy nie przeżywałam nic podobnie przyjemnego, a wszystko to tylko pani zawdzięczam! Czy mogę ich wszystkich zaraz dzisiaj zaprosić, żeby wiedzieli, jaka ich radość czeka?

I pani Carew, która nigdy by nie wierzyła, że może zajść taka ewentualność, usłyszała całkiem nieoczekiwanie swój własny głos, wypowiadający nieśmiało „tak“, co, jak się orientowała, zobowiązywało ją do urządzenia przyjęcia dla dzieci sąsiadujących z Murphyami, oraz dla młodej dziewczyny ze sklepu, której nawet nazwiska nie znała.

Może w pamięci pani Carew majaczyły jeszcze słowa wypowiedziane przez młodą sprzedawczynię: „Dlaczego te dobrodziejki nie potrafią pomóc młodej dziewczynie, nim jeszcze ta wkroczyła na złą drogę?“ Może w uszach jej szumiało jeszcze opowiadanie Pollyanny o tej samej dziewczynie,



— Prosiłam ją, żeby przyszła dziś, albo jutro wieczorem. Pani mi pozwoli wtedy zapalić choinkę, prawda? (str. 140).

która znajdując się wśród tłumu wielkiego miasta, czuła się tak bardzo samotna i która zdecydowała się nie pójść z owym przystojnym jegomościem, twierdząc, że nie powinien on był zwrócić na nią uwagi. A może pani Carew gdzieś w głębi serca żywiła nadzieję, że w tym nowym przedsięwzięciu znajdzie ten upragniony spokój, za którym od tak dawna tęskniła. Jakakolwiek istniała przyczyna, dość że sprawa została załatwiona w ten sposób, a pani Carew znalazła się nieoczekiwanie w wirze gorączkowych przygotowań, projektów i planów, czego główną osią była Pollyanna i jej goście.

Do siostry swej pani Carew napisała wyczerpująco o całym zdarzeniu, kończąc w sposób następujący:

„Sama nie wiem, co mam robić, ale przypuszczam, że powinnam dotrzymać danego słowa. Jest to jedyne wyjście z sytuacji. Oczywiście, gdyby Pollyanna choć raz zaczęła prawić mi morały... Ale nie zdarzyło się to ani razu, więc przecież nie mogę znaleźć powodu odesłania jej z powrotem".

Czytając ten list w lecznicy, Della wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Jeszcze nie prawiła morałów, istotnie! — uśmiechnęła się do siebie. — Niech Bóg błogosławi temu maleństwu! A jednak ty, Ruto Carew, zmuszona zostałaś do tego, aby wyprawić dwa dziecinne przyjęcia w ciągu jednego tygodnia i pozwalasz nawet gościom swojej pupilki przewracać swój ponury dom do góry nogami. Ale ona ci morałów nie prawi — o nie, i na pewno prawić nie będzie!

Przyjęcie udało się wspaniale. Nawet pani Ca-

rew nie mogła temu zaprzeczyć. Jamie w swoim fotelu na kółkach, Jerry z niepokojącym swoim lecz dosadnym słownikiem i dziewczyna, której nazwisko, jak się okazało, brzmiało Sadie Dean, która ze wszystkich gości może najlepiej się czuła w tym otoczeniu. Sadie Dean ku zdziwieniu wszystkich, znała całe mnóstwo rozmaitych gier towarzyskich, a gry te w połączeniu z ciekawymi historiami, jakie umiał opowiadać Jamie, oraz z nadzwyczajnym zmysłem poczucia humoru Jerry'ego, sprawiły, że mieszkanie pani Carew rozbrzmiewało wesołym śmiechem aż do kolacji, po której goście obdarowani prezentami znajdującymi się pod choinką, wrócili do domów swych z uczuciem prawdziwego zadowolenia. Nikt z obecnych nie zwrócił specjalnej uwagi na to, że Jamie (który wraz z Jerrym opuścił ostatni gościnny dom pani Carew) rozglądał się po salonie w zamyśleniu uważniej i bardziej szczegółowo od innych. Tylko sama pani Carew, życząc mu dobrej nocy, szepnęła do ucha cicho, zniecierpliwiona i zażenowana:

— No, Jamie, czyś zmienił już swój zamiar co do przeniesienia się tutaj?

Chłopiec zawahał się. Lekki rumieniec okrasił jego policzki. Spojrzał na panią Carew z wymownym smutkiem, po czym wolno potrząsnął głową.

— Gdyby zawsze tak było, jak dzisiaj, to mógłbym, — szepnął z westchnieniem. — Ale zawsze tak nie będzie. Nadejdzie jutro, następny tydzień, miesiąc i następny rok, a ja już w następnym tygodniu zdam sobie z tego sprawę, że nie powinienem był się na to zgodzić.

Jeżeli pani Carew sądziła, że przyjęcie odbyte

w wigilię Nowego Roku położy kres wszystkim wysiłkom Pollyanny na temat młodej sprzedawczyni, Sadie Dean, to wkrótce skonstatowała, że się myli, bo już nazajutrz rano Pollyanna znów zaczęła o niej mówić.

— Taka jestem zadowolona, że ją znalazłam, — szczebiotała z radością. — Jeżeli nawet nie będę mogła odnaleźć dla pani prawdziwego Jamie, to w każdym razie cieszę się, że znalazłam dla pani kogoś, kogo może pani lubić, a lubić ją pani będzie na pewno, chociaż w inny sposób, niż swego Jamie.

Pani Carew zaczerpnęła w piersi powietrza i otworzyła szerzej czy ze zdziwienia. To niezachwiana wiara w jej dobre serce i w ustawiczne pragnienie dopomożenia komuś, była po prostu onieśmielająca i przyczyniała się do jeszcze większego zdenerwowania. Z drugiej jednak strony trudno było temu zaprzeczyć, szczególnie w obecnej sytuacji, kiedy Pollyanna była taka szczęśliwa i tak pełna szczerego zaufania.

— Ależ, Pollyanno, — zaoponowała pani Carew bezradnie, czując że w obecności dziewczynki zatraca zupełnie siłę woli. — Przecież ta dziewczyna to nie jest Jamie, sama wiesz o tym.

— Oczywiście, — przyznała Pollyanna pośpiesznie. — I właśnie to mnie najbardziej martwi, że ona nie jest Jamie. Ale może dla kogoś właśnie jest tym samym, to znaczy dla kogoś, kto ją kocha i kto zwrócił na nią uwagę. Jak pani przypomina sobie Jamie, to musi pani być szczęśliwa, że może komuś innemu pomóc, bo pragnęłaby pani przecież, aby inni ludzie też pomogli Jamie, w chwili gdy mu ta pomoc jest potrzebna.

Pani Carew zadrżała i wydała głuchy jęk.

— Ale ja pragnę mieć mojego Jamie, — wyszeptała po chwili.

Pollyanna skinęła głową, patrząc na nią wzrokiem pełnym zrozumienia.

— Wiem, „pragnienie obecności dziecka w domu". Pan Pendleton mówił mi o tym, tylko że pani ma chociaż „kobiecą rękę".

— Kobiecą rękę?

— Tak, żeby prowadzić dom. Pan Pendleton powiada, że aby było przyjemnie w domu, musi być albo kobieca ręka, albo obecność dziecka. Było to wtedy, kiedy mnie chciał wziąć, a ja mu znalazłam Jimmy, którego zaadoptował.

— Jimmy? — pani Carew podniosła głowę z zaciekawieniem w oczach, jakie zdradzała zawsze, gdy ktoś wymieniał imię podobne do imienia jej zaginionego siostrzeńca.

— Tak, Jimmy Bean.

— Ach, Bean, — powtórzyła pani Carew z przygasłym nagle spojrzeniem.

— Tak. Był w sierocińcu i uciekł stamtąd, a ja go znalazłam. Mówił, że pragnie innego domu i matki zamiast przełożonej sierocińca. Nie mogłam mu znaleźć matki, lecz znalazłam mu za to pana Pendletona, który go zaadoptował. Już teraz nazywa się Jimmy Pendleton.

— Ale nazywał się Bean?

— Tak, nazywał się Bean.

— Ach! — westchnęła z żalem pani Carew.

Pani Carew poznała bliżej w ciągu następnych dni Sadie Dean i małego Jamie, bowiem Pollyanna korzystała z każdej okazji, aby zapraszać ich do

siebie, a zaprosinom tym pani Carew, mimo swej niechęci, nie mogła się w żaden sposób przeciwstawić. Wobec Pollyanny czuła się najzupełniej bezradna, zresztą nie potrafiła już teraz odmawiać dziewczynce tego, co jej sprawiało tak wiele przyjemności i satysfakcji.

Ale jednocześnie pani Carew, choć może nie orientowała się w tym dokładnie, nauczyła się wielu rzeczy, których nie znała dawniej, zamknięta w czterech ścianach swego mieszkania i nie pozwalająca nikogo do siebie wpuszczać. Nauczyła się mianowicie tego, jak się może czuć młoda dziewczyna w dużym mieście, zmuszona zarabiać na własne utrzymanie, i nie mająca niczyjej opieki.

— Ale co wtedy miałaś na myśli? — zapytała nerwowo Sadie Dean pewnego wieczora, — coś miała na myśli owego dnia w sklepie, gdy mówiłaś o niesieniu pomocy młodym dziewczętom?

Sadie Dean spłonęła purpurowym rumieńcem.

— Obawiam się, że byłam niegrzeczna, — zaczęła się usprawiedliwiać.

— Mniejsza o to. Powiedz mi, co wtedy myślałaś? Już niejednokrotnie zastanawiałam się nad tym.

Dziewczyna przez chwilę milczała, po czym zaczęła mówić z wyraźną nutą goryczy:

— Bo właśnie kiedyś znałam pewną dziewczynę i wtedy przyszła mi na myśl. Pochodziła z mego miasteczka, była ładna i dobra, tylko nie posiadała silnego charakteru. Przez rok mieszkałyśmy razem, razem gotowałyśmy jajka na gazowej maszynce, razem jadłyśmy skromne kolacje w taniej restauracji. Wieczorami nie było co robić, wychodziło się najwyżej na spacer, czasem do kina, jeżeli miało

się na kino parę centów, ale przeważnie siedziałyśmy w domu. Pokój nasz nie był bardzo przyjemny. Było w nim gorąco w lecie i zimno w zimie, a światło gazowe było tak wątłe, że nie mogłyśmy ani szyć, ani czytać, nawet gdy byłyśmy mniej zmęczone, niż bywałyśmy zazwyczaj. Poza tym nad głowami miałyśmy spadzisty sufit, a pod nami mieszkał jakiś jegomość, który uczył się grać na kornecie. Czy słyszała pani kiedy jak ktoś się uczy grać na kornecie?

— Nie, mam wrażenie, że nie, — wyszeptała pani Carew.

— To bardzo wiele pani straciła, — uśmiechnęła się ironicznie dziewczyna, poczem kontynuowała nadal swe opowiadanie.

— Czasami, szczególnie w święta, wybierałyśmy się na spacer tutaj na tę ulicę, lub na inne ulice w śródmieściu, zaglądając do okien niezasłoniętych. Byłyśmy przecież takie samotne, zwłaszcza podczas świąt, więc dobrze nam robiło patrzenie do wnętrz domów, gdzie byli ludzie, gdzie lampy płonęły nad stołami i dzieci bawiły się wesoło. Ale później czułyśmy się jeszcze gorzej, uświadamiając sobie, że to wszystko jest nie dla nas. Przykro było patrzeć na samochody i na jadących w nich ludzi, wesołych i roześmianych. Widzi pani, i my byłyśmy młode, i nam się chciało śmiać się i weselić. Zapragnęłyśmy innego życia i przyjaciółka moja to życie sobie stworzyła.

— Mówiąc krótko, zerwałyśmy pewnego dnia naszą przyjaźń, ona poszła w jedną stronę, a ja w drugą. Nie podobało mi się towarzystwo, w jakim przebywała i powiedziałam jej o tym całkiem szcze-

rze. Ponieważ z towarzystwem tym zerwać nie chciała, musiałyśmy się rozstać. Nie widziałam jej prawie przez dwa lata, aż pewnego dnia napisała do mnie, więc poszłam. Było to właśnie miesiąc temu. Mieszkała w jednym z domów wychowawczych. Ślicznie tam było. Miękkie dywany, piękne obrazy, rośliny, kwiaty i książki, pianino, prześliczny pokój i wszystko, czego tylko dusza zapragnie. Bogate damy przyjeżdżały własnymi samochodami i powozami, zabierały ją na przejażdżki, na koncerty i zebrania. Uczyła się stenografii, a damy te miały jej pomóc w objęciu posady, gdy tylko już będzie miała potrzebne kwalifikacje. Mówiła, że wszyscy są dla niej bardzo dobrzy i że pragną jej pomóc na wszelkie możliwe sposoby. Ale przy okazji powiedziała mi coś jeszcze.

— „Sadie", mówiła, „gdyby one zadały sobie choć połowę tego trudu wówczas, gdy byłam jeszcze uczciwą, przyzwoitą i ciężko pracującą dziewczyną, nie potrzebowałabym teraz być tutaj i przyjmować ich pomocy". Tego chyba nigdy nie zapomnę. To było wszystko. To nie znaczy że pogardzam pracą tych pań-wybawicielek, przeciwnie, pochwalam ją bardzo. Tylko myślę, że byłoby o wiele więcej z tej pracy, gdyby chciały obdarzać ludzi swym zainteresowaniem wcześniej.

— Zdaje się jednak, że istnieją domy pracy dla dziewcząt, świetlice i tym podobne instytucje, — szepnęła pani Carew głosem jakimś dziwnym i nie swoim.

— Owszem są. A czy je pani kiedyś widziała z bliska?

— Nie, lecz daję na nie pieniądze. — Tym razem

Pani Carew mówiła takim tonem, jakby się chciała usprawiedliwić.

Sadie Dean uśmiechnęła się.

— Tak, wiem o tym. Istnieje całe mnóstwo pań, które dają pieniądze na takie domy, ale same nigdy ich z bliska nie widziały. Proszę mnie zrozumieć, że nie mam nic przeciwko takim dobroczynnym instytucjom. Są one bardzo dobre, niosą pomoc biednym ludziom, ale stanowią jedynie kroplę w morzu tych wszystkich potrzeb. Ja sama raz także się do nich zwróciłam, ale tak mnie jakoś przyjęto, że czułam... Ale co z tego wszystkiego? Może nie wszystkie te dobroczynne panie są takie, może zresztą było tam trochę i mojej winy. Gdybym nawet chciała pani to opowiedzieć, napewno by mnie pani nie zrozumiała. Musiałaby pani żyć w tym, a pani przecież nawet nie widziała tego z bliska. Zresztą nie mówmy już o tym i tak za dużo powiedziałam. Ale pani mnie przecież pytała.

— Tak, pytałam cię, — przyznała pani Carew ponurym głosem, wychodząc z pokoju.

Jednakże nietylko od Sadie Dean nauczyła się pani Carew tych rzeczy, których przed tym nie znała. Nauczyła się również wiele od małego Jamie. Pollyanna ogromnie lubiła gdy Jamie ją odwiedzał, a on również lubił składać jej wizyty. Z początku po każdym zaproszeniu wahał się nieco, lecz wkrótce wyzbył się tej swojej niepewności, składając wizyty coraz częściej i tłumacząc sobie i Pollyannie, że przecież takie odwiedziny nie zobowiązują go do tego, żeby miał „zostać na zawsze".

Pani Carew często zastawała Jamie i Pollyannę siedzących w zadowoleniu w bibliotece na parapecie

okiennym. Fotel na kółkach stał zawsze tuż przy nich. Czasami siedzieli obydwoje pochyleni nad jakąś książką, czasami znów chłopak opowiadał jakąś historię, a Pollyanna słuchała zainteresowana, utkwiwszy w jego twarzy spojrzenie szeroko otwartych oczu.

Pani Carew dziwiła się pod tym względem Pollyannie, dopóki pewnego dnia sama nie przystanęła i nie zaczęła słuchać. Później już nigdy nie patrzyła bez zrozumienia na dziewczynkę, lecz za to co raz częściej i chętniej słuchała opowiadań chłopca. Aczkolwiek władał językiem prostym i niezbyt poprawnym, to jednak opowiadał tak żywo i obrazowo, że pani Carew na równi z Pollyanną śledziła za każdym jego słowem.

Mgliście zaczęła sobie uświadamiać brawurę i bohaterstwo średniowiecznych rycerzy, widziała ich nawet oczami wyobraźni, choć w rzeczywistości każdym z nich był tylko mały kaleka w fotelu na kółkach. Nie uświadamiała tylko sobie pani Carew tego, że ten mały kaleka zaczynał w jej własnym życiu odgrywać tak potężną rolę, nie uświadamiała sobie, jak ważną rzeczą stała się teraz jego obecność w jej domu i jak ona sama usiłowała znaleźć co raz coś nowego dla pokazania małemu Jamie. Nie uświadamiała sobie również, że z każdym dniem bardziej ten chłopiec zastępował jej tamtego Jamie, zaginionego synka zmarłej siostry.

Gdy minął luty, marzec i kwiecień, gdy nadszedł maj, przynosząc wraz z sobą oznaczoną datę wyjazdu Pollyanny, w duszy pani Carew zbudziła się nagle świadomość, czym będzie dla niej ten wyjazd pupilki.

Sama była zdziwiona i zaskoczona. Przecież do tej pory radowała się na samą myśl o jak najszybszym rozstaniu z Pollyanną. Obiecywała sobie, że wreszcie po wyjeździe małej w domu zapanuje spokój i będzie można przysłonić jak dawniej okna, aby nie raziły oczu zbyt jasne promienie słoneczne. I ona wtedy sama zazna trochę spokoju, mogąc odseparować się od hałaśliwego i męczącego świata. Będzie wreszcie miała możność oddać się niepodzielnie swemu bólowi, swym najdroższym wspomnieniom o ukochanym zaginionym siostrzeńcu, który już tak dawno temu wkroczył w krainę nieznaną, i za którym podwoje dotychczasowego życia zamknęły się na zawsze. To wszystko obiecywała sobie pani Carew wówczas, gdy Pollyanna wreszcie wyjedzie do domu.

Lecz teraz, kiedy Pollyanna rzeczywiście miała wyjechać, ten pełen obietnic obraz nabrał zupełnie innego wyglądu. „Spokojny dom z przysłoniętymi oknami“ stał się nieprzyjemną wizją czegoś „ponurego i nie do zniesienia“. Upragniony „spokój“ wydawał się pani Carew „straszliwą samotnością“, a „odsunięcie się od hałaśliwego męczącego świata i całkowite oddanie bólowi i najdroższym wspomneniom“ — jednoczyło się z myślą o nowym Jamie (który mógł być przecież prawdziwym Jamie), patrzącym na nią pełnymi skargi i błagania oczami!

Jednym słowem pani Carew zdała sobie dokładnie sprawę z tego, że bez Pollyanny w domu jej zapanuje beznadziejna pustka, orientowała się jednak również, że jeszcze gorzej czułaby się, gdyby po wyjeździe Pollyanny nie miała przy sobie małego Jamie. Ze względu na wrodzoną dumę, świadomość

ta nie była dla niej przyjemna. Przeżywała kompletne tortury, gdy chłopiec dwukrotnie nie chciał przyjąć jej propozycji. W ciągu ostatnich dni pobytu Pollyanny, walka wewnętrzna napawała ją prawdziwą goryczą, chociaż duma nie pozwalała jej tych najskrytszych uczuć okazywać. Gdy uświadomiła sobie, że Jamie przybył do Pollyanny z ostatnią wizytą, zdecydowała się raz jeszcze poprosić go, aby zamieszkał u niej i aby zastąpił jej zaginionego siostrzeńca.

Jakimi słowami to wypowiedziała, nie pamiętała potem zupełnie, natomiast nie zapomniała nigdy tego, co jej odpowiedział chłopiec. Odpowiedź małego Jamie zawarta była w kilku zaledwie krótkich wyrazach.

Przez długą, bardzo długą chwilę zdawał się rozognionym wzrokiem szukać czegoś na jej twarzy, po czym odetchnął głęboko i z radosnym uśmiechem wyszeptał:

— Dobrze! Tak, teraz kieruje panią uczucie!

ROZDZIAŁ XIV.

Jimmy zazdrosny.

Tym razem Beldingsville nie witało już Pollyanny z orkiestrą i sztandarami, może dlatego, że godzina jej przyjazdu znana była tylko niewielu mieszkańcom miasta. Nie brakło jednak radosnych powitań ze strony każdego przechodnia, gdy tylko Pollyanna wysiadła z pociągu w towarzystwie ciotki Polly i dr. Chiltona. Pollyanna również natych-

miast po przyjeździe poczęła składać krótkie kilkominutowe wizyty, pragnąc jak najprędzej powitać swych starych przyjaciół. Przez kilka następnych dni, zdaniem kucharki Nancy, „nie było takiego miejsca, do którego nie zajrzała i nie było takiej osoby, z którą by nie pogadała chwilkę".

A wszędzie, gdziekolwiek poszła, słyszała jedno i to samo pytanie:

— Jak ci się podobał Boston?

Na pewno nikomu nie odpowiedziała bardziej wyczerpująco, niż panu Pendletonowi, który ją o to samo zapytał. Zastanowiła się najprzód, zmarszczyła brwi i wyszeptała:

— Bardzo mi się podobał, bardzo, szczególnie niektóre rzeczy...

— Więc nie cały Boston? — uśmiechnął się pan Pendleton.

— Nie. Tylko niektóre rzeczy. Ale bardzo się cieszę, że tam byłam, — dorzuciła pośpiesznie. — Szalenie miło przepędziłam czas i widziałam tyle cudownych i ciekawych rzeczy. Wie pan, że tam jedzą obiad wieczorem zamiast w południe. Wszyscy tam byli dla mnie tacy dobrzy, widziałam Pagórek Bunkera i park publiczny i autobusy, którymi zwiedza się Boston, i całe mnóstwo obrazów i pomników, i wystawy sklepowe, i ulice, które wcale nie mają końca. A ludzie! Nigdy w życiu nie widziałam jeszcze takiego mnóstwa ludzi.

— No, na pewno, ale zdawało mi się, że ty ludzi lubisz, — zauważył pan Pendleton.

— Owszem, lubię, — Pollyanna znowu zmarszczyła brwi i zamyśliła się na chwilę. — Ale co człowiek ma z tylu ludzi, jeżeli ich i tak nie zna?

A pani Carew nie pozwoliła mi zawierać znajomości, sama zresztą prawie nikogo nie znała. Zawsze twierdzi, że ludzie są niepotrzebni.

Zaległa chwila ciszy, po czym z głębokim westchnieniem Pollyanna zaczęła opowiadać dalej:

— Właśnie to było najbardziej dla mnie przykre, że ci wszyscy ludzie absolutnie się ze sobą nie znali. Byłoby przecież o wiele przyjemniej, gdyby tworzyli jedno grono znajomych! I pomyśleć tylko, proszę pana, że tam jest tylu ludzi, którzy mieszkają na wąskich, brudnych uliczkach, nie mają co jeść i chodzą w łachmanach! Ale i inni są tam także — chociażby taka pani Carew — ci znów mieszkają w prześlicznych domach, mają jedzenia za dużo, a ubrania tyle, że nie wiedzą co z nim robić. Gdyby tak ci ludzie znali tamtych ludzi... — lecz w tej chwili pan Pendleton przerwał jej głośnym wybuchem śmiechu.

— Moje drogie dziecko, czy nie przyszło ci na myśl, że właśnie ci bogaci ludzie nie chcą wcale znać tamtych biedaków? — zapytał, pokpiwając.

— Ach, ale niektórzy z nich są inni, — zaprotestowała Pollyanna gorączkowo. — Jest tam na przykład taka Sadie Dean, która sprzedaje w sklepie żaboty i kołnierzyki i która bardzo lubi znać ludzi. Zaznajomiłam ją z panią Carew i była u nas w domu, był wówczas również Jamie i jeszcze kilka osób, a ona była ogromnie zadowolona, że ich wszystkich poznała! I właśnie wtedy przyszło mi na myśl, że gdyby pani Carew znała biednych... Ale ja przecież nie mogę z wszystkimi jej znaznajamiać, zresztą sama znam niewielu. Ale gdyby oni

wszyscy się znali, to na pewno ci bogaci daliby tym biednym choć trochę swoich pieniędzy...

I tym razem pan Pendleton przerwał dziewczynce głośnym śmiechem.

— Ach, Pollyanno, Pollyanno, — zawołał. — Boję się, że wypływasz na zbyt głębokie wody. Gotowaś stać się typową „towarzyszką", nim jeszcze zdasz sobie dokładnie z tego sprawę.

— Czym? — zapytała dziewczynka, nic nie rozumiejąc. — Zdaje się, że nie wiem, co znaczy „towarzyszka". Wiem za to, co znaczy towarzyski i ogromnie lubię towarzyskich ludzi. Jeżeli to pan miał na myśli, to nie mam absolutnie nic przeciwko temu, żeby zostać towarzyszką.

— Wcale nie wątpię, Pollyanno, — uśmiechnął się pan Pendleton. — Ale jeżeli idzie o rozwiązanie tak trudnego zagadnienia bogactwa, to będziesz miała z tym dużo przykrości.

Pollyanna głęboko westchnęła.

— Wiem, — skinęła głową. — To samo mi mówiła pani Carew. Zawsze twierdziła, że nic nie rozumiem, wspominała o jakiejś tam pauperyzacji i... Tak, zdaje się, że to brzmiało w ten sposób, — spojrzała poważnie na pana Pendletona, który znów zaśmiał się wesoło. — Ale ja mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego jedni ludzie mają mieć tak dużo, wówczas gdy inni nic nie mają, wcale mi się to nie podoba. Jak ja kiedyś będę miała majątek, to na pewno podzielę się z biednymi, chociaż bym nawet miała... — pan Pendleton śmiał się teraz tak głośno, że Pollyanna po chwili zaraziła się tą jego wesołością.

— Ale mimo wszystko, — wyszeptała, poważniejąc nagle, — ja i tak właściwie nic nie rozumiem.

— Słusznie, kochanie, lękam się, że naprawdę nie rozumiesz, — przyznał pan Pendleton, stając się równie poważny i zamyślony, — i my wszyscy też mało rozumiemy na ten temat. Ale wytłumacz mi,— dodał po chwili, — kto jest ten Jamie, o którym tyle mówisz od swego przyjazdu?

Pollyanna zaczęła opowiadać. Mówiąc o Jamie, nie miała już zatroskanej minki i tego wyrazu powagi w oczach. Ogromnie lubiła opowiadać o swym przyjacielu, bo to był temat, który rozumiała doskonale. Mówiąc o Jamie, nie trzeba było dobierać górnolotnych, niezrozumiałych słów, zresztą w tym wypadku pan Pendleton nie zdziwił się wcale, że pani Carew wzięła chłopca do swego domu, bo któż lepiej od pana Pendletona rozumiał potrzebę „obecności dziecka“?

Odtąd już Pollyanna wszystkim opowiadała o Jamie, wychodziła bowiem z tego założenia, że każdy powinien być chłopcem tak samo zainteresowany, jak ona. W większości wypadków nie doznała na ten temat rozczarowania, lecz pewnego dnia spotkała ją prawdziwa niespodzianka. Było to podczas rozmowy z Jimmy Pendletonem.

— Słuchaj, moja droga, — zawołał zniecierpliwiony chłopiec pewnego popołudnia. — Czy w tym Bostonie nikogo więcej nie było, tylko stale ten Jamie?

— Jakto, Jimmy Bean, co masz na myśli? — zdziwiła się Pollyanna.

Chłopak podniósł ku górze głowę.

— Nie jestem żaden Jimmy Bean, tylko Jimmy Pendleton, a sądząc z tego co ciągle mówisz, wido-

cznie w tym Bostonie nikogo więcej nie było, oprócz tego głupiego chłopca, który ptaki i wiewiórki nazywał „Lady Lancelot“ i wyczyniał rozmaite inne głupstwa.

— Jakto, Jimmy Be... Pendleton! — otworzyła szeroko usta Pollyanna, a po chwili zawołała z wyraźnym oburzeniem. — Jamie wcale nie jest głupi! Jest bardzo miłym i mądrym chłopcem, czytał dużo książek i umie opowiadać piękne historie! Potrafi nawet opowiadać ciekawe historie z głowy! A poza tym ta wiewiórka nie nazywała się „Lady Lancelot“, tylko „Sir Lancelot“. Gdybyś umiał choć połowę tego, co Jamie, to byś na pewno i o tem wiedział! — zakończyła, patrząc nań pałającym wzrokiem. Jimmy Pendleton zarumienił się zawstydzony i ogarniała go coraz większa pasja. Z każdą chwilą nurtowało go bardziej uczucie zazdrości, a wraz z nim wzmagał się w jego duszy upór.

— Zresztą, — mruknął z przekąsem, — wcale mnie nie obchodzi ten idiota. „Jamie“! Hm! To by było dobre imię dla baby! Nietylko ja zresztą to zauważyłem!

— A kto jeszcze?

Nie było odpowiedzi.

— A kto jeszcze? — powtórzyła Pollyanna nalegająco.

— Ojciec. — Głos chłopca był jakiś obcy.

— Twój ojciec? — powtórzyła Pollyanna ze zdziwieniem. — Jakto, a skąd on mógł znać Jamie?

— Tamtego nie znał. Nie o nim mówił, tylko o mnie. — Chłopak przez cały czas był dziwnie onieśmielony i wyraźnie unikał wzroku Pollyanny, w głosie jego jednak brzmiała jakaś słodycz, którą

zawsze dawało się zauważyć, ilekroć mówił o ojcu.

— O tobie!

— Tak. Było to na krótko przed jego śmiercią. Zatrzymaliśmy się prawie na tydzień u jednego gospodarza. Ojciec pomagał przy sianokosach, a ja także robiłem co mogłem. Gospodyni była bardzo dobra dla mnie i zaczęła mnie nazywać „Jamie". Nie wiem dlaczego, ale tak mnie nazywała. Pewnego dnia ojciec to usłyszał. Rozgniewał się okropnie — był taki zły, że dotychczas to jeszcze pamiętam. Powiedział, że „Jamie" to nie jest imię dla chłopca i że jego syn nigdy nie będzie miał takiego imienia. Powiedział, że to babskie imię, i że go nienawidzi. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak rozgniewanego, jak tego wieczoru. Nie chciał nawet skończyć rozpoczętej pracy, zabrał mnie z sobą i wyruszyliśmy jeszcze tej nocy w dalszą drogę. Mnie było bardzo przykro, bo ogromnie lubiłem tę gospodynię. Była dla mnie naprawdę dobra.

Pollyanna kiwała głową, pełna zrozumienia i sympatii. Rzadko się zdarzało, żeby Jimmy mówił tak obszernie o tym dawnym okresie swego życia, podczas którego ona go jeszcze nie znała.

— I co się potem stało? — ośmieliła się zapytać. Na chwilę zapomniała zupełnie o poprzednim temacie i o tym, że Jimmy wypowiedział się tak niepochlebnie o imieniu „Jamie".

Chłopak westchnął.

— Poszliśmy dalej, aż znaleźliśmy jakąś inną zagrodę. Tam właśnie ojciec umarł, a mnie zabrali do przytułku.

— Skąd później uciekłeś i ja cię znalazłam u pa-

ni Snow, — podchwyciła Pollyanna czule. — I odtąd już znamy się ze sobą.

— Tak, odtąd znamy się, — powtórzył Jimmy dziwnie nieswoim głosem. Powrócił nagle do rzeczywistości i do swego obecnego smutku. — Od tego czasu nie nazywałem się więcej „Jamie“, — zakończył złośliwie, odwracając się na pięcie i pozostawiając zdziwioną i przerażoną Pollyannę samą.

— W każdym razie mogę być zadowolona, że nie zawsze zachowuje się w ten sposób, — westchnęła dziewczynka, spoglądając z zasmuconą minką za znikającym w oddali chłopcem.

ROZDZIAŁ XV.

Ciotka Polly wszczyna alarm.

Pollyanna przebywała w domu już prawie tydzień, gdy pani Chilton otrzymała list od Delli Wetherby.

Chciałabym donieść Pani, ile dobrego mała Pani siostrzenica uczyniła dla mojej siostry,“ pisała panna Wetherby „lecz obawiam się, że to będzie niemożliwe. Nie orientuje się Pani przecież, co było dawniej. Widziała ją Pani wprawdzie, lecz proszę sobie wyobrazić, że ta jej rezygnacja trwała już od bardzo wielu lat. Stale przepojona była goryczą, nic jej nie interesowało i zdecydowała się aż do śmierci nosić żałobę.

„Potem przyjechała Pollyanna. Nie wspominałam Pani, że siostra moja żałowała, iż

zgodziła się przyjąć do siebie dziecko i zaczęła robić mi poważne trudności, grożąc, że gdy tylko dziewczynka zacznie jej prawić kazania, natychmiast odeśle ją do domu. Pollyanna jednak kazań nie prawiła, przynajmniej, tak twierdzi moja siostra, a ona chyba wie o tym najlepiej. Pozwoli Pani, że Jej opiszę, co zastałam, gdy odwiedziłam siostrę wczoraj. Może to właśnie da Pani choć nikłe pojęcie o tej cudownej zmianie, jaka zaszła dzięki Pollyannie.

„Gdy weszłam tylko do domu, zauważyłam, że wszystkie okna są odsłonięte, dawniej zaś po całych dniach zasłony były opuszczone. Po wejściu do hallu usłyszałam melodię z Parsifala. Obydwa salony były otwarte i wszędzie unosił się zapach róż.

„— Pani Carew i panicz Jamie są w salonie muzycznym, — oświadczyła mi pokojówka. Istotnie zastałam ich tam — siostrę moją i chłopca, którego wzięła do swego domu — zasłuchanych w tej cudownej melodii, którą wykonywała radiowa orkiestra.

„Chłopiec siedział w fotelu na kółkach, był blady, lecz najwidoczniej szczęśliwy. Siostra moja wyglądała o dziesięć lat młodziej. Blade zazwyczaj policzki miała zarumienione, a oczy jej błyszczały radością. Później trochę, gdy chwilę porozmawiałam z chłopcem, poszłyśmy wraz z siostrą na górę do jej pokoju i tam opowiadała mi o Jamie, ale nie o tym dawnym Jamie, za którym wypłakiwała oczy i przez tyle lat

tak beznadziejnie tęskniła, lecz o tym nowym, którego miała przy sobie i który nie przyniósł jej ani łez, ani smutku, przeciwnie, wskazał jej nowy cel w życiu i nowe zainteresowania.

„— Dello, on jest nadzwyczajny, — zaczęła. — Wszystko co najpiękniejsze w muzyce, sztuce i literaturze, przemawia do niego z niebywałą siłą, tylko oczywiście brakuje mu tego rozwoju duchowego i wykształcenia. Właśnie tego ja mu muszę dostarczyć. Od jutra będzie miał nauczyciela. Oczywiście język też ma okropny, ale jednocześnie czyta mnóstwo książek i powinnaś usłyszeć, jakie piękne historie potrafi opowiadać! Oczywiście w ogólnym wykształceniu jest bardzo cofnięty, ale wykazuje taką chęć do nauki, że wkrótce z pewnością przegoni swych rówieśników. Prawdziwie kocha muzykę, więc i pod tym względem muszę go kształcić. Kupiłam już jeden z najlepszych aparatów radiowych i szkoda, żeś nie widziała jego twarzy, gdy po raz pierwszy usłyszał koncert orkiestry. Wie wszystko o Królu Arturze i o jego Okrągłym Stole, mówi o rycerzach, lordach i damach dworu, jak my mówimy o członkach naszej rodziny, czasami tylko zastanawiam się nad tym, czy mówiąc o Sir Lancelocie, ma na myśli rycerza średniowiecznego, czy też wiewiórkę z publicznego parku. A wiesz, Dello, wierzę w to, że on jeszcze będzie chodził. Mam zamiar wezwać w tych dniach dr. Amesa i...

„I tak przez cały czas opowiadała, gdy ja siedziałam oniemiała, z zamkniętymi ustami, lecz bardzo, bardzo, szczęśliwa! Piszę Pani o tym wszystkim, droga pani Chilton, aby się Pani zorientowała, jak wielka zmiana zaszła w mojej siotrze, jak serdecznie zaopiekowała się ona życiem i rozwojem tego chłopca i jak całkiem bezwiednie zmieniła swój stosunek do własnego życia. Stała się teraz czynna dla niego, dla Jamie, bowiem raz na zawsze przestała myśleć wyłącznie o sobie. Mam nadzieję, że już nigdy nie będzie tą znękaną, bezradną kobietą, jaką była dawniej, a to wszystko tylko dzięki Pollyannie.

„Pollyanna! Najmilsze dziecko, najcudowniejsza istota, która zupełnie jest nieświadoma tego, co czyni. Przypuszczam, że nawet moja siostra nie zdaje sobie sprawy z tego, co wypełniło lukę w jej sercu i w życiu całym, a tymbardziej Pollyanna nie może wiedzieć, że to ona jest sprawczynią tej szczęśliwej zmiany.

„Jak mam Pani dziękować, droga pani Chilton? Wiem, że to jest niemożliwe i dlatego wcale próbować nie będę. Odczuwa Pani jednak z pewnością, jak bardzo wdzięczna jestem zarówno Pani, jak i Pollyannie.

„Della Wetherby".

— Sądząc z tego, kuracja udała się jak najlepiej, — uśmiechnął się dr. Chilton, gdy żona skończyła czytanie listu.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu pani Polly nie-

chętnym i ostrzegawczym ruchem podniosła w górę rękę.

— Tomaszu, proszę cię, daj spokój! — wyszeptała.

— Jakto, Polly, co się stało? Czy jesteś niezadowolona, że lekarstwo poskutkowało?

Pani Chilton opadła bezradnie na krzesło.

— Znowu to samo, Tomaszu, — westchnęła. — Naturalnie, że jestem zadowolona, iż ta nieszczęśliwa kobieta znalazła wreszcie jakiś cel w życiu, a poza tym cieszę się, że jest to dzieło Pollyanny. Nie chcę jednak, aby o dziecku mówiło się ciągle, jak... jak o butelce lekarstwa, czy o „kuracji". Nie rozumiesz tego?

— Głupstwo! Przecież to jej nie wyrządza żadnej krzywdy. Nazywam Pollyannę balsamem od czasu, jak ją poznałem.

— Krzywdy! Tomaszu Chilton, nie zdajesz sobie sprawy, że dziecko jest starsze z dnia na dzień. Czy chcesz ją zupełnie zepsuć? Do tej pory jest zupełnie nieświadoma swojej niezwykłej mocy i w tym właśnie tkwi tajemnica jej wielkiego czaru. W chwili, gdy świadomie będzie chciała ludziom pomagać, stanie się zupełnie niemożliwa i zdemoralizowana. Broń Boże, żeby jej kiedykolwiek miało przyjść do głowy, że jest balsamem dla biednych, chorych i cierpiących ludzi.

— Głupstwo! Ja bym się o to nie martwił, — zaśmiał się doktór.

— Ale ja się martwię, Tomaszu.

— Pomyśl tylko, Polly, ile już ona zdziałała, — argumentował doktór. — Pomyśl o pani Snow, Johnie Pendletonie i o tych wszystkich innych, którzy

są nie tacy, jak dawniej i w których zaszła jeszcze większa zmiana, niż w pani Carew. I to wszystko zdziałała Pollyanna, niech jej Bóg błogosławi!

— Wiem, że to wszystko ona, — skinęła poważnie głową pani Polly Chilton. — Ale nie chcę, żeby zdawała sobie z tego sprawę! Wystarczy, że wie o tym, że nauczyła tych wszystkich ludzi swojej „gry w zadowolenie" i że odtąd czują się oni szczęśliwsi. Istnieje gra — ta jej gra, w którą zabawiają się wszyscy. Mówiąc między nami, Pollyanna i nam samym przyniosła wiele dobra, lecz nie wolno dopuścić do tego, żeby to sobie uświadomiła. Chodzi mi tylko o to. A teraz muszę ci zakomunikować, że postanowiłam tej jesieni pojechać z tobą do Niemiec. Z początku myślałam że nie pojadę, nie chciałam zostawiać Pollyanny samej, a i teraz nie mam zamiaru jej zostawiać. Zdecydowałam, że pojedzie z nami.

— Pojedzie z nami? Doskonale! Czemużby nie?

— Właśnie tak pomyślałam. Uważam, że tak będzie dobrze. Poza tym miałabym wielką ochotę pozostać tam na kilka lat, o czym sam marzyłeś. Chciałabym, aby Pollyanna była trochę z daleka od Beldingsville. Pragnę, aby na zawsze pozostała tak naiwna i nie zepsuta. Będę się starać nie dopuszczać do jej główki głupich myśli. Czyż obydwoje nie pragniemy, Tomaszu, aby to dziecko pozostało nadal czystą i niewinną istotką?

— Masz słuszność, oczywiście, — zaśmiał się doktór. — Ale wątpię czy będąc tutaj, musiałaby się zepsuć. Ten pomysł z pozostaniem na dłuższy czas za granicą bardzo mi odpowiada. Wiesz, że nie wybrałbym się nigdy na dłużej, gdyby Pollyanna mia-

ła sama pozostać, ale wobec takiego stanu rzeczy, im prędzej wyjedziemy tym lepiej. Chętnie tam zostanę zarówno dla studiów, jak i dla praktyki.

— A zatem sprawa załatwiona, — szepnęła ciotka Polly, wzdychając z zadowoleniem.

ROZDZIAŁ XVI.

W oczekiwaniu Pollyanny.

Całe Beldingsville szalało poprostu z podniecenia. Od czasu, gdy Pollyanna Whittier owego dnia wróciła do domu z sanatorium zdrowia, nie było chyba w miasteczku tylu na jej temat rozmów, tyle radości i tylu rozjaśnionych twarzy na każdym podwórzu i na każdym rogu ulicy, jak dzisiaj. Tak, dzisiaj ogniskiem zainteresowania znowu była Pollyanna. Po raz drugi wracała do domu, lecz taka inna i taki inny był ten powrót!

Pollyanna miała teraz lat dwadzieścia, bo sześć lat przepędziła w Niemczech, podróżując podczas wakacji z dr. Chiltonem i jego żoną. Tylko raz jeden w ciągu tego czasu była w Beldingsville, lecz zaledwie przez cztery krótkie tygodnie i miała wtedy lat szesnaście. Teraz wracała do domu, jak mówiono — na stałe, ona i ciotka Polly.

Dr. Chiltona z nimi nie było. Pół roku temu miasteczko wstrząśnięte zostało smutną wieścią, że doktór umarł nagle. Mieszkańcy Beldingsville przypuszczali wówczas, że pani Chilton i Pollyanna wrócą natychmiast do domu. One jednak nie wróciły. Przybyła natomiast wiadomość, że wdowa

z siostrzenicą pozostaną jeszcze na pewien czas w Niemczech. W liście tym donoszono, że w nowych warunkach i wśród nowego otoczenia pani Chilton łatwiej może zapomni o swym bólu i prędzej na szerokim świecie znajdzie ukojenie.

Wkrótce jednak mieszkańcy miasteczka dowiedzieli się, że obecnie pod względem materialnym nie było już tak dobrze z panią Polly Chilton. Pewne warsztaty kolejowe, w których, jak się okazało, majątek Harrington był mocno zaangażowany, zachwiały się, a potem uległy zupełnej ruinie. Według pogłosek, innych źródeł dochodu nie było. Z posiadłości należącej do zmarłego doktora, trudno było czegoś oczekiwać. Doktór nigdy nie był człowiekiem bogatym, a podczas ostatnich sześciu lat wydatki miał pokaźne. Dlatego też Beldingsville nie zdziwiło się zupełnie, gdy w sześć miesięcy po śmierci doktora przyszła wiadomość, że pani Chilton i Pollyanna wracają do domu.

I znowu stare domostwo Harringtonów, tak długo opuszczone i zamknięte, wyjrzało na świat otwartymi na oścież drzwiami i oknami. I znowu Nancy, obecna pani Tymoteuszowa Durgin, zamiatała, szorowała i okurzała wszystko tak długo, aż wszystkie pokoje zostały uporządkowane i zapanowała w nich nieskazitelna czystość.

— Nie, nikt mi nie kazał tego robić, — tłumaczyła Nancy ciekawym przyjaciołom i sąsiadom, którzy zatrzymywali się u bramy, lub odważnie podchodzili do samych drzwi. — Matka Durgin miała oczywiście klucze i przychodziła tutaj, aby się przekonać, czy wszystko jest w porządku, a teraz pani Chilton napisała, że przyjeżdża z panną Pollyanną

w ten piątek i prosi, aby przewietrzyć pokoje, a klucz zostawić na piątek pod słomianką przy bocznych drzwiach.

— Pod słomianką, właśnie! Gotów ktoś pomyśleć, że ja pozwolę na to, żeby te biedactwa przyjechały tu same, i żeby nie zastały nikogo w domu, wówczas, kiedy mieszkam zaledwie o milę stąd. Mam pewno siedzieć w swoim domu i zgrywać wielką damę. Musiałabym już zupełnie nie mieć serca! Biedaczki i tak mają dosyć. Jak im musi być przykro, że wracają do domu bez doktora — niech mu ziemia lekką będzie! A pieniędzy także nie mają! Czyście słyszeli moi państwo? Przecież to byłby kompletny wstyd! Pomyśleć, że taka panna Polly — chciałam powiedzieć pani Chilton — jest biedna! Ja zupełnie sobie tego w głowie nie mogę pomieścić!

Prawdopodobnie z nikim Nancy nie mówiła tak szczerze, jak z wysokim, sympatycznie wyglądającym młodzieńcem, o jasnych, wyrazistych oczach i ujmującym uśmiechu, który zatrzymał się ze swym wierzchowcem przed bocznymi drzwiami punktualnie o dziesiątej owego czwartkowego ranka. Jednocześnie do nikogo nie zwracała się z tak widocznym zażenowaniem, bo nie wiedziała, w jaki sposób właściwie ma się doń zwracać. „Panicz Jimmy — hm — pan Bean, chciałam powiedzieć, pan Pendleton!“ jąkała się, co niezwykle bawiło sympatycznego młodzieńca.

— Mniejsza o to, Nancy! Proszę mówić tak, jak najwygodniej, — uśmiechnął się. — Dowiedziałem się już na pewno, że pani Chilton z siostrzenicą wracają nieodwołalnie jutro.

— Tak, sir, na pewno, sir, — kiwała głową Nancy — żal człowieka ogarnia! Chociaż zadowolona jestem, że je wreszcie zobaczę, pan rozumie, ale w takim stanie biedactwa muszą wracać do domu.

— Tak, wiem, rozumiem, — skinął głową młodzieniec, rozglądając się badawczym wzrokiem po starym opuszczonym domu. — Niestety, nie ma na to żadnej rady. Cieszę się, że Nancy tu trochę sprzątnęła, bo będzie im na pewno o wiele przyjemniej, — dorzucił, uśmiechając się przyjaźnie i wskoczywszy na konia, szybko odjechał.

Nancy stała na stopniach, patrząc za oddalającym się i kiwając w zamyśleniu głową.

— Wcale się nie dziwię, paniczu Jimmy, — oświadczyła głośno, śledząc wzrokiem pełnym przywiązania zręczną sylwetkę jeźdźca i wierzchowca. — Wcale się nie dziwię, że pamięta pan jeszcze o pannie Pollyannie. Już dawno mówiłam, że nastąpi to kiedyś, gdy dorośniecie obydwoje. Przysięgłabym, że tak będzie! Zupełnie tak jak w książce, znalazła pana, biedactwo, a pan dzięki niej znalazł szczęście w domu poczciwego pana Pendletona. Ale kto by cię teraz, mój paniczu, wziął za dawnego Jimmy Beana? Nie sądziłam, że człowiek może się tak zmienić — nie uwierzyłabym, nigdy! — szeptała dalej, wracając do przerwanej na chwilę roboty.

Prawdopodobnie te same myśli zaprzątały teraz umysł Johna Pendletona, który z werandy swojej obserwował szybkie zbliżanie się konia i młodego jeźdźca. W oczach jego tlił ten sam wyraz przywiązania, co w oczach Nancy Durgin, na ustach błądził

ten sam uśmiech, gdy westchnął i wyszeptał do siebie:

— Boże, jaka z nich byłaby piękna para!

W pięć minut potem młody chłopak wyszedł z za węgła domu i wolnym krokiem wszedł na werandę.

— I cóż, mój chłopcze, więc to prawda? Istotnie przyjeżdżają? — zapytał pan Pendleton z wyraźnym zaciekawieniem.

— Tak.

— Kiedy?

— Jutro, — młodzieniec leniwym ruchem opadł na krzesło.

Słysząc lakoniczną odpowiedź, John Pendleton zmarszczył brwi, po czym spojrzał bacznie na chłopca. Przez chwilę wahał się i nagle nieoczekiwanie zapytał:

— Powiedz, synu, co się stało?

— Nic, sir.

— Głupstwa pleciesz! Ja wiem lepiej. Przed pół godziną wyjechałeś stąd tak gorączkowo, że i tabun dzikich koni nie zdołałby cię powstrzymać, a teraz siedzisz na krześle, jak martwy. Gdybym nie orientował się w sytuacji, mógłbym pomyśleć, że niezadowolony jesteś z powrotu naszych przyjaciół.

Umilkł na chwilę, widocznie czekając odpowiedzi, lecz na werandzie panowało milczenie.

Młodzieniec zaśmiał się i poruszył niespokojnie na krześle.

— Oczywiście, że jestem zadowolony.

— Hm! A zachowujesz się całkiem inaczej.

Znowu młodzieniec uśmiechnął się, krwawy rumieniec okrasił jego chłopięcą twarz.

— To tylko dlatego, że myślałem o Pollyannie.

— O Pollyannie! Człowieku, przecież ty nic innego nie robiłeś od przyjazdu z Bostonu, tylko ciągle mówiłeś o Pollyannie. Sądząc z tego, myślałem, że usychasz z tęsknoty za nią.

Młodzieniec pochylił się, patrząc na opiekuna z badawczą ciekawością.

— Miałeś słuszność, sir, w tym, co mówiłeś przed chwilą. Jeszcze wczoraj tabun dzikich koni nie powstrzymałby mnie od zobaczenia Pollyanny, a teraz, dzisiaj, kiedy wiem, że przyjeżdża, boję się po prostu ją ujrzeć.

— Dlaczego, Jim?

Widząc zdziwioną minę opiekuna, chłopak poprawił się na krześle i uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Tak, wiem. To brzmi dość dziwnie i wątpię, czy mnie zdołasz zrozumieć. Nie wiem dlaczego, ale wolałbym, żeby Pollyanna na zawsze została małą dziewczynką. Taka miła była, będąc dzieckiem. Lubię myśleć o niej takiej, jaką widziałem po raz ostatni, lubię wspominać jej poważną, drobną twarzyczkę, jej gruby jasny warkocz i pełne pogody słowa, w których drżały łzy: „O, tak, zadowolona jestem, że jadę, ale bardziej cieszyć się będę, gdy już wrócę". Mówiła to, gdy ją po raz ostatni widziałem. Jak przed czterema laty przyjechała tu na wakacje, my przebywaliśmy wówczas w Egipcie.

— Pamiętam. Rozumiem teraz, co masz na myśli. I ja odczuwałem to w ten sam sposób, dopóki nie zobaczyłem jej zeszłej zimy w Rzymie.

Młodzieniec pochylił się gorączkowo.

— Właśnie, przecież tyś ją widział, sir! Opowiedz mi o niej.

Figlarne ogniki zabłysły w oczach Jona Pendletona.

— Ach, ale przecież ty nie chcesz, żeby Pollyanna urosła.

Młodzieniec zdawał się nie słyszeć tej uwagi.

— A czy jest ładna?

— Ach, wy młodzi chłopcy! — pokiwał głową pan Pendleton z udaną rozpaczą. — Zawsze przede wszystkim zadajecie pytanie: „Czy jest ładna?"

— Więc czy ona jest ładna? — indagował uparcie chłopak.

— Pod tym względem sąd pozostawiam tobie. Boję się, żebyś się nie rozczarował. Pollyanna nie jest piękna, bo nie posiada regularnych rysów, pięknych loków i tych wszystkich wdzięków, które posiadają premiowane piękności. Najważniejsze jednak jest to, że ona sama przekonana jest, że jest brzydka. Bardzo dawno temu mówiła mi, że pragnęłaby mieć czarne loki, gdy pójdzie kiedyś do nieba, a w zeszłym roku w zimie powiedziała mi całkiem co innego. Może nie wszystko potrafiła wyrazić słowami, lecz w samym tonie wyczułem wyraźną tęsknotę. Wspominała, że marzy o tym, aby ktoś napisał powieść, której bohaterka miałaby równy jasny warkocz i brodawkę na nosie, lecz jednocześnie chciałaby, aby ta bohaterka potrafiła uszczęśliwiać ludzi.

— To zupełnie przypomina dawną Pollyannę.

— Ach, tę dawną Pollyannę odnajdziesz na pewno, — uśmiechnął się pan Pendleton tajemniczo. — Poza tym uważam, że jest ładna. Oczy ma wspaniałe, przedstawia sobą okaz zdrowia, posiada mnóstwo dziewczęcości i twarzyczka jej tak promienie-

je, gdy mówi, że zapomina się zupełnie o tym, że nie ma regularnych rysów.

—A czy jeszcze ciągle gra w swoją grę?

John Pendleton uśmiechnął się radośnie.

— Mam wrażenie, że gra, chociaż zdaje mi się, że teraz już o tym nie wspomina. Przynajmniej mnie nic nie mówiła, chociaż ją widziałem dwa, czy trzy razy.

Zaległa krótka cisza, po czym młody Pendleton zaczął mówić:

— Właśnie tego najbardziej się lękałem. Ta jej gra była takim dobrodziejstwem dla tylu ludzi, tyle dobrego zdziałała w całym mieście! Nie mogę sobie wyobrazić tego, że przestała już tę grę uprawiać, a jednocześnie trudno uwierzyć w to, że dorosła Pollyanna może dotychczas starać się o to, aby stykający się z nią ludzie byli szczęśliwi. I właśnie dlatego pragnąłbym, aby Pollyanna nigdy nie była dorosła.

—Ja tam się o to nie martwię, — wzruszył ramionami starszy jegomość. — Zawsze Pollyanna była niezwykła, godna podziwu i jestem pewien, że i teraz znajdziesz ją taką samą, chociaż jest mniej naiwna i bardziej doświadczona. Biedne dziecko, lękam się, że teraz będzie musiała do samej siebie zastosować tę grę, aby własne jej życie było możliwe do zniesienia.

— Czy dlatego, że pani Chilton straciła swój majątek? Czy istotnie są teraz takie biedne?

— Przypuszczam, że tak. Znajdują się w opłakanym stanie, jeżeli idzie o ich położenie materialne. Prywatny majątek pani Chilton jest zupełnie zachwiany, a posiadłość biednego Tomasza jest mała

i tak zadłużona, że chyba nigdy nie da się z długów oczyścić. Tomasz za życia swego nie potrafił nikomu odmówić, gdy chodziło o jego pomoc, a ponieważ ludzie o tym wiedzieli, wyzyskiwali go, jak mogli. Ostatnio sam także miał pokaźne wydatki, zresztą spodziewał się wielkich dochodów po ukończeniu swej specjalnej praktyki w Niemczech. Jeżeli chodziło o żonę i Pollyannę, to wierzył, że posiadłość Harringtonów obydwu niewiastom przyszłość zabezpieczy, to też nie troszczył się na ten temat.

— Hm, rozumiem. Strasznie to przykre!

— Ale to jeszcze nie wszystko. Było to mniej więcej w dwa miesiące po śmierci Tomasza, gdy widziałem panią Chilton i Pollyannę w Rzymie, a pani Chilton znajdowała się wówczas w rozpaczliwym stanie. Na domiar wszystkich smutków przyszło jeszcze zmartwienie o pieniądze i była kompletnie bliska obłędu. Nie chciała wrócić do domu, twierdząc, że nie chce więcej widzieć Beldingsville, ani też jego mieszkańców. Była zawsze niezwykle dumną kobietą i ta właśnie duma nie pozwalała jej zetknąć się z dawnymi przyjaciółmi. Pollyanna opowiadała mi, że ciocia wierzy w to, iż mieszkańcy Beldingsville nigdy nie pochwalali jej małżeństwa z dr. Chiltonem, które zawarła w tak późnym wieku, a teraz, kiedy Tomasz umarł, czuła, że nie pojmą jej głębokiego smutku i że zareagują nawet zwykłym szyderstwem. Chciała ukryć przed dawnymi sąsiadami zarówno swoją biedę, jak i swoje smutne wdowieństwo. Jednym słowem, pragnęła nadal pozostać sama ze swą rozpaczą, z daleka od dawnych przyjaciół. Biedna mała Pollyanna! Należało podziwiać, jak dzielnie znosiła to wszystko. Je-

żeli jednak pani Chilton nadal pozostawać będzie w tym stanie, to dziecko gotowe się zamartwić. Właśnie dlatego wspomniałem, że teraz Pollyannie bardziej będzie potrzebna jej gra, niż komukolwiek.

— Przykro pomyśleć, że właśnie coś takiego jej się musiało przytrafić! — zawołał młodzieniec drżącym ze wzruszenia głosem.

— Tak, i zobaczysz ją, jak przyjedzie jutro, jaka jest spokojna i opanowana. Na pewno nikt nie usłyszy z jej ust ani słowa skargi. Ale to już jest dziełc Polly Chilton, gotów jestem przysiąc. Przecież to ona nie chce się z nikim stykać. Rozumiem teraz, dlaczego o swym powrocie zawiadomiła tylko starą panią Durgin, która miała klucze od mieszkania.

— Tak mi właśnie mówiła Nancy, poczciwa dusza! Przewietrzyła wszystkie pokoje, posprzątała i poukładała, aby w mieszkaniu było jak najprzyjemniej. Oczywiście ogród też wygląda całkiem przyzwoicie, bo stary Tomasz przez cały czas go nie zaniedbywał. Ale to wszystko jest bardzo przykre i bardzo mnie boli.

Zaległa znowu dłuższa cisza, którą i tym razem przerwał John Pendleton:

— Powinien ktoś je oczekiwać.

— I na pewno będzie.

— Wybierasz się na stację?

— Owszem.

— Więc orientujesz się, którym pociągiem przyjadą?

— Ach, nie. Nawet Nancy tego nie wie.

— To jak się urządzisz?

— Będę wychodził od rana na każdy pociąg, aż wreszcie trafię, — zaśmiał się trochę nieszczerze

młodzieniec. — Tymoteusz wybiera się także familijnym powozem. Przecież tak dużo pociągów nie ma, więc jakoś damy sobie radę.

— Hm, oczywiście, — skinął głową pan Pendleton. — Jim, podziwiam twoje nerwy, lecz nie twój rozum. Cieszę się, że idziesz za popędem uczuć, a nie rozumu i życzę ci pod tym względem wiele szczęścia.

— Dziękuję, sir, — uśmiechnął się młodzieniec. — Potrzebne mi są one, te twoje dobre życzenia i przydadzą się, jak zawsze mówi Nancy.

ROZDZIAŁ XVII.

Przyjazd Pollyanny.

W miarę jak pociąg zbliżał się do Beldingsville, Pollyanna z coraz większym niepokojem obserwowała ciotkę. Przez cały dzień podróży pani Chilton była zdenerwowana i ponura, a Pollyanna najbardziej obawiała się tej chwili, kiedy dotrą już do tak dobrze znajomej stacji.

Patrząc na ciotkę, serce jej zamierało z bólu. Po prostu trudno było uwierzyć, żeby człowiek mógł się do tego stopnia zmienić i postarzeć w ciągu krótkich sześciu miesięcy. Oczy pani Chilton były przygaszone, policzki blade i zmięte, a czoło poorane gęstą siecią zmarszczek. Kąciki ust opadały ku dołowi, włosy zaś miała gładko zczesane od czoła, nie stosując się absolutnie do obecnej mody, której tak zawzięcie hołdowała za dawnych lat, za czasów, kiedy Pollyanna przyjechała do niej po raz pierwszy. Ca-

ła miękkość i słodycz, promieniujące z niej podczas małżeństwa, zniknęły bezpowrotnie, ustępując miejsca dawnej surowości i goryczy, które ją cechowały wówczas, gdy była jeszcze panną Polly Harrington, przez nikogo nie kochaną i nikomu nie potrzebną.

— Pollyanno! — głos pani Chilton brzmiał natarczywie.

Pollyanna drgnęła niespokojnie. Doznała nieprzyjemnego uczucia, że ciotka w tej chwili czytała w jej myślach.

— Słucham, ciociu.

— Gdzie jest ta czarna walizeczka — ta najmniejsza?

— Tutaj.

— Dobrze, chciałam, żebyś mi z niej wyjęła mój czarny welon. Jesteśmy już prawie na miejscu.

— Ale ten welon jest strasznie gruby i ciepły, ciociu!

— Pollyanno, proszę cię o ten czarny welon. Gdybyś nauczyła się spełniać moje życzenia bez argumentów, byłoby mi o wiele przyjemniej. Chcę mieć ten welon. Sądzisz, że mam zamiar całemu Beldingsville pokazywać swoją twarz, żeby się wszyscy przekonali, jak ja ten ból znoszę?

— Ach, ciociu, oni wcale na to nie zwrócą uwagi, — zaprotestowała Pollyanna, przewracając śpiesznie w czarnej walizeczce i szukając welonu. — Zresztą na pewno nikt nie wyjdzie po nas na stację. Nie zawiadomiłyśmy przecież nikogo, że wracamy.

— Tak, wiem o tym. Nie prosiłyśmy, żeby ktokolwiek po nas wychodził. Ale poleciłyśmy Durginowej, żeby przewietrzyła pokoje i zostawiła klucz

pod słomianką. Czy przypuszczasz, że Durginowa zachowała tę wiadomość dla siebie? Ja wątpię. Połowa miasta już wie, że wracamy dzisiaj i napewno kilkadziesiąt osób „przypadkowo" znajdzie się na stacji. Znam dobrze tych ludzi! Będą ciekawi, jak wygląda zubożała Polly Harrington. Oni...

— Ach, ciociu, ciociu — prosiła Pollyanna ze łzami w oczach.

— Gdybym nie była taka samotna, gdyby Tomasz był tutaj... — urwała nagle i odwróciła głowę. Usta jej drżały konwulsyjnie. — Gdzież jest ten welon? — wybąkała niepewnym głosem.

— Tak, kochana. Jest tutaj, już go mam, — uspokajała Pollyanna, której jedynym życzeniem było teraz jak najśpieszniejsze wręczenie welonu ciotce. — Jesteśmy już prawie na miejscu. Ach, ciociu, jakżebym chciała, żeby stary Tomasz, albo Tymoteusz wyszli po nas na stację!

— I żebyśmy pojechały do domu z takimi minami, jakbyśmy istotnie mogły sobie pozwolić na konie i powozy? A czyż nie zdajemy sobie sprawy, że to wszystko będziemy musiały już jutro sprzedać? Nie, dziękuję ci, Pollyanno. Już wolę w takich warunkach pojechać do domu zwykłą dorożką.

— Ja wiem, ale... — pociąg zakołysał się i przystanął, a Pollyanna zakończyła rozpoczęte zdanie głębokim westchnieniem.

Gdy obydwie niewiasty wyszły na peron, pani Chilton w swym czarnym welonie opuszczonym na twarz, nie oglądała się nawet poza siebie. Pollyanna jednak kiwała głową i uśmiechała się do ludzi, idąc

tuż za ciotką. Nagle ujrzała przed sobą jakąś dziwnie znajomą twarz.

— Czy to przypadkiem nie Jimmy! — zawołała radośnie, wyciągając swobodnie rękę. — Właściwie powinnam powiedzieć „pan Pendleton", — poprawiła się z czarującym uśmiechem na bladej twarzyczce. — Teraz, kiedy tak urosłeś i zmężniałeś..

— Radzę ci lepiej nie próbować, — zaśmiał się młodzieniec figlarnym śmiechem dawnego małego Jimmy. Zwrócił się potem do pani Chilton, ona jednak, nie spojrzała nań nawet, przyśpieszając uparcie kroku.

Powrócił więc do Pollyanny, patrząc na nią zatroskanym i pełnym współczucia wzrokiem.

— Możebyście zechciały pójść tędy, — zaproponował. — Bo tam czeka Tymoteusz z powozem.

— Ach, jak ładnie z jego strony, — zawołała Pollyanna, spoglądając jednocześnie z odrobiną niepokoju, na zawoalowaną twarz ciotki. Delikatnie dotknęła jej ramienia. — Ciociu droga, Tymoteusz jest na stacji. Przyjechał powozem. Podobno czeka z tej strony. A to jest Jimmy Bean, ciociu. Pamiętasz chyba Jimmy Beana!

W swym zdenerwowaniu i zażenowaniu Pollyanna nie zwróciła nawet uwagi, że przedstawiła ciotce młodzieńca, wypowiadając jego dawne chłopięce nazwisko. Pani Chilton jednak też widocznie tego nie zauważyła. Z wyraźną niechęcią odwróciła się i podniosła w górę głowę.

— Pan Pendleton jest bardzo miły, ale mi przykro, że zarówno on, jak i Tymoteusz zadawali sobie tyle trudu, — rzekła chłodno.

— Żaden trud, żaden trud, zapewniam panią, — zaśmiał się młodzieniec, usiłując ukryć zażenowanie. — Jeżeli panie dadzą mi teraz kwity, zajmę się chętnie ich bagażem.

— Dziękujemy, — wyszeptała pani Chilton, — ale my same możemy...

Pollyanna jednak z radosnym „dziękuję“ wręczyła już kwity towarzyszowi, zaś pani Chilton, posiadająca dużo wrodzonego taktu, więcej nie oponowała.

Przez całą drogę do domu wszyscy milczeli. Tymoteusz, dotknięty chłodnym powitaniem swej dawnej chlebodawczyni, siedział na koźle sztywny i poważny, z zaciętymi ustami. Pani Chilton, szepnąwszy zmęczonym głosem „Dobrze, dobrze, moje dziecko, jak sobie życzysz. Możemy tym powozem pojechać do domu!“ — zapadła w przykre i ponure milczenie. Tylko Pollyanna nie była ani poważna, ani zatroskana. Gorączkowym, załzawionym spojrzeniem witała ukochany krajobraz w miarę, jak oddalali się od stacji. Tylko raz jeden ośmieliła się przemówić:

— Czyż Jimmy nie jest nadzwyczajny? A jak zmężniał! I czyż nie ma cudownych oczu i uśmiechu?

Zamilkła na chwilę, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zadowolniła się własnym pełnym wiary: — Tak, oczy ma wspaniałe.

Tymoteusz był zbyt zalękniony, aby uprzedzić panią Chilton o tym, co ją czeka w domu, to też szeroko otwarte okna, pokoje udekorowane kwiatami i Nancy stojąca na ganku, wszystko to było

prawdziwą niespodzianką dla pani Chilton i Pollyanny.

— Nancy, jakaś ty miła! — zawołała Pollyanna, wyskakując lekko z powozu. — Ciociu, przyszła Nancy, żeby nas powitać. I zobacz, jak tu pięknie wszystko wygląda!

Głos Pollyanny był radosny, lecz wyraźnie załamywał się w drżeniu. Ten powrót do domu bez ukochanego wuja, do którego była tak szczerze przywiązana, stanowił dla niej dość ciężkie przeżycie, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, jak przykro w tej chwili musiało być ciotce. Wiedziała, że ciotka lękała się najbardziej okazania swej słabości przed Nancy, a przecież pod osłoną ciężkiego czarnego welonu oczy jej błyszczały łzami i usta drżały. Wiedziała również, że pani Chilton, pragnąc ukryć swe wzruszenie, skorzysta z pierwszej lepszej okazji, by wyładować swój gniew na kimkolwiek. To też Pollyanna nie zdziwiła się zupełnie, gdy po kilku słowach chłodnego przywitania, ciotka zwróciła się do Nancy ostro:

— Oczywiście, bardzo ładnie z twojej strony, Nancy, ale wolałabym, żebyś tego wszystkiego nie robiła.

Dotychczasowa radość zniknęła z twarzy wiernej służącej. Słowami tymi była najwyraźniej dotknięta i przerażona.

— Ach, ale panno Polly, chciałam powiedzieć, pani Chilton, — wybąkała, — myślałam, że przecież...

— Tak, tak, mniejsza o to, Nancy, — przerwała jej pani Chilton. — Już lepiej nie mówmy o tym.— I z głową dumnie wzniesioną do góry wyszła z po-

koju. W chwilę po tym słychać było jak zatrzasnęła ze złością drzwi swojej sypialni na górze.

Nancy obejrzała się zmartwiona.

— Ach, panno Pollyanno, co to było? Co ja takiego zrobiłam? Myślałam, że będzie zadowolona. Chciałam przecież jak najlepiej!

— Oczywiście że chciałaś, — wyszeptała z płaczem Pollyanna, szukając w torebce chustki do nosa. — I bardzo ładnie z twojej strony, ja się strasznie ucieszyłam.

— Ale ona nie jest zadowolona.

— Owszem, jest, tylko nie chce tego okazać. Bała się, że będzie musiała okazać i inne swoje uczucia. Ach, Nancy, Nancy, taka jestem zadowolona, że mogę się wypłakać! — i Pollyanna poczęła szlochać z twarzą ukrytą na ramieniu Nancy.

— Cicho, cicho kochanie, — uspakajała ją wierna służąca, gładząc po głowie, a drugą ręką wycierając własne łzy brzegiem fartucha.

— Widzisz, mnie nie wolno płakać przy niej, — szeptała Pollyanna, — a tak ciężko było tu po raz pierwszy przyjechać. Rozumiem, jak ona się teraz czuć musi.

— Oczywiście, oczywiście, biedactwo, — biadała Nancy. — I pomyśleć, że zaraz na wstępie musiałam ją rozgniewać...

— Ach, ależ ona nie była wcale rozgniewana. — sprostowała Pollyanna drżącym głosem. — To tylko taki jej sposób, Nancy. Widzisz, ona nie lubi okazywać, jak strasznie rozpacza po.. po doktorze. A nie chce tej swojej rozpaczy pokazywać ludziom, więc udaje, że jest zagniewana. W stosunku do

mnie też często postępuje tak samo, to też orientuję się pod tym względem doskonale, rozumiesz?

— O, tak, tak, rozumiem. — Nancy zacięła z surowością wargi i jeszcze czulej pogładziła Pollyannę po głowie. — Biedne dziecko! Cieszę się, że przyszłam tutaj, chociażby ze względu na ciebie.

— Ja też się bardzo cieszę, — odetchnęła głębiej Pollyanna, uwalniając się z uścisku Nancy i osuszając łzy chusteczką. — Teraz czuję się lepiej. Dziękuję ci serdecznie za wszystko i przepraszam za chwilę słabości. Ale już najwyższa pora, żebyś wracała do domu.

— Hm, myślę, że jednak zostanę tutaj na pewien czas, — mruknęła Nancy.

— Zostaniesz? Jakto Nancy, przecież ty masz męża. Czyż nie jesteś żoną Tymoteusza?

— Naturalnie! Ale jeżeli o was idzie, to on nie będzie miał nic przeciwko temu. Nawet sam będzie chciał, żebym została tutaj.

— Ale my nie możemy na to się zgodzić, — rozumowała Pollyanna. — Nie możemy mieć teraz nikogo, wiesz chyba o tym. Mam zamiar sama wszystko robić. Dopóki sytuacja nie wyklaruje się, musimy żyć bardzo oszczędnie, tak przynajmniej mówi ciotka Polly.

— Tak jak ja bym chciała brać pieniądze od... — zaczęła Nancy wyraźnie dotknięta, lecz widząc wyraz twarzy Pollyanny, umilkła i wybiegła śpiesznie z pokoju, aby zajrzeć do kurczaków rumieniących się w piecu.

Dopiero po kolacji i uporządkowaniu wszystkiego, pani Tymoteuszowa Durgin zdecydowała się odjechać wraz ze swym mężem. Odjeżdżała jednak

z wyraźną niechęcią, prosząc ciotkę Polly i Pollyannę, aby jej wolno było odwiedzić je kiedyś i „pomóc trochę przy kuchni".

Po wyjeździe Nancy Pollyanna weszła do bawialni, w której siedziała pani Chilton z oczami przysłoniętymi dłonią.

— Ciociu, czy mogę światło zapalić? — zapytała swobodnie.

— Ach, sądzę, że tak.

— Czyż, Nancy nie jest kochana, że nam wszystko tak ślicznie urządziła?

Nie było odpowiedzi.

— Gdzież ona znalazła tyle pięknych kwiatów? Ustawiła je we wszystkich pokojach, nawet w obydwóch pokojach sypialnych.

Znowu nie było odpowiedzi.

Pollyanna westchnęła głęboko, i zaniepokojona spojrzała na zatroskaną twarz ciotki. Po chwili zagadnęła znowu, siląc się na wesołość:

— Widziałam starego Tomasza w ogrodzie. Strasznie jest biedny, bo reumatyzm dokucza mu coraz bardziej. Pochylił się prawie do ziemi. Zapytywał szczególnie o ciebie i...

Pani Chilton przerwała jej nagle ostro:

— Co my będziemy robiły, Pollyanno?

— Co będziemy robiły? Oczywiście wszystko, co będzie w naszej mocy.

Pani Chilton uczyniła ruch zniecierpliwienia.

— Ach, ach, Pollyanno, mogłabyś już być raz wreszcie poważna. Sama się orientujesz, że to nie są żarty. Pytam się, co będziemy robiły? Jak ci wiadomo, dochody moje prawie zupełnie się urwały. Oczywiście niektóre rzeczy przedstawiają jesz-

cze jakąś wartość, ale pan Hart twierdzi, że niewiele będzie można w danej chwili spieniężyć. Mamy coś nie coś w banku i oczywiście jest z tego jakiś mały dochód. A poza tym mamy ten dom. Ale jaki pożytek jest z domu? Nie można go przecież jeść, ani się w niego ubrać. Zresztą, jest on teraz za duży dla nas w obecnych warunkach, a sprzedać go za połowę wartości nie możemy, tym bardziej, że nie tak łatwo znaleźć nabywcę.

— Sprzedać! Ach, ciociu, przecież nie sprzedamy naszego domu i tylu pięknych rzeczy!

— Ja bym go chętnie sprzedała, Pollyanno. Niestety, musimy przecież jeść.

— Wiem o tym, bo jeżeli o mnie chodzi, to zawsze jestem głodna, — uśmiechnęła się ze smutkiem Pollyanna. — Właściwie powinnam być zadowolona, że mam taki dobry apetyt.

— Bardzo to do ciebie podobne. We wszystkim potrafisz znaleźć coś, z czego możesz być zadowolona. Ale co my będziemy robić, dziecko? Chciałabym, żebyś choć na chwilę zastanowiła się poważnie.

Twarzyczka Pollyanny uległa natychmiastowej zmianie.

— Już jestem poważna, ciociu Polly. Zaczynam się zastanawiać. Strasznie bym chciała móc zarabiać pieniądze.

— Ach, dziecko, dziecko, nie sądziłam, że kiedyś w życiu coś takiego od ciebie usłyszę! — jęknęła pani Chilton. — Córka Harringtonów zarabiająca na chleb powszedni!

— Nie można z tego punktu widzenia patrzeć na to, — zaśmiała się Pollyanna. — Powinnaś być za-

dowolona, że córka Harringtonów jest o tyle zdolna, że mogłaby na chleb zarabiać! To nie jest żadna hańba, ciociu Polly.

— Możliwe, że nie, ale niezbyt przyjemna perspektywa, gdy się pomyśli, jakie stanowisko kiedyś zajmowaliśmy w Beldingsville.

Pollyanna zdawała się tych słów nie słyszeć. Spojrzenie jej utkwione było w dalekiej przestrzeni.

— Żebym tylko miała jakieś zdolności! Żebym potrafiła robić cośkolwiek lepiej, niż wszyscy ludzie na świecie, — westchnęła po chwili. — Umiem trochę śpiewać, trochę grać, trochę haftować i trochę cerować, ale nic nie potrafię tak dobrze, aby mi ludzie mogli za to zapłacić.

— Myślę, że najlepiej potrafiłabym gotować, — zdecydowała po chwili milczenia, — i prowadzić gospodarstwo domowe. Strasznie lubiłam te zimy w Niemczech, kiedy Greta czasami nie przychodziła, a była nam bardzo potrzebna. Ale w kuchni u obcych ludzi nie miałabym ochoty pracować.

— Ja bym ci na to nigdy nie pozwoliła, Pollyanno! — zawołała z drżeniem pani Chilton.

— A zajmowanie się naszą kuchnią nie da przecież żadnych zysków, — martwiła się Pollyanna, — nie będzie mi za to nikt płacił, a nam pieniądze są potrzebne.

— Bardzo potrzebne, — westchnęła ciotka Polly.

Zaległa długa cisza, którą przerwała wreszcie Pollyanna.

— I pomyśleć, że po tym wszystkim, coś ty dla mnie uczyniła ciociu, i pomyśleć, że teraz, gdybym tylko mogła, miałabym taką wspaniałą okazję

przyjść ci z pomocą! A jednak nie mogę tego uczynić. Ach, dlaczego nie urodziłam się z czymś, co jest warte dużo pieniędzy?

— Daj spokój, dziecko! Gdyby żył doktór... — słowa zamarły w śmiertelnej ciszy.

Pollyanna podniosła głowę i zerwała się z krzesła.

— Ciociu, ciociu, przecież to nigdy nie wróci! zawołała zupełnie zmienionym głosem. — Nie martw się, ciociu. Co byś powiedziała na to, gdyby nagle pewnego dnia rozwinął się we mnie wielki talent? Zresztą uważam, że to wszystko jest naprawdę ciekawe, bo tyle w tym jest niepewności. Szalenie lubię pragnąć czegoś i obserwować, jak to coś się zbliża. Gdy człowiek żyje, mając tę pewność, że może mieć wszystko czego pragnie, to wówczas życie nie jest wcale ciekawe. — zakończyła, śmiejąc się wesoło.

Pani Chilton nie śmiała się. Westchnęła tylko, mówiąc:

— Mój Boże, Pollyanno, jakie z ciebie jeszcze dziecko!

ROZDZIAŁ XVIII.

Nowa Pollyanna.

Pierwsze dni pobytu w Beldingsville nie były łatwe ani dla pani Chilton, ani dla Pollyanny. Należało przyzwyczaić się do nowych warunków, a okres takiego przyzwyczajania na ogół nie jest przyjemny.

Po podróżach i ciekawych wrażeniach nie łatwo było nagiąć umysł do drobiazgowego zastanawiania się nad ceną masła, lub do targowania się z rzeźnikiem. Po długim okresie całego mnóstwa wolnego czasu, trudno było teraz nagiąć się i przyzwyczaić do tego, aby każda robota była na czas gotowa. Przyjaciele i sąsiedzi składali częste wizyty i chociaż Pollyanna witała ich wszystkich z szczerą radością, pani Chilton nie pokazywała się prawie nikomu pod pierwszym lepszym pretekstem. Zazwyczaj po takich wizytach mówiła z goryczą do Pollyanny:

— Ciekawi są zobaczyć, jak znosi Polly Harrington swoją biedę.

O doktorze pani Chilton rzadko mówiła, Pollyanna jednak wiedziała dobrze, że ani na chwilę nie przestawała o nim myśleć.

Jimmy Pendletona widziała Pollyanna kilka razy w ciągu pierwszego miesiąca. Najprzód przyszedł z panem Johnem Pendletonem z ceremonialną i nieco sztywną wizytą, lecz właściwie zupełnie sztywni nie byli, dopóki ciotka Polly nie weszła do pokoju. Nie wiadomo dlaczego ciotka Polly tym razem nie unikała gości. Później Jimmy przychodził już sam, raz z kwiatami, raz z książką dla ciotki Polly, a dwa razy — bez żadnego specjalnego interesu. Pollyanna za każdym razem witała go ze szczerą radością, zaś ciotka Polly po pierwszej oficjalnej wizycie wogóle nie pokazywała się więcej młodemu Pendletonowi.

Na ogół przyjaciołom i znajomym Pollyanna nie wspominała prawie wcale o przykrej zmianie warunków ich życia, z młodym Pendletonem jednak

mówiła całkiem otwarcie i przy każdej niemal rozmowie wzdychała głęboko, przejęta jednym i tym samym pragnieniem:

— Żebym tylko mogła coś robić, co by mi dawało trochę pieniędzy.

— Zamierzam zostać najemną pracownicą, — śmiała się wesoło. — Doszłam już do tego, że obliczam wszystko na dolary, a jeżeli myślę, to jedynie o centach. Widzisz, ciotka Polly czuje się taka biedna!

— Ależ to wstyd! — oburzył się Jimmy.

— Wiem o tym. Jeżeli mam być szczera, to sądzę, że ona raczej w tym wypadku przesadza. Chciałabym jej jednak bardzo pomóc.

Jimmy patrzył na jej poważną, rozgorączkowaną twarzyczkę i błyszczące podnieceniem oczy z prawdziwym wzruszeniem.

— A co byś chciała robić, gdybyś mogła? — zapytał.

— O, chciałabym gotować i prowadzić gospodarstwo domowe, — uśmiechnęła się Pollyanna, wzdychając. — Bardzo lubię trzeć żółtka z cukrem i słuchać, jak soda syczy w filiżance kwaśnego mleka. Jestem najbardziej szczęśliwa, gdy muszę piec ciasto. Ale za to nie można otrzymywać pieniędzy, chyba żeby się pracowało u kogoś. A ja... ja się jakoś na to zdobyć nie mogę!

— Oczywiście że nie! — zawołał młodzieniec.

Znowu spojrzał na tę wyrazistą twarzyczkę, którą miał tuż przy sobie. Tym razem dziwny uśmiech rozchylił jego usta. Zagryzł wargi, poczem rzekł z lekkim rumieńcem na twarzy:

— Ale ty byś mogła wyjść za mąż. Czy myślałaś o tym, panno Pollyanno?

Pollyanna wybuchnęła wesołym śmiechem. Jej głos i zachowanie były najlepszym dowodem, że należała do tych dziewcząt, których serca nie dosięgła jeszcze strzała Amora.

— O, nie, ja nigdy za mąż nie wyjdę, — zawołała wesoło. — Przede wszystkim wiesz, że nie jestem ładna, a po drugie mam zamiar pozostać z ciotką Polly, żeby się nią opiekować.

— Nie jesteś ładna, co? — uśmiechnął się Pendleton zdziwiony. — A czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że na ten temat mogą być podzielone zdania?

Pollyanna potrząsnęła przecząco głową.

— Bardzo możliwe, ale ja mam lusterko, w którym widzę, — zaoponowała, patrząc nań uśmiechnięta.

Brzmiało to, jak kokieteria. U każdej innej dziewczyny byłaby to kokieteria z pewnością, pomyślał Pendleton. Lecz patrząc teraz na twarzyczkę Pollyanny, Jimmy był pewny, że nie miała ona nic wspólnego z kokieterią. I nagle uświadomił sobie, dlaczego Pollyanna nie była podobna do tych wszystkich dziewcząt, które znał. Coś z dawnej jej pogody pozostało jeszcze dotychczas i jakby na zawsze do niej przywarło.

— Dlaczego nie jesteś ładna? — zapytał.

Zadając to pytanie i orientując się, jaką otrzyma odpowiedź, wstrzymał oddech w niecierpliwym oczekiwaniu. Zdawał sobie sprawę z tego, z jaką radością każda inna dziewczyna przyjęłaby taki komplement. Lecz pierwsze już przez Pollyannę

wypowiedziane słowa przekonały go, że chwilowe jego obawy były absolutnie bezpodstawne.

— Po prostu dla tego, że nie, — zaśmiała się z odrobiną smutku w głosie. — Taką mnie już Pan Bóg stworzył. Nie wiem czy pamiętasz, ale dawno temu, gdy byłam jeszcze mała, wydawało mi się zawsze, że największym szczęściem byłoby, gdyby mnie natura obdarzyła czarnymi lokami.

— A teraz już o tych lokach nie marzysz?

— Nie, zdaje się, że nie, — zawahała się na chwilę. — Chociaż nie powiem, żeby takie loki nie były ładne. Poza tym nie mam wystarczająco długich rzęs i nie mam greckiego, ani rzymskiego nosa, jakie mają te kobiety, które posiadają pewien określony typ urody. Mam sobie taki zwykły nos, a ponad to mam twarz za długą, czy też za krótką, już dokładnie nie pamiętam jaką, lecz kiedyś mierzyłam ją według wskazówek artykułu o „Prawdziwym pięknie" i okazało się, że nie jest prawidłowa. W artykule tym było, że szerokość twarzy powinna się równać szerokości pięciu oczu, a szerokość każdego oka też powinna czemuś odpowiadać. Już dokładnie tego wszystkiego nie pamiętam, wiem tylko, że nie mam prawidłowej twarzy.

— Jakaż to przykra sytuacja! — zaśmiał się Pendleton, a obserwując z zachwytem twarz dziewczyny, zapytał nieoczekiwanie: — Czy patrzyłaś kiedyś w lustro, jak mówisz, Pollyanno?

— Naturalnie, że nie, a dlaczego?

— To radziłbym ci spróbować.

— Cóż za wspaniały pomysł! Wyobraź sobie, że już to robię, — zaśmiała się. — — Co mam naprzy-

kład mówić? Mam może powiedzieć: „Chociaż masz za krótkie rzęsy i niezgrabny nos, Pollyanno, ciesz się, że wogóle Pan Bóg dał ci jakiś nos i jakieś rzęsy!"

Pendleton śmiał się teraz razem z nią, lecz dziwny grymas pojawił się na jego twarzy.

— Więc ty jeszcze ciągle grasz w tę grę, — zauważył nieufnie.

Pollyanna zwróciła nań spojrzenie pełne zdziwienia.

— Jakto, naturalnie! Wątpię, czy potrafiłabym żyć w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, gdybym nie znała tej cudownej gry. — Głos jej w tej chwili zadrżał nieco.

— A wcale o niej nie wspominałaś, — dorzucił.

Zarumieniła się.

— Tak. Lękam się teraz mówić zbyt dużo ludziom obcym, których to nic nie obchodzi. Teraz, kiedy mam lat dwadzieścia, nie mogę się tak zachowywać, jak wówczas, gdy miałam lat dziesięć. Zdaję sobie dokładnie z tego sprawę. Ludzie nie lubią cudzych zmartwień, wiesz o tym, — zakończyła z wyrozumiałym uśmiechem.

— Wiem, — skinął głową młodzieniec. — Ale czasami zastanawiam się, Pollyanno, czy ty sama orientujesz się, czem jest ta gra i ile dobrego uczyniła ona niektórym ludziom.

— Wiem, ile dobrego mnie przyniosła, — powiedziała to przyciszonym głosem, unikając jego wzroku.

— Widzisz, da ci ona wiele dobrego, jak będziesz nadal w nią grała, — oznajmił głośno po chwili milczenia. — Ktoś kiedyś mądrze powiedział, że gra

ta wywoła rewolucję na całym świecie, jeżeli wszyscy zaczną w nią grać. Ja osobiście święcie w to wierzę.

— Tak, ale istnieją ludzie, którzy wcale nie pragną takiej rewolucji, — uśmiechnęła się Pollyanna. — Sama nawet spotkałam takiego człowieka w zeszłym roku w Niemczech. Stracił wszystkie pieniądze i był ogromnie przygnębiony. Boże, jakiż on był ponury! Ktoś w mojej obecności chciał go pocieszyć, mówiąc: „Nie trzeba się martwić, mogło być jeszcze gorzej!“ Boże, powinieneś był zobaczyć jego wściekłość! „Jeżeli istnieje coś na świecie, co mnie może doprowadzić do pasji“, zawołał, „to tylko to, jeżeli ktoś mnie chce przekonać, że mogło być jeszcze gorzej i że powinienem być wdzięczny za to, co mam. Ludzie, którzy obnoszą po świecie wieczny uśmiech, zazwyczaj wdzięczni są Bogu za to, że mogą jeść, chodzić i leżeć, ja jednak tego nie uznaję. Nie chcę oddychać, jeść, chodzić, czy leżeć, jeżeli mam się znajdować w takiej sytuacji jak dzisiaj. A jak mi ktoś mówi, że powinienem się cieszyć z tego, co mam, wpadam w taką złość, że gotów jestem zamordować kogoś!“. Wyobraź sobie, co by mnie odpowiedział, gdybym mu zaproponowała moją grę! — śmiała się Pollyanna

— Mniejsza o to. Ta gra mu właśnie była potrzebna, — odparł Jimmy.

— Oczywiście, że tak, ale na pewno nie podziękowałby mi za nią.

— Przypuszczam, że nie. Jednakże z tą grą łatwiej byłoby żyć zarówno jemu samemu, jak i jego przyjaciołom.

Pollyanna uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Przypomniałam sobie teraz, co powiedziałam kiedyś pewnej biednej staruszce. Należała ona do mojego Towarzystwa Pań Dobroczynnych i zawsze we wszystkim widziała coś złego. Miałam wtedy najwyżej dziesięć lat i starałam się uczyć ją mojej gry. Pamiętam, że nie powiodło mi się w tym wypadku i prawdopodobnie zorientowałam się w tym wreszcie, bo raz powiedziałam jej z triumfem: „W każdym razie powinna się pani cieszyć, że ma pani tyle rzeczy smutnych, bo przecież pani lubi być smutna!"

— Nie wiem, czy jej to dobrze zrobiło, — wzruszył ramionami Jimmy.

Pollyanna uniosła brwi ku górze.

— Lękam się, że mniej więcej tak samo patrzyła na życie, jak ów jegomość w Niemczech.

— Ale trzeba im było powiedzieć, ty powinnaś im była powiedzieć... — Pendleton urwał nagle z dziwnym wyrazem twarzy, który nie uszedł uwagi Pollyanny.

— Co się stało, Jimmy?

— Ach, nic. Myślałem tylko, — odpowiedział, gryząc wargi, — że ja tu teraz namawiam cię do tego, czego się najbardziej lękałem, nim spotkaliśmy się. To znaczy, lękałem się, nim cię zobaczyłem, że... że... — znowu zamilkł z rumieńcem na twarzy.

— Dobrze, Jimmy Pendleton, — oburzyła się dziewczyna, — nie myśl że ci pozwolę teraz milczeć. Musisz mi wytłumaczyć, co miałeś na myśli.

— Nic, naprawdę nic ważnego.

— Czekam, mów, — rozkazała Pollyanna. Głos

jej był zimny i oficjalny, chociaż w oczach drgały figlarne iskierki.

Młodzieniec zawahał się, spojrzawszy jednak na jej uśmiechniętą twarzyczkę, skapitulował.

— Ach, dobrze, niech będzie tak jak sobie życzysz, — wzruszył ramionami. — Idzie tylko o to, że martwiłem się trochę o tę grę, bo lękałem się, że będziesz mówiła tak, jak zwykłaś mówić dawniej... — przerwał mu jej głośny wybuch śmiechu.

— A widzisz, ci co powiedziałam? Okazuje się, że nawet ty się martwiłeś, że mając lat dwadzieścia będę taka sama, jak wówczas gdy miałam lat dziesięć!

— Nie, nie o to mi chodziło, Pollyanno, naprawdę, myślałem tylko, oczywiście wiedziałem... — Pollyanna jednak zatkała palcami uszy i wybuchnęła jeszcze głośniejszym i weselszym śmiechem

ROZDZIAŁ XIX.

Dwa listy.

Była druga połowa czerwca, gdy Pollyanna otrzymała list od Delli Wetherby.

„Piszę, aby cię prosić o przysługę“, zawiadamiała ją panna Wetherby. „Mam nadzieję, że będziesz mi mogła polecić jakiś spokojny prywatny dom w Beldingsville, który by przyjął do siebie na lato moją siostrę. Właściwie będzie ich troje, siostra moja, sekretarka jej i przybrany syn, Jamie. Pamiętasz Jamie, nieprawdaż? Za żadne skar-

by nie chcą jechać do zwykłego hotelu, czy pensjonatu. Siostra moja jest bardzo zmęczona i doktór zalecił jej wyjazd na wieś dla zupełnego wypoczynku i zmiany wrażeń. Zaproponował Vermont, albo New Hampshire. Odrazu pomyśleliśmy o Beldingsville i o tobie. Jeżeli możliwe, chcielibyśmy wyjechać już w pierwszych dniach lipca. Może nas zechcesz zawiadomić, jak tylko znajdziesz coś odpowiedniego. List wyślij na mój adres, gdyż siostra moja przebywa u nas w lecznicy, na kilkutygodniowej kuracji.

„Oczekuję pomyślnej odpowiedzi,

zawsze życzliwa

Della Wetherby".

Przez pierwszych kilka minut po otrzymaniu listu Pollyanna siedziała ze zmarszczonymi brwiami, szukając w pamięci jakiegoś domu w Beldingsville, który mógłby zastąpić przyzwoity pensjonat jej dawnym przyjaciołom. Po tym nagle olśniła ją jakaś myśl i z krzykiem radości pobiegła do ciotki, siedzącej w jadalni.

— Ciociu, ciociu, — wołała, — wpadłam na najcudowniejszy pomysł. Mówiłam ci, że zdarzy się coś takiego, dzięki czemu będę mogła rozwinąć swój ukryty talent. I zdarzyło się! Miałam słuszność. Otrzymałam list od panny Wetherby, siostry pani Carew, wiesz, u której byłam wtedy zimą w Bostonie. Otóż oni pragną przyjechać na wieś na resztę lata i panna Wetherby prosi, żebym się dowiedziała o locum dla nich. Nie chcą mieszkać ani w hotelu, ani w żadnym pensjonacie, tylko w przy-

zwoitym domu prywatnym. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co mam robić, ale teraz już wiem. Już wiem, ciociu Polly! Zgadnij, co zamierzam!

— Boże święty, dziecko — jęknęła pani Chilton,— jakaś ty nieopanowana! Nigdy chyba nie staniesz się dojrzałą kobietą. O czym ty właściwie mówisz?

— O mieszkaniu dla pani Carew i Jamie. Już je właśnie znalazłam, — szczebiotała Pollyanna.

— Istotnie? Więc cóż z tego? Co to mnie może obchodzić, moje dziecko? — mruknęła niechętnie opiekunka.

— Bo to mieszkanie jest właśnie tutaj. Mam zamiar wziąć ich do siebie, ciociu.

— Pollyanno! — Pani Chilton ze zgorszenia podskoczyła na krześle.

— Tylko proszę cię, ciociu, nie mów „nie", bardzo cię proszę, — szeptała gorączkowo Pollyanna.— Czyż nie pojmujesz? To jest jedyna okazja, okazja, na którą tak długo czekałam, a teraz sama mi wpadła w ręce. Urządzimy to cudownie. Mamy mnóstwo miejsca w domu, a wiesz, że gotować i prowadzić dom potrafię. Będziemy miały za to pieniądze, bo oni przecież zapłacą, a jestem pewna, że przyjadą z największą ochotą. Będzie ich troje, bo jest z nimi sekretarka.

— Ależ Pollyanno, ja nie mogę! Zamienić ten dom na pensjonat? Dwór Harringtonów ma być zwykłym pensjonatem dla letników? Nie, Pollyanno, to niemożliwe!

— Ależ to nie będzie taki zwykły pensjonat, droga ciociu. Będzie to tylko taki czasowy. Zresztą, oni są naszymi przyjaciółmi. Niech nam się zdaje, że przyjechali do nas w gościnę. Tylko że to będą

płatni goście, więc jednocześnie zarobimy pieniądze, które nam są tak bardzo potrzebne, — Pollyanna podkreśliła wymownie ostatnie słowo.

Skurcz zranionej dumy przemknął po twarzy pani Chilton. Z głębokim westchnieniem opadła z powrotem na fotel.

— Ale jak ty to zrobisz? — zapytała wreszcie słabym głosem. — Przecież sama nie możesz wykonywać takiej pracy, dziecko?

— Ach, nie, oczywiście, że nie, — uśmiechnęła się Pollyanna. Stała znowu na mocnym gruncie i była pewna wygranej. — Ale mogę gotować i doglądać wszystkiego, a którąś z młodszych sióstr Nancy mogłabym wziąć do pomocy. Stara pani Durgin będzie tak samo prała, jak dotychczas.

— Ale, Pollyanno, ja jestem słaba, wiesz o tym. Niewiele ci pomogę.

— Naturalnie że nie. Nie ma powodu, żebyś ty pracowała, — oburzyła się Pollyanna. — Ach, ciociu, czy to nie będzie wspaniałe? Zbyt dobre, aby mogło być prawdziwe, pieniądze po prostu same wpadają mi w ręce!

— Wpadają ci w ręce, istotnie! Musisz się jeszcze wielu rzeczy nauczyć w życiu, Pollyanno, a najważniejszą z nich jest ta, że letnicy nie rzucają w niczyje ręce pieniędzy, nie otrzymując nic w zamian uprzednio. Będziesz musiała przygotowywać, dźwigać, piec i smażyć do upadłego i będziesz po prostu omdlewała, aby tylko gości odpowiednio obsłużyć, aby im dostarczyć świeżych jajek i mleka i wtedy dopiero uwierzysz w to, co ci teraz mówię.

— Dobrze, będę pamiętała, zaśmiała się dziew-

czyna. — Ale teraz nie mam się czego martwić. Muszę natychmiast odpisać pannie Wetherby, żeby dać list Jimmy Beanowi jak przyjdzie po południu.

Pani Chilton poruszyła się niespokojnie.

— Pollyanno, chciałabym, żebyś wreszcie nazywała tego młodego człowieka jego prawdziwym nazwiskiem. To „Bean“ przyprawia mnie kompletnie o dreszcze. Jego obecne nazwisko jest „Pendleton“, o ile się nie mylę.

— Istotnie, — przyznała Pollyanna, — ale ja ciągle zapominam. Nawet wówczas gdy jest, nazywam go tak samo, a to jest istotnie niesprawiedliwe, skoro został całkiem legalnie zaadoptowany. Ale ja jestem roztrzepana, — dorzuciła, wybiegając tanecznym krokiem z pokoju.

Miała już list gotowy, gdy Jimmy zjawił się o czwartej. Drżała jeszcze z podniecenia, to też zaraz na wstępie zaczęła opowiadać gościowi o wszystkim.

— Zresztą nie mogę się już doczekać tej chwili, kiedy ich zobaczę, — zawołała, gdy przedłożyła mu swoje plany. — Nikogo z nich nie widziałam od tamtej zimy. Ty wiesz, mówiłam ci o Jamie?

— O, tak, mówiłaś. — W głosie młodzieńca brzmiała niechęć.

— I powiedz, czy nie wspaniale, że przyjeżdżają?

— Nie wiem, czy dla mnie to jest takie wspaniałe, — mruknął.

— Nie cieszysz się, że mam okazję pomagania ciotce Polly chociaż przez pewien czas? Naprawdę, Jimmy, to jest nadzwyczajne!

— Ale mnie się zdaje, że to będzie trochę za tru-

dne dla ciebie, — argumentował Jimmy z cieniem lekkiej irytacji.

— Tak, oczywiście, do pewnego stopnia. Ale będę tak zadowolona z tych pieniędzy, że wcale nie myślę o tym. Widzisz, — westchnęła, — jaka ja jestem materialistka?

Przez dłuższą chwilę nie było odpowiedzi, po czym trochę obcesowo młodzieniec zapytał:

— Powiedz, ile lat ma teraz ten Jamie?

Pollyanna podniosła głowę z wesołym uśmiechem.

— Ach, przypominam sobie, że nigdy nie lubiłeś imienia „Jamie“, — spojrzała nań figlarnie. — Mniejsza o to, teraz jest on zaadoptowany legalnie i przypuszczam, że używa nazwiska Carew, więc będziesz go mógł tak nazywać.

— Ale to mi jeszcze nie mówi, ile on ma lat, — przypomniał jej Jimmy zimno.

— Przypuszczam, że nikt nie wie dokładnie. Bo widzisz, on sam nie umie powiedzieć, lecz sądzę, że jest mniej więcej w twoim wieku. Ciekawa jestem, jak on teraz wygląda. Pytałam właśnie o wszystko w tym liście.

— Ach, pytałaś! — Pendleton spojrzał na list trzymany w ręku i począł go obracać w palcach podejrzliwie. Przeszło mu teraz przez myśl, że chętnie by go podarł, wyrzucił, byle by tylko nie wysłać go na miejsce przeznaczenia.

Zdawał sobie dokładnie sprawę, że jest zazdrosny, że zawsze był zazdrosny o tego młodzieńca, noszącego to samo co on, a jednak całkiem inne imię. To nie znaczy, że jestem zakochany w Pollyannie, tłumaczył samemu sobie. Oczywiście, że zako-

chany nie był, po prostu nie miał ochoty, żeby ten obcy chłopak o babskim imieniu przyjeżdżał do Beldingsville, bo był pewien, że mu swą obecnością zepsuje humor. Miał tyle do powiedzenia Pollyannie, ale jakaś dziwna siła mroziła mu słowa na ustach. Po pewnym czasie wyszedł, zabierając ze sobą ów nieszczęsny list.

Że Jimmy nie zniszczył i nie podarł listu, okazało się już po kilku dniach, gdy Pollyanna otrzymała pełną radości odpowiedź od panny Wetherby i gdy Jimmy przyszedł następnym razem, musiał treści tego listu wysłuchać, a właściwie tylko niewielkiej jego części, bowiem Pollyanna poprzedziła czytanie słowami:

— Oczywiście pierwsza część listu jest tylko o tym, jak bardzo cieszą się, że mogą do nas przyjechać i tak dalej. Tego nie będę ci czytać. Ale dalszy ciąg z pewnością cię zainteresuje, bo znasz przecież wszystkich z mojego opowiadania. Zresztą już wkrótce poznasz ich osobiście. W tym wypadku bardzo liczę na ciebie, Jimmy, że pomożesz mi czas spędzony tutaj gościom uprzyjemnić.

— Ach, nawet liczysz na mnie!

— Nie bądź złośliwy tylko z tej przyczyny, że nie lubisz imienia Jamie, — zgromiła go Pollyanna z udaną powagą. — Polubisz go, jestem pewna, jak go bliżej poznasz, a panią Carew pokochasz z pewnością.

— Tak sądzisz? — mruknął Jimmy gniewnie. — Nie byle jaka perspektywa! Miejmy nadzieję, że jeżeli nawet tak będzie, dama ta wspaniałomyślnie potrafi mi się odwzajemnić.

— Oczywiście, — uśmiechnęła się Pollyanna. —

A teraz posłuchaj, to ci przeczytam o niej. List ten jest od jej siostry, Delli — panny Wetherby, wiesz, od tej z lecznicy.

— Doskonale. Czytaj! — rozkazał Jimmy, z prostej grzeczności udając zainteresowanie. Uśmiechając się ciągle jeszcze, Pollyanna zaczęła czytać:

„Prosisz mnie, abym Ci napisała o wszystkich. Trudne to będzie zadanie, lecz uczynię to możliwie najzręczniej. Przede wszystkim zauważysz wielką zmianę w mojej siostrze. Nowe zainteresowanie, jakie znalazła sześć lat temu, sprawiło kompletny cud. Ostatnio wprawdzie zeszczuplała i jest zmęczona z przepracowania, lecz dłuższy wypoczynek doskonale jej zrobi, a sama przekonasz się, jak młodo i ślicznie wygląda. Poza tym czuje się szczęśliwa. Zanotuj to sobie. Nie będzie to takie dziwne dla ciebie, jak jest dla mnie oczywiście, bo byłaś zbyt młoda podczas pobytu swego w Bostonie, aby zorientować się jak bardzo wówczas czuła się nieszczęśliwa. Życie było dla niej beznadziejną tragedią, teraz zaś jest jednym pasmem radości i zainteresowania.

„Przede wszystkim ma Jamie, i gdy ich zobaczysz razem, zdasz sobie sprawę, czym on jest dla niej. W zasadzie nie wiemy jeszcze absolutnie, czy jest on tym prawdziwym Jamie, czy też nie, lecz siostra moja kocha go, jak własnego syna i zaadoptowała go, co Ci jest prawdopodobnie wiadome.

„Poza tym ma przecież swoje dziewczęta.

Przypominasz sobie sklepową, Sadie Dean? Wiedziona pragnieniem dopomożenia jej, siostra moja czyniła wszelkie możliwe wysiłki, gromadząc przy sobie kilkadziesiąt dziewcząt, dla których jest prawdziwym aniołem opiekuńczym. Stworzyła nawet Dom dla Pracujących Dziewcząt według najnowocześniejszych wymagań techniki. Szczupłe grono bogatych i wpływowych ludzi współpracuje z nią razem oczywiście, lecz ona jest główną osią tego wszystkiego i nigdy ani na chwilę nie waha się, jeżeli nawet zmuszona jest do jakichkolwiek poświęceń. Pojmujesz chyba, ile na to potrzeba nerwów. Jej główną pomocnicą i prawą ręką jest jej obecna sekretarka, ta sama Sadie Dean. I w niej zauważysz wielkie zmiany, choć w gruncie rzeczy pozostała tą dawną Sadie.

„Co do Jamie, to największą tragedią jego życia jest to, że zdaje sobie doskonale sprawę, iż nigdy nie będzie mógł normalnie chodzić. Przez pewien czas mieliśmy wszyscy nadzieję. Przebywał nawet cały rok tutaj w lecznicy pod obserwacją dr. Amesa, który próbował wszelkich sposobów i wreszcie nauczył go chodzić o kulach. Ale biedny chłopak na zawsze zostanie kaleką, bo obydwie nogi, poważnie zaatakowane. Jednakże, gdy się zna Jamie bliżej, zapomina się zupełnie o jego kalectwie, ulegając urokowi jego bogatej duszy. Nie umiem Ci tego dokładnie wytłumaczyć, ale sama zrozumiesz, co mam na myśli, gdy go zobaczysz. Poza tym roz-

winął się nadzwyczajnie, zachowując swój chłopięcy entuzjazm i swoją dawną radość życia. Istnieje tylko jedna rzecz, która go dręczy i doprowadza często do rozpaczy, a mianowicie niepewność, czy jest owym Jamie Kentem, naszym siostrzeńcem. Tak długo marzył o tym i tak święcie w to wierzył, że jeżeli nawet okaże się kiedyś, że nie jest naszym Jamie, postaramy się, aby się o tym nie dowiedział".

— To jest wszystko, co mi panna Della pisze o nich, — oświadczyła Pollyanna, składając troskliwie gęsto zapisany arkusik papieru. — Ale czyż to jest nie ciekawe?

— Owszem, bardzo! — w głosie Jimmy brzmiała teraz szczerość, bo zdał sobie sprawę, jak wielki skarb posiadał, mając zdrowe nogi. Przez chwilę nawet zapragnął, aby ten biedny nieznany chory młodzieniec zaabsorbował choć częściowo myśli i uwagę Pollyanny, byle by oczywiście nie pochłonął jej za bardzo! — Mój Boże! Ciężko musi być temu biedakowi, nie ulega wątpliwości.

— Ciężko! Ty go jeszcze nie znasz, Jimmy Bean, — wyszeptała Pollyanna, — ale ja go znam dobrze i dobrze go rozumiem, bo przecież i ja kiedyś nie chodziłam, wiesz o tym!

— Tak, naturalnie, naturalnie — sposępniał młodzieniec, poprawiając się niespokojnie na krześle. Patrząc teraz na zasmuconą twarzyczkę i przygasłe oczy Pollyanny, Jimmy nie był już taki pewny czy powinien chcieć, żeby Jamie przyjechał do Beldingsville, jeżeli Pollyanna miała podczas jego pobytu stale tak wyglądać.

ROZDZIAŁ XX.

Goście.

Kilka następnych dni, poprzedzających przybycie „tych strasznych ludzi“, jak ciotka Polly nazywała gości swej siostrzenicy, obfitowało w nieludzką pracę, lecz jednocześnie były one pełne radosnego oczekiwania, tak przynajmniej twierdziła Pollyanna.

Przy pomocy Nancy i jej młodszej siostry, Betty, Pollyanna systematycznie chodziła z pokoju do pokoju, przygotowując wszystko dla wygody i przyjemności mających wkrótce przybyć pensjonariuszów. Pani Chilton nie brała w tych przygotowaniach prawie wcale udziału. Po pierwsze czuła się niezbyt dobrze, a po drugie nie pochwalała tego „szaleńczego pomysłu“ Pollyanny, który wyraźnie godził w godność i dumę dawnych tradycyj rodziny Harringtonów. Za każdym razem widząc przebiegającą przez pokój Pollyannę, pani Chilton, zgorszona, jęczała:

— Ach, Pollyanno, Pollyanno, i pomyśleć, że stare domostwo Harringtonów aż tak na psy zeszło!

— Nic strasznego, ciociu, — uśmiechnęła się Pollyanna. — Przecież to Carewowie przyjeżdżają do domu Harringtonów!

Lecz panią Chilton nie tak łatwo było przekonać. Wzdychała tylko jeszcze głośniej i ocierała łzy, to też Pollyanna postanowiła nie perswado-

wać jej dłużej, lecz wrócić do przerwanej roboty, pozostawiając ciotkę własnemu losowi.

Oznaczonego dnia Pollyanna z Tymoteuszem (który był teraz właścicielem koni Harringtonów), pojechała na stację na popołudniowy pociąg. Do tej chwili serce jej przepojone było najzupełniejszą równowagą i szczerą radością, lecz wraz z głośnym gwizdem lokomotywy doznała uczucia nagłego zwątpienia, onieśmielenia i bojaźni. Uświadomiła sobie nagle, że przecież ona, Pollyanna, tak zupełnie sama nie da sobie z tym wszystkim rady. Przypomniała sobie bogactwo pani Carew, jej stanowisko społeczne i kapryśne usposobienie. Uświadomiła sobie również, że za chwilę ujrzy przed sobą nowego, wysokiego, dorosłego Jamie, zupełnie niepodobnego do tamtego chłopca, którego kiedyś znała.

Przez jeden krótki moment myślała tylko o tym, żeby się z tego wszystkiego wycofać, dokądś jak najprędzej uciec.

— Tymoteuszu, mnie jest niedobrze. Źle się czuję. Powiem im, żeby... żeby nie przyjeżdżali,— wyszeptała, jakby szykując się do ucieczki.

— Panienko! — zawołał przerażony Tymoteusz.

Jedno spojrzenie na zalęknioną twarz Tymoteusza wystarczyło. Pollyanna zaśmiała się, wzruszając swobodnie ramionami.

— Nic. Już wszystko w porządku! Ja oczywiście tylko żartowałam, Tymoteuszu. Zobaczcie, prędko! Już są prawie tutaj, — niecierpliwiła się i pobiegła w stronę peronu, już zupełnie opanowana.

Poznała ich od razu. Jeżeli nawet miała przez



— Instrument na którym ty grasz, Pollyanno — to wielkie serce świata... (str. 231).

chwilę jakieś wątpliwości, to upewniły ją natychmiast kule, na których opierał się wysoki, ciemnooki młodzieniec.

Nastała krótka chwila gorączkowych uścisków dłoni, niezrozumiałych okrzyków, po czym w niewytłumaczony sposób Pollyanna znalazła się w powozie przy boku pani Carew, mając naprzeciw Jamie i Sadie Dean. Teraz dopiero nadarzyła się okazja dokładnego przyjrzenia się przyjaciołom i dostrzeżenia tych wszystkich zmian, jakie w ciągu sześciu lat zaszły.

W stosunku do pani Carew Pollyanna od razu doznała uczucia przyjemnego zdziwienia. Zapomniała zupełnie, że pani Carew jest taka miła. Zapomniała również, że dawna jej opiekunka ma takie długie rzęsy, które zupełnie prawie osłaniają jej wspaniałe, wyraziste oczy.

Następnie przeniosła wzrok na Jamie. Tutaj znowu ogarnęło ją zdziwienie i to z tej samej przyczyny. Jamie także stał się bardzo przystojnym młodzieńcem. Pollyanna skonstatowała w duchu, że wyglądał naprawdę imponująco. Jego ciemne oczy, blada twarz i ciemne wijące się włosy tworzyły całość nader interesującą. W pewnej chwili spojrzała na oparte z boku kule i spazm bolesnego współczucia ścisnął ją za gardło.

Wreszcie spojrzała na Sadie Dean. Sadie, jeżeli chodziło o wygląd, wyglądała tak samo jak wówczas, kiedy ją Pollyanna po raz pierwszy ujrzała w publicznym parku. Łatwo się jednak było zorientować, że te włosy, ta suknia, zachowanie i sposób mówienia, wszystko należało teraz do całkiem innej Sadie.

W pewnej chwili Jamie przemówił.

— Jak ładnie z twojej strony, że nam pozwoliłaś przyjechać, — zwrócił się do Pollyanny. — Czy wiesz, co mi przyszło na myśl, gdy napisałaś żebyśmy przyjechali?

— Jakto, nie, oczywiście, że nie, — wybąkała Pollyanna. Jeszcze ciągle widziała kule przy boku Jamie i jeszcze ciągle w gardle dławiło ją to bolesne współczucie.

— Otóż przyszła mi na myśl ta mała dziewczynka z publicznego parku, niosąca torebkę orzechów dla Sir Lancelota i Lady Guinevere i przekonałem się, że dopiero wówczas czułaś się szczęśliwa, jeżeli każdą własnością mogłaś się podzielić z tymi, którzy nic nie mieli.

— Tak, torebką orzechów! — zaśmiała się Pollyanna.

— W tym wypadku twoja torebka orzechów okazała się tym samym, co wygodne mieszkanie na świeżym powietrzu, mleko prosto od krowy i świeże jajka z pod kur, — odpowiedział Jamie, kiwając głową, — lecz znaczenie jest zawsze takie same. Może lepiej będzie, jak cię ostrzegę — pamiętasz, jaki był zachłanny Sir Lancelot?... — umilkł wymownie.

— Doskonale, zaryzykuję, — uśmiechnęła się Pollyanna i przyszło jej na myśl, jak dobrze się stało, że ciotka Polly nie słyszy tej całej rozmowy. Biedny Sir Lancelot! Ciekawa jestem, czy teraz ktoś go jeszcze karmi i czy wogóle on sam przebywa jeszcze w parku.

— Jeżeli jest, to napewno nie cierpi głodu, — wtrąciła pani Carew wesoło. — Ten nieopanowa-

ny chłopak jeszcze do dzisiaj chodzi tam chociaż raz w tygodniu z kieszeniami wypchanymi orzechami i innymi smakołykami dla ptaków i wiewiórek. Ulubieńcy ci za każdym razem żegnają go z wielkim żalem, a ja muszę niejednokrotnie czekać na niego ze śniadaniem i dopiero od pokojówki dowiaduję się, że „panicz Jamie karmi teraz gołębie, proszę pani!"

— Tak, ale pozwól sobie powiedzieć, — zawołał Jamie entuzjastycznie... W następnej chwili Pollyanna słuchała już fascynującej opowieści o dwóch wiewiórkach, igrających w słonecznym blasku ogrodu. Później dopiero zrozumiała, znaczenie słów Delli Wetherby, bo gdy przyjechali do domu, doznała przykrego uczucia, widząc Jamie, wysiadającego z trudem z powozu, wspierającego się na kulach. Uświadomiła sobie, że w owej chwili, kiedy tak ciekawie snuł swoją opowieść, zapomniała zupełnie o jego przykrym kalectwie.

Ku wielkiej radości Pollyanny pierwsze powitanie ciotki Polly z Carewami, którego tak bardzo się lękała, minęło zupełnie gładko, wbrew jej dotychczasowym przypuszczeniom. Goście byli tak szczerze zachwyceni starym domem i wszystkim, co wewnątrz ujrzeli, że byłoby niemożliwością, aby właścicielka i pani tego domu mogła niechętnie i sztywno ich przyjąć. Poza tym już po godzinie nawet ciotka Polly uległa urokowi Jamie, to też Pollyanna pozbyła się chociaż największego swego zmartwienia, konstatując, że ciotka Polly wspaniale weszła w swą rolę gościnnej gospodyni, podejmującej najmilej widzianych gości.

Mimo ulgi, jaką odczuła, widząc zmianę w zachowaniu ciotki Polly, Pollyanna jednak zdawała sobie sprawę, że jej własne zadanie nie będzie takie łatwe. Roboty miała mnóstwo, a wszystko przecież musiało być punktualnie na czas zrobione. Siostra Nancy, Betty, była bardzo miła i chętna, ale nie była to jednak Nancy, jak Pollyanna się wkrótce przekonała. Należało nią kierować, co zajmowało dość dużo czasu. Nic więc dziwnego, że Pollyanna ustawicznie martwiła się o to, aby wszystko było w porządku. W owym okresie zakurzone krzesło, czy niezbyt wypieczony placek stanowiły dla Pollyanny kompletną tragedię.

Stopniowo jednakże, po wysłuchaniu licznych argumentów i próśb ze strony pani Carew i Jamie, Pollyanna nauczyła się traktować pracę z mniejszym przejęciem, uświadamiając sobie, że tragedią w oczach przyjaciół nie jest zakurzone krzesło i niewypieczony placek, lecz niepokój i troska, odzwierciedlające się na jej własnej twarzy.

— Wystarczy, że pozwoliłaś nam tu przyjechać, — tłumaczył jej Jamie, a teraz sama zamęczasz się, żebyśmy tylko mieli co jeść.

— Zresztą my i tak tyle jeść nie możemy, — śmiała się pani Carew, — bo gotowi jesteśmy dostać niestrawności, jak zawsze to powtarza jedna z moich dziewcząt w przytułku.

Zadziwiające było mimo wszystko, z jaką łatwością przybyli goście przywykli do warunków codziennego życia, panującego w domu ciotki Polly. Po upływie zaledwie dwudziestu czterech godzin pani Carew sprowokowała panią Chilton

do zadawania całego mnóstwa pytań na temat Domu dla Pracujących Dziewcząt, zaś Sadie Dean i Jamie kłócili się nawzajem, pragnąc pomagać Pollyannie w łuskaniu grochu i ścinaniu kwiatów w ogrodzie.

Carewowie przebywali już w posiadłości Harringtonów prawie tydzień, gdy pewnego wieczoru przyszli z wizytą John Pendleton i Jimmy. Pollyanna miała nadzieję, że zjawią się wcześniej, o co prosiła ich usilnie jszcze przed przybyciem Carewów. Teraz przedstawiała swych gości z widoczną dumą.

— Jesteście państwo tak bliskimi moimi przyjaciółmi, że bardzo pragnę, abyście i między sobą zawarli przyjaźń, — wytłumaczyła z wdziękiem.

To, że Jimmy i pan Pendleton od pierwszej chwili oczarowani zostali pięknością i urokiem pani Carew, nie było dla Pollyanny wcale niespodzianką, lecz dziwny błysk w oczach pani Carew na widok Jimmy zadziwił Pollyannę niezmiernie. Pani Carew tak jakoś patrzyła na młodzieńca, jak by go znała kiedyś i jak by go sobie teraz przypominała.

— Czy nie widziałam już pana kiedyś, panie Pendleton? — zapytała w pewnej chwili.

Szczere spojrzenie Jimmy zatonęło na chwilę z prawdziwym zachwytem w wyrazistych oczach uroczej kobiety.

— Myślę że nie, — uśmiechnął się do niej. — Jestem pewien, żeśmy się nigdy dotąd nie spotkali. Pamiętałbym na pewno, gdybym panią choć raz jeden w życiu widział, — skłonił się.

Wypowiedział to z takim przejęciem, że wszyscy

wybuchnęli głośnym śmiechem, a John Pendleton zażartował.

— Ślicznie potrafisz kokietować niewiasty, mój synu. Ja bym nawet tak nie umiał.

Pani Carew zarumieniła się lekko, przyłączając się do ogólnej wesołości.

— Nie, naprawdę, — zawołała. — Żarty na bok, dziwnie znajoma wydała mi się pańska twarz. Przypuszczam, że musiałam pana jednak gdzieś widzieć, jeżeli już nawet nie znaliśmy się osobiście.

— Możliwe że to było w Bostonie, — podchwyciła Pollyanna, — bo Jimmy studiuje tam na politechnice. Ma zamiar kiedyś budować mosty i tamy, to znaczy wówczas, jak już będzie zupełnie dorosły, — zakończyła żartobliwie, podnosząc roześmiane oczy na wysokiego młodzieńca, stojącego jeszcze ciągle przed panią Carew.

Wszyscy się znowu roześmieli,—wszyscy, oprócz Jamie. Jedyna Sadie Dean zauważyła, że Jamie zamiast śmiać się, przymknął oczy, jak by nie chcąc patrzeć na coś, co sprawiało mu przykrość. Również jedyna Sadie Dean zorientowała się, że temat rozmowy nagle został zmieniony, bo przecież to ona właśnie postarała się o to. Również Sadie była tą osobą, która dokładała wszelkich starań, aby jak najczęściej rozmawiano o książkach, kwiatach, zwierzętach i ptakach, które Jamie tak dobrze znał i rozumiał, zamiast rozmów o tamach i mostach, których Jamie i tak nigdy nie będzie mógł budować. Że to wszystko było zasługą Sadie, nikt się jednak nie orientował, a najmniej zdawał sobie z tego sprawę Jamie, choć o niego to właśnie chodziło.

Po wyjściu Pendletonów, pani Carew wróciła znowu do tematu, że musiała jednak już kiedyś widzieć młodego Pendletona.

— Jestem pewna, jestem pewna że go gdzieś widziałam, — szeptała w zamyśleniu. — Możliwe że to było w Bostonie, ale... — nie dokończyła rozpoczętego zdania, dorzucając po chwili: — Bardzo sympatyczny młodzieniec, ogromnie mi się podoba.

— Jakże się cieszę! Ja go także bardzo lubię, — skinęła głową Pollyanna. — Zawsze zresztą lubiłam Jimmy.

— Więc znasz go już od dawna? — zdziwił się Jamie, patrząc na nią z dziwną niechęcią.

— O, tak. Znałam go jeszcze wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką. Nazywał się wówczas Jimmy Bean.

— Jimmy Bean? Jakto, więc on nie jest synem pana Pendletona? — zapytała z ciekawością pani Carew.

— Nie, został tylko adoptowany.

— Adoptowany? — zawołał Jamie. — A zatem nie jest rodzonym synem tak samo, jak ja. — Nuta radości zabrzmiała w tej chwili w jego głosie.

— Nie. Pan Pendleton nie ma dzieci. Nigdy nie był żonaty. Miał... miał się zamiar kiedyś ożenić, ale... ale nic z tego nie wyszło. — Pollyanna wypowiedziała ostatnie słowa, rumieniąc się niespodzianie. Pamiętała zawsze, że to właśnie jej matka nie przyjęła oświadczyn Johna Pendletona, więc też na nią, choć matka już dawno nie żyła, spadała przykra odpowiedzialność za jego dotychczasowe starokawalerstwo.

Jednakże pani Carew i Jamie, nie wiedząc o tym,

dostrzegli teraz tylko krwawy rumieniec na twarzy Pollyanny i nagłą zmianę jej zachowania, z czego wyciągnęli odpowiedne wnioski.

— Czyż to możliwe, — zapytywali samych siebie, — żeby ten jegomość, ten John Pendleton miał jakieś zamiary w stosunku do takiego dziecka, jak Pollyanna?

Oczywiście głośno o tym nie mówili, zrozumiałe więc, że na pytanie swe nie mogli otrzymać odpowiedzi. Zrozumiałe również, że ta myśl nie wypowiedziana nurtowała ich długo i odrodziła się na powrót, gdy nadeszła odpowiednia chwila.

ROZDZIAŁ XXI.

Pogodne dni lata.

Przed przybyciem Carewów Pollyanna zaznaczyła Jimmy, że liczy na jego pomoc w podejmowaniu gości. W owym czasie Jimmy nie wyraził zbytniej gotowości przysłużenia się jej pod tym względem, lecz już po dwutygodniowym pobycie Carewów w domu pani Chilton, zmienił zupełnie pod tym względem zdanie, dając tego dowód składaniem częstych wizyt, oraz stałymi zaproszeniami gości na przejażdżki powozem lub samochodem.

Między nim i panią Carew zadzierzgnęła się od razu gorąca przyjaźń, która zdawała się fascynować obydwie strony. Dużo spacerowali i rozmawiali z sobą, snując nawet różnorodne plany na temat Domu dla Pracujących Dziewcząt, które pragnęli zrealizować podczas następnej zimy, kiedy Jimmy będzie znowu w Bostonie. Na osobę Jamie

zwracano również troskliwą uwagę, nie zapominając także o Sadie Dean. Sadie, jak często zaznaczała pani Carew, uważana już była za członka rodziny i pani Carew dbała ustawicznie o to, aby dziewczyna na urlopie nie nudziła się.

Nie tylko jednak Jimmy wysuwał stałe propozycje co raz to nowych rozrywek. Obecnie równie często odwiedzał towarzystwo John Pendleton. Urządzano przejażdżki, wycieczki i pikniki, a długie, przyjemne popołudnia częstokroć spędzano na czytaniu rozmaitych książek na werandzie domostwa Harringtonów.

Pollyanna była zachwycona, bo nie tylko przecież przybyli z miasta goście nie nudzili się, lecz również najbliżsi jej przyjaciele, Pendletonowie, zaprzyjaźnili się tak szybko i serdecznie z Carewami.

Jednakże zarówno Carewowie, jak i Pendletonowie nie byli zadowoleni, gdy Pollyanna nie dotrzymywała im towarzystwa, to też ustawicznie nalegali, aby jak najwięcej czasu spędzała z nimi. Nie pomagały żadne wymówki i preteksty, którymi Pollyanna usiłowała się tłómaczyć.

— Już zupełnie zaśniedziałaś w tej kuchni przy pieczeniu ciasta! — narzekał pewnego dnia Jamie, zaglądając do niej. — Jest taki piękny ranek i zamierzamy wszyscy zabrać z sobą drugie śniadanie i wyruszyć do Gorge. Ty oczywiście musisz pójść z nami.

— Ależ, Jamie, ja nie mogę, naprawdę nie mogę, — tłómaczyła się Pollyanna.

— Dlaczego nie? Nie potrzebujesz szykować dla nas obiadu, bo i tak jeść nie będziemy.

— Ale trzeba przygotować drugie śniadanie.

— Znowu kłopot. Zabieramy śniadanie z sobą, więc nie potrzebujesz z tej przyczyny zostawać w domu.

— Jednakże, Jamie nie będę mogła. Trzeba jeszcze upiec ciasto.

— Nie chcę ciasta.

— Trzeba zetrzeć kurze...

— Nie będziesz dziś okurzała.

— I trzeba pomyśleć o jedzeniu na dzień jutrzejszy.

— Dasz nam sucharki z mlekiem. Wolimy mleko z sucharkami i twoje towarzystwo, niż pieczonego indyka bez ciebie.

— Ale nie mogę ci wszystkiego powiedzieć co mam jeszcze dzisiaj do roboty.

— Lepiej, żebyś nie mówiła, — zawołał Jamie wesoło. — Wcale nie chcę słyszeć. Kładź prędko beret. Widziałem Betty w jadalni i obiecała, że sama nam przygotuje drugie śniadanie. Tylko śpiesz się!

— Ależ, Jamie, ty niemożliwy chłopcze, ja nie mogę, — śmiała się Pollyanna, opuszczając wolno zakasane rękawy. — Nie mogę wybrać się z wami na wycieczkę!

Wybrała się jednak. Wybrała się nietylko wtedy, lecz kilkakrotnie także potem. Musiała pójść rada nie rada, bo miała przeciwko sobie nietylko Jamie, lecz również i Jimmy, pana Pendletona, panią Carew, Sadie Dean i nawet samą ciotkę Polly.

— Bardzo się cieszę, że idę, — wzdychała radośnie, gdy nie pozwalano jej okurzać mebli i piec

świeżych ciasteczek. — Ale jestem pewna, że w żadnym pensjonacie nie ośmieliliby się raczyć gości mlekiem z sucharkami i zimnym mięsem. Poza tym żeden pensjonat nie trzymałby takiej gospodyni, która zamiast pracować, biega na wycieczki z gośćmi!

Szczytem wszystkiego było, gdy pewnego dnia John Pendleton zaproponował, aby całe towarzystwo wybrało się na dwutygodniową obozową wycieczkę nad jezioro, oddalone o czterdzieści mil od Beldingsville.

Propozycja ta przyjęta została z entuzjazmem przez wszystkich, z wyjątkiem ciotki Polly, która zwierzyła się na osobności Pollyannie, że bardzo pięknie, iż John Pendleton w swoim wieku może się zdobyć na taki pomysł, ale z drugiej strony — nie ma najmniejszego sensu, żeby się nagle chciał przeistoczyć w dwudziestoletniego chłopca. Zdaniem ciotki Polly, John Pendleton po prostu się wygłupiał! W obecności wszystkich pani Chilton oświadczyła chłodno, że ona oczywiście nie pojedzie na żadną wycieczkę, bo nie ma zamiaru sypiać w namiocie i żywić się ślimakami i rybami, gdyż byłoby to całkiem niestosowne dla osoby, która już dawno przekroczyła czterdziestkę.

Jeżeli nawet Johna Pendletona słowa te dotknęły, nie dał absolutnie poznać tego po sobie. Entuzjazmował się tym planem razem z innymi i jednogłośnie zdecydowano, że aczkolwiek ciotka Polly nie weźmie udziału w wycieczce, to nie ma chyba żadnych podstaw, żeby całe towarzystwo musiało sobie odmówić tej przyjemności.

— Matkować nam będzie pani Carew, — oświadczył swobodnie Jimmy.

Z tego więc względu przez cały tydzień nie mówiono o niczym innym, tylko o namiotach, zapasach żywności, aparatach fotograficznych, wędkach i czyniono gorączkowe przygotowania przed zamierzoną wycieczką.

— Musi to być prawdziwy obóz, — radował się Jimmy gorączkowo, — nawet z przewidzianymi przez panią Chilton ślimakami i rybami, — dodał z wesołym uśmiechem, patrząc nieustraszenie prosto w surową i nachmurzoną twarz ciotki Polly. — Pożegnamy się z elegancką jadalnią! Będziemy piekli kartofle w popiele, będziemy opowiadali ciekawe historie przy ognisku i warzyli ziarno w kociołku.

— Będziemy pływać, wiosłować i łowić ryby, — podchwyciła Pollyanna. — I... — umilkła nagle, spojrzawszy na Jamie. — To znaczy, oczywiście,— poprawiła się śpiesznie, — nie będziemy stale tego wszystkiego robili. Będziemy również czytać i rozmawiać.

Oczy Jamie pociemniały, twarz mu pobladła, a usta zadrżały, lecz nim zdążył wymówić słowo, uprzedziła go już Sadie Dean.

— Ach, na takich obozowych wycieczkach doświadcza się wielu rozmaitych przyjemności, — wtrąciła wesoło. — Jestem pewna, że i my będziemy mieli ich mnóstwo. Zeszłego lata byliśmy w Maine i trzeba państwu było widzieć, ile pięknych ryb złowił pan Carew. Niech pan sam powie, — zwróciła się prosząco do Jamie.

Jamie zaśmiał się i potrząsnął głową.

— Oni i tak nie uwierzą, — zaprotestował. — To zresztą długa historia!

— Opowiedz, — zawołała Pollyanna.

Jamie znowu potrząsnął głową, lecz twarz jego nie była już blada i z oczu zniknął ten wyraz smutku i bólu. Patrząc na Sadie Dean, Pollanna zdziwiła się, dlaczego Sadie poprawiła się na swym krześle, oddychając z taką ulgą.

Wreszcie nadszedł oznaczony dzień i wyruszono nowym turystycznym samochodem Johna Pendletona. Przy kierownicy zasiadł Jimmy. Gwar rozmów, dźwięk syreny, głośne pożegnanie i auto pomknęło, kierowane wprawną ręką młodego Pendletona.

W wiele lat później Pollyanna często wracała myślą do tego pierwszego wieczoru spędzonego w obozie. Było to wszystko dla niej wówczas zupełnie nowe i pełne uroku.

O godzinie czwartej stanęli u celu czterdziesto milowej podróży. W ciągu ostatniej pół godziny potężne auto z trudem posuwało się na przód po wyboistej drodze, zupełnie nieprzystosowanej do pojazdów mechanicznych. Dla samego auta, jak również dla kierowcy, ta ostatnia część drogi była wyjątkowa uciążliwa. Lecz dla reszty pasażerów, którzy nie brali na siebie odpowiedzialności za wszystkie wyboje i błotniste kałuże, droga ta była tylko weselszą częścią beztroskiej eskapady.

Miejsce rozbicia obozu znane było Johnowi Pendletonowi z dawnych lat młodości, to też widok tego miejsca powitał radośnie, oddychając z niezaprzeczoną ulgą.

— Ach, jakże tu wspaniale! — zawołali wszyscy jednogłośnie.

— Cieszę się, że się państwu podoba! Byłem pewny, że się nie rozczarujecie, — skinął głową John Pendleton. — Lękałem się tylko, że przez tych kilka lat mogły tu zajść jakieś zmiany. Istotnie krzewy trochę podrosły, ale będzie nam tu bardzo wygodnie.

Wszyscy natychmiast zabrali się do pracy, do sprzątania niewielkiej polanki, rozstawiania dwóch małych namiotów, wyładowywania rzeczy z samochodu, rozpalania ogniska i urządzania „kuchni i śpiżarni".

I właśnie wówczas Pollyanna zwróciła szczególną uwagę na Jamie, który począł ją nagle niepokoić. Zorientowała się, że wyboje i sterczące z ziemi korzenie nie były tak wygodne do poruszania się o kulach, jak wyfroterowana posadzka. Jamie również najwidoczniej zdał sobie z tego sprawę, mimo to jednak za wszelką cenę pragnął brać czynny udział w przygotowawczej robocie i to właśnie najbardziej martwiło Pollyannę. Dwukrotnie podbiegła, aby mu pomóc przenieść dość ciężką skrzynkę z samochodu na polanę.

— Daj, ja to zaniosę, — prosiła. — Już się na pewno zmęczyłeś, — a za drugim razem dorzuciła: — Usiądź i odpocznij sobie, Jamie, wyglądasz bardzo zmęczony.

Gdyby przyjrzała mu się bliżej, dostrzegłaby rumieniec, pojawiający się nieoczekiwanie na jego twarzy. Nie obserwowała go jednak tak dokładnie, to też żadnej zmiany nie widziała. Natomiast nie uszło jej uwagi, że w chwilę potem Sadie Dean

obarczona rozmaitymi pudełkami i skrzyneczkami, przechodząc obok Jamie, zawołała:

— Ach, panie Carew, może by mi pan pomógł! W sekundę później Jamie znów na swych kulach dźwigał jakieś zapasy, idąc śpiesznie w stronę rozstawionych namiotów.

Z pełnym oburzenia protestem Pollyanna zwróciła się do Sadie Dean. Niewypowiedziane jednak słowa zamarły jej na ustach, gdy Sadie spojrzała na nią wymownie, dając jakiś znak porozumiewawczy.

— Wiem, że tego nie chciałaś, — wyszeptała, zbliżając się do Pollyanny. — Ale czyż nie widzisz, że go to boli? Czyż nie rozumiesz, że przykro mu, jeśli uświadamia sobie, że nie może nam być pomocny? Spójrz tylko, jaki teraz jest szczęśliwy i uśmiechnięty.

Pollyanna teraz zrozumiała. Widziała Jamie, przejętego swoją misją, z trudem posuwającego się na kulach i dźwigającego z bohaterstwem swój ciężar, którym był obarczony. Widziała radosny błysk w jego oczach i słyszała, jak wesoło zwracał się do reszty towarzystwa:

— Przysyła mnie tutaj panna Dean. Prosiła, żebym to przyniósł do namiotu.

— Tak, teraz rozumiem, — westchnęła Pollyanna, zwracając się do Sadie Dean, ale Sadie Dean już dawno od niej odeszła.

Niejednokrotnie później obserwowała Pollyanna Jamie, lecz zawsze czyniła to tak ostrożnie, aby nikt jej spojrzeń nie zauważył. Obserwacje takie sprawiały jej dotkliwy ból. Kilkakrotnie dostrzegła, że podejmował się czegoś, co przekraczało jego

siły. Raz chciał podnieść skrzynkę, której w żaden sposób nie mógł udźwignąć, raz znów chciał przesunąć polowy stół, co mu się nie udawało ze względu na kule. I za każdym razem nie mogąc pokonać nadmiernej przeszkody, zerkał ukradkiem, czy ktoś aby nieudolności jego nie widzi. Zauważyła również, że co raz bardziej był zmęczony, że twarz jego, mimo wesołego uśmiechu, była blada, znużona i szara.

— Powinniśmy byli przewidzieć, — strofowała samą siebie Pollyanna, czując w oczach piekące łzy. — Powinniśmy byli przewidzieć i nie urządzać wogóle tej wycieczki. Obóz, rzeczywiście, ale nie o kulach! Że też nie pomyśleliśmy o tym przed wyruszeniem tutaj!

W godzinę później przy ognisku, po kolacji, Pollyanna zdołała wreszcie rozwiązać ten dręczący ją problem. Oto tonąc w blasku wesołych płomieni, wpatrzona w daleką ciemną przestrzeń lasu, porwana została znowu urokiem cudownych opowiadań Jamie. I właśnie w owej chwili zapomniała zupełnie, że Jamie chodzi o kulach.

ROZDZIAŁ XXII.

Towarzysze.

Cała ich szóstka tworzyła wesołe i zgrane kółko. Zdawało się nie być końca co raz to nowym wesołym przygodom, nie przestawali się radować tym prymitywnym trybem życia, jaki obecnie prowadzili.

Słusznie powiedział Jamie pewnego wieczora, gdy siedzieli wszyscy dokoła ogniska:

— Widzicie, że tutaj wśród lasu poznaliśmy się wzajemnie lepiej w ciągu jednego tygodnia, niż w mieście w ciągu całego roku.

— To prawda, ale dlaczego? — wyszeptała pani Carew, wpatrzona sennym wzrokiem w skaczące płomienie.

— Sądzę, że coś takiego musi być w powietrzu,— westchnęła uszczęśliwiona Pollyanna, to coś płynie z nieba, z lasu i z jeziora i roztacza się dookoła nas.

— Bo jesteśmy tutaj jakby odcięci od świata, — zawołała Sadie Dean dziwnie załamującym się głosem (Sadie nie przyjęła udziału w ogólnej wesołości, jaka nastąpiła po wypowiedzeniu się Pollyanny). — Tutaj wszystko jest takie szczere i prawdziwe, że i my musimy być szczersi, bo nie ma między nami ani bogatych, ani biednych, tylko jesteśmy po prostu sobą.

— Ho! — zaśmiał się ironicznie Jimmy. — To wszystko brzmi bardzo pięknie, ale dzieje się to jedynie z tej przyczyny, że zdajemy sobie sprawę, iż nie jesteśmy narażeni na niczyją opinię, iż nikt nas nie kontroluje, co robimy, dokąd idziemy i czy zamierzamy tu długo zostać!

— Ach, Jimmy, ty wszystko potrafisz obedrzeć z poezji, — śmiejąc się, uczyniła mu wymówkę Pollyanna.

— Taki już mój los, — zapalił się Jimmy. — W jaki sposób budowałbym tamy i mosty, gdybym chciał być poetą?

— Zupełnie słusznie, Pendleton! Najważniejsza rzecz, to most, który się buduje, — wtrącił Jamie

tak zmienionym głosem, że zwróciło to uwagę wszystkich siedzących przy ognisku. Panująca cisza trwała jednak tylko chwilę, bo nagle przerwała ją Sadie Dean wesoło:

— Hm, ja bym tam wolała wodospady i rzeki bez mostów, bo mosty stanowczo psują widok!

Wszyscy się roześmieli i przykra chwila minęła bezpowrotnie. Pani Carew podniosła się z ziemi.

— Chodźcie, chodźcie, dzieci, już najwyższa pora udać się na spoczynek! — W wesołym nastroju całe towarzystwo rozeszło się po namiotach.

I tak mijały dni za dniami. Dla Pollyanny były one pełne czaru, jak zresztą i dla reszty towarzystwa.

Z Sadie Dean gawędziła Pollyanna o nowym Domu dla Pracujących Dziewcząt, o owocnej pracy pani Carew. Mówiły również o dawnych czasach, kiedy to Sadie sprzedawała żaboty za kontuarem i o tym, ile dobrego uczyniła dla niej jej obecna opiekunka. Pollyanna nasłuchała się mnóstwo c starych rodzicach „tam w domu" i o tym jak się Sadie radowała, że może swym rodzicom teraz nawet materialnie pomagać.

— A przecież w gruncie rzeczy wszystko to zawdzięczam tobie, — powiedziała Sadie pewnego dnia do Pollyanny, ta jednak potrząsnęła energicznie głową, protestując:

— Głupstwa pleciesz! To wszystko zrobiła pani Carew.

Z panią Carew Pollyanna także rozmawiała o Domu i o najbliższych planach na temat mieszkających w nim dziewcząt. Tylko raz jeden na spacerze o zmroku pani Carew zaczęła mówić o sobie

i o swym zmienionym ustosunkowaniu się do życia. W pewnej chwili i ona tak samo jak Sadie Dean, zaznaczyła:

— Ale wszystko to zawdzięczam tylko tobie.

Pollyanna jednak nie przywiązywała do tego zbyt wielkiej wagi i zaczęła mówić o Jamie.

— Jamie jest kochany, — zawołała pani Carew z czułością. — Kocham go, jak własnego syna. Nie mógłby być droższy dla mnie, gdyby był nawet synem mojej siostry.

— Więc pani przypuszcza, że jednak nim nie jest?

— Nie mam pojęcia. Nigdy nie dowiedzieliśmy się nic konkretnego. Czasami jestem pewna, że to właśnie on, a później znowu zaczynam wątpić. Myślę, że on w to jednak wierzy! Jedno tylko jest pewne, że w żyłach jego płynie szlachetna krew. Jamie nie jest zwykłym dzieckiem ulicy i zdradza wyjątkowe zdolności.

— Oczywiście, — skinęła głową Pollyanna. — A skoro potrafiła się pani do niego tak przywiązać, to już mniejsza o to, czy jest prawdziwym Jamie, czy też nie.

Pani Carew zawahała się. W oczach jej pojawił się ten dawny smutek.

— Byleby tylko on tak bardzo tym się nie trapił, — westchnęła wreszcie. — Czasami jednak zastanawiam się, że jeżeli on nie jest naszym Jamie, to gdzież może być prawdziwy Jamie Kent? Czy jest zdrowy? Czy jest szczęśliwy? Czy jest przy nim ktoś, kto go kocha? Gdy zaczynam o tym myśleć, Pollyanno, jestem bliska obłędu. Oddałabym

wszystko, co posiadam, żeby się tylko upewnić, że ten chłopiec właśnie jest Jamie Kentem.

Pollyanna niejednokrotnie wspominała tę rozmowę podczas późniejszych swych pogawędek z Jamie. Jamie był tak poważny i tak pewny siebie.

— Coś tajemniczego mówi mi, że tak jest właśnie, — powiedział jej pewnego razu. — Jestem pewny, że nazywam się Jamie Kent. Wierzę w to, dopiero od niedawna. Uwierzyłem w to tak mocno, że nie zniósłbym chyba, gdyby okazało się inaczej. Pani Carew tyle dla mnie zrobiła! Pomyśl tylko, przecież mimo wszystko, byłem dla niej zupełnie obcy!

— Ale ona cię kocha, Jamie.

— Wiem o tym i to właśnie najbardziej mnie boli, nie rozumiesz? I ją kiedyś może to doprowadzić do rozpaczy. Marzy o tym, abym był prawdziwym Jamie. Wiem, że niejednokrotnie o tym myśli. Gdybym chociaż mógł coś dla niej uczynić, żeby była ze mnie dumna! Gdybym mógł wziąć się do czegoś, jak każdy inny mężczyzna! Ale cóż ja mogę robić... z tym? — mówił z goryczą kładąc rękę na kulach, leżących tuż przy nim.

Pollyanna była wzruszona i zażenowana. Po raz pierwszy słyszała jak Jamie, dorosły już chłopiec, mówił o swoim kalectwie. Napróżno szukała odpowiednich słów, które należało teraz wyjaśnić, lecz nim zdążyła zdecydować się na cośkolwiek, twarz Jamie poweselała i zaszła w niej zupełna zmiana.

— Zapomnij o tym, co powiedziałem! Nie to miałem na myśli, — zawołał swobodnie. — W ten sposób nie mogą mówić ludzie, uprawiający grę

w zadowolenie. Zadowolony jestem, że mam kule, bo przecież są one o wiele przyjemniejsze, niż fotel na kółkach!

— A Radosna Księga, czy ją jeszcze prowadzisz? — zapytała Pollyanna głosem, który drżał nieco.

— Naturalnie! Mam teraz całą bibliotekę radosnych książek, — odpowiedział.. — Wszystkie są oprawione w skórę oprócz tej pierwszej. Tamta, to ten stary notatnik, który mi podarował Jerry.

— Jerry! Już dawno chciałam o niego zapytać,— zawołała Pollyanna. — Co się z nim dzieje?

— Jest w Bostonie i mówi tak samo kwieciście, jak za dawnych dobrych czasów. Pracuje jeszcze ciągle w gazecie, ale już gazet nie sprzedaje, tylko podaje do nich rozmaite wiadomości. Jest reporterem, pojmujesz? Nareszcie miałem możność dopomóc jemu i mamci. Wyobrażasz sobie, jaki byłem z tego powodu uradowany? Mamcia jest w sanatorium i leczy się na reumatyzm.

— A czuje się lepiej?

— O wiele lepiej. Wkrótce już wyjdzie i zacznie prowadzić gospodarstwo Jerryemu. Jerry poduczył się trochę w ciągu ostatnich kilku lat. Pomagałem mu nawet w nauce, ale w żaden sposób nie chciał przyjąć mojej pomocy bez pieniędzy. Jest pod tym względem szalenie skrupulatny.

— Oczywiście, — skinęła głową Pollyanna w niemej pochwale. — Rozumiem, że go to peszy. Na jego miejscu byłabym taka sama. Przykro zaciągać długi, których później spłacić nie można. Ja się znam na tym. Dlatego właśnie tak bardzo chciała-

bym pomóc ciotce Polly za to wszystko, co kiedyś dla mnie uczyniła.

— Przecież jej pomagasz tego lata.

Pollyanna uniosła brwi ku górze.

— Tak, prowadzę pensjonat. Wyglądam na to nawet, prawda? — poczęła się śmiać, rozkładając bezradnie ręce. — Żadna gospodyni pensjonatowa nie spełnia swych obowiązków w ten sposób, jak ja! Powinieneś był słyszeć sprzeciwy ciotki Polly na temat waszego przyjazdu, — rzuciła mimochodem.

— Jakie sprzeciwy?

Pollyanna potrząsnęła energicznie głową.

— Nie mogę ci powiedzieć, bo to tajemnica, ale... — umilkła i westchnęła, a twarzyczka jej spoważniała znowu. — Ale to przecież nie będzie trwać wiecznie, sam rozumiesz. Tak zawsze być nie może. Pensjonat można prowadzić tylko latem, a ja i zimą muszę coś robić. Właśnie myślę ciągle o tym. Chyba będę pisała nowele.

Jamie spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Co będziesz robić? — zapytał.

— Pisać nowele i sprzedawać, pojmujesz? Czemu jesteś taki zaskoczony? Przecież mnóstwo ludzi to robi. Znałam dwie panienki w Niemczech, które się także tym zajmowały.

— A czy kiedyś próbowałaś? — głos Jamie jeszcze ciągle był niepewny.

— Nie, dotychczas nie, — przyznała Pollyanna, po czym oburzyła się, widząc zdziwiony wyraz jego twarzy. — Przecież wiesz, że teraz prowadzę pensjonat, a wszystkiego na raz robić nie można.

— Oczywiście, że nie!

Spojrzała nań już teraz łagodniej.

— Sądzisz, że nie potrafiłabym pisać?

— Tego nie powiedziałem.

— Nie, ale tak patrzyłeś na mnie. Nie rozumiem, dlaczego miałabym nie potrafić. Pisanie, to przecież nie śpiew. Nie potrzeba do tego głosu. Nie jest to również instrument, na którym trzeba się nauczyć grać.

— Ale uważam, że coś bardzo podobnego, — wyszeptał Jamie nieśmiało, nie patrząc na nią w tej chwili.

— Co takiego? Coś powiedział? Jakto, Jamie, wystarczy tylko mieć ołówek i kawałek papieru, a na pianinie czy na skrzypcach trzeba się uczyć grać!

Nastała chwila milczenia. Wreszcie usłyszała jego odpowiedź wypowiedzianą cichym, nieśmiałym głosem i zauważyła, że ciągle jeszcze unikał jej wzroku.

— Instrument na którym ty grasz, Pollyanno, to wielkie serce świata! Dla mnie byłby on najtrudniejszym instrumentem jaki znam. Pod twoim dotknięciem instrument ten płacze i uśmiecha się, zależnie od twego własnego nastroju.

Pollyanna westchnęła głęboko. Oczy jej stały się nagle wilgotne.

— Ach, Jamie, jak ty pięknie potrafisz wszystko ujmować! Mnie by to nigdy na myśl nie przyszło. Ale tak jest rzeczywiście, nieprawdaż? Jakże bym chciała grać na takim instrumencie! Jakże bym chciała pisać nowele, chociaż możliwe, że nie potrafię. Czytałam jednak mnóstwo nowel w rozmaitych pismach i zdaje mi się, że mogłabym sama

coś napisać. Strasznie lubię opowiadać historie. Zawsze powtarzam to, co ty opowiadasz i tak samo płaczę i śmieję się, jak ty to robisz podczas opowiadania.

Jamie pośpiesznie odwrócił ku niej twarz.

— Czy i ciebie te historie doprowadzają do śmiechu i płaczu, Pollyanno? — głos jego był teraz dziwnie podniecony.

— Naturalnie, że tak, a ty to najlepiej znasz, Jamie! Doprowadzały mnie one do płaczu i śmiechu jeszcze wówczas, gdy opowiadałeś je przed laty w publicznym parku. Nikt nie potrafi tak opowiadać, jak ty, Jamie. Ty powinieneś właśnie pisać nowele, nie ja. Dlaczego tego nie robisz? Potrafiłbyś pisać cudownie, jestem pewna!

Nie było odpowiedzi. Jamie najwidoczniej nie słyszał, może dlatego, że przywoływał do siebie jakiegoś ptaszka, ćwierkającego w pobliskich zaroślach.

Nie zawsze prowadziła Pollyanna ciekawe rozmowy tylko z Jamie, panią Carew i Sadie Dean. Często również gawędziła nader mile z Jimmy i Johnem Pendletonem.

Dopiero teraz doszła do wniosku, że dotychczas nie znała naprawdę Johna Pendletona. Dawna jego posępność zniknęła zupełnie od chwili, gdy przyjechali na obóz. Wiosłował, pływał, łowił ryby i chodził na dłuższe spacery z takim samym niemal entuzjazmem, jak Jimmy i z taką samą młodzieńczą werwą. Wieczorami, gdy się zbierano dokoła ogniska, po prostu rywalizował z Jamie w opowiadaniu o swych dawnych przygodach, śmiesznych i podniecających, których takie mnóstwo doświad-

czył podczas swych dawnych podróży po obcych krajach.

— W „Pustyni Sary“, jak mówi zawsze Nancy,— śmiała się Pollyanna, prosząc pana Pendletona wraz z innymi o opowieść o przygodach na Saharze.

Lubiła jednak bardziej te chwile, kiedy John Pendleton, będąc z nią sam na sam, opowiadał o jej matce, którą w młodości tak bardzo kochał. Pollyanna cieszyła się z tej jego szczerości, lecz jednocześnie była nią zaskoczona, dawniej bowiem John Pendleton nigdy tak swobodnie nie wspominał o kobiecie, którą kochał bez wzajemności. Może i on sam tą swoją szczerością był zdziwiony, bo pewnego razu, patrząc na Pollyannę, szepnął w zamyśleniu:

— Dziwię się, że o tym wszystkim tobie opowiadam.

— Ach, przecież mnie to wszystko interesuje, — wyrwała się Pollyanna.

— Tak, wiem, ale nigdy bym nie przypuszczał, że kiedykolwiek zdobędę się na to. Widocznie czynię to dlatego, że jesteś tak bardzo podobna do swej matki. Tak samo wyglądała wówczas, gdy ją znałem.

— A ja myślałam, że moja mama była piękna!— zawołała Pollyanna z głębokim rozczarowaniem.

John Pendleton uśmiechnął się tajemniczo.

— Była istotnie piękna moje dziecko.

Pollyanna zdziwiła się jeszcze bardziej.

— Więc nie rozumiem, jak mogła być do mnie podobna!

Wybuchnął teraz głośnym serdecznym śmiechem.

— Pollyanno, jeżeli któraś dziewczyna powiedziałaby, że ja... mniejsza o to, nie słuchaj tego co mówię. Ach, ty mała figlarko! Strasznie miła jesteś, Pollyanno!

Pollyanna zarumieniła się, patrząc z przerażeniem w oczy pana Pendletona.

— Proszę pana, niech pan nie patrzy na mnie w ten sposób i niech pan ze mnie nie szydzi. Tak bym chciała być ładna, chociaż to może brzmi strasznie komicznie. Mam przecież lusterko, więc wiem.

— Wobec tego radzę ci spojrzeć w nie, gdy coś mówisz, — zauważył pan Pendleton z poważną miną.

Pollyanna otworzyła szerzej oczy.

— To samo powiedział mi kiedyś Jimmy, — zawołała.

— Naprawdę? A to łajdak! — rzekł z udanym oburzeniem pan Pendleton i zmieniając nagle wyraz twarzy, wyszeptał tuż nad jej uchem: — Masz oczy i uśmiech swojej matki, Pollyanno, więc dla mnie jesteś piękna.

Pollyanna umilkła, gdyż oczy jej w tej chwili zaszły łzami.

Chociaż te rozmowy były tak miłe i ciekawe, nie można ich było jednak porównać z długimi rozmowami prowadzonymi z Jimmy. Właściwie Pollyanna i Jimmy nie potrzebowali wcale mówić ze sobą, bo i tak, będąc razem, czuli się szczęśliwi. Jimmy był zawsze taki spokojny i zrównoważony. Czy mówili ze sobą, czy też milczeli, nie sprawiało właściwie żadnej różnicy. Jimmy zawsze ją rozumiał. Serce jej było przepojone sympatią dla Jimmy,

a sympatia ta była wielka, mocna i oszałamiająca. Jimmy nie martwił się o zaginionego siostrzeńca, nie cierpiał również po utracie pierwszej swej miłości. Chodząc, nie potrzebował opierać się na kulach, co było takie przykre, gdy się to widziało, lub gdy się o tym pomyślało. W towarzystwie Jimmy Pollyanna czuła się zadowolona, szczęśliwa i swobodna. Jimmy był taki kochany! Oby tylko na zawsze takim pozostał!

ROZDZIAŁ XXIII.

Przykuty do dwóch kijów.

Było to ostatniego dnia pobytu w obozie. Pollyannie zdarzenie to sprawiło tak wiele przykrości, że wolałaby, aby wogóle nie istniało, gdyż ono właśnie sprowadziło pierwszą chmurkę, zaciemniającą jasny horyzont wycieczki. Niejednokrotnie później Pollyanna wzdychała, wspominając tę nieprzyjemną chwilę:

— Gdybym wróciła do domu o dzień wcześniej, na pewno by się to nie stało.

Ale los chciał, że nie wróciła, musiała więc przeżyć tę wielką pamiętną przykrość.

Wczesnym rankiem owego ostatniego dnia całe towarzystwo wyruszyło na dwumilową wycieczkę do Basin.

— Będziemy mieli jeszcze jeden rybny obiad przed wyjazdem, — powiedział Jimmy i wszyscy radośnie przystali na to.

Zabrawszy drugie śniadanie i wędki, wybrano

się w drogę bardzo wcześnie. Śmiejąc się i nawołując wzajemnie, skierowali się na wąską ścieżkę biegnącą przez las. Na czele pochodu kroczył Jimmy, który znał drogę najlepiej.

Z początku tuż za nim szła Pollyanna, lecz później przyłączyła się do Jamie, idącego na samym końcu. Zdawało jej się, że dostrzegła na twarzy Jamie szalone zmęczenie i wyczerpanie, a wiedziała, że nic nie mogło mu sprawić większej przykrości jak to, gdyby ktoś to jego zmęczenie zauważył. Poza tym zdawała sobie sprawę, że już raczej wolał wesprzeć się na jej ramieniu, idąc z trudem po kamienistej drodze. Dlatego też przy pierwszej okazji, gdy nikt nie zwracał na nią uwagi, pozostała w tyle i przyłączyła się do Jamie. Została natychmiast nagrodzona; bo twarz Jamie rozjaśnił wesoły uśmiech i pod pretekstem przeskoczenia przez pień zwalonego drzewa, młodzieniec wziął ją pod rękę.

Po wyjściu z lasu droga prowadziła wzdłuż wysokiego kamiennego muru, tonącego w słońcu, po obydwu stronach którego ciągnęły się przestrzenne pastwiska, a w dali widać było pięknie zagospodarowaną farmę. Gdy się znaleźli na następnym pastwisku, Pollyanna nagle ujrzała rozkwitłe nawłocie, przyciągające wzrok wspaniałością swego wyglądu.

— Zaczekaj, Jamie! Muszę ich narwać, — zawołała gorączkowo. — Będziemy mieli śliczny bukiet do stołu! — i śpiesznie wdrapawszy się po kamiennej ścianie, zsunęła się na przeciwną jej stronę.

Nawłocie rosły tu bardzo licznie, gęsto obsypane

były nimi krzewy i każdy nowy zerwany kwiatek wydawał się Pollyannie piękniejszy. Z wesołymi okrzykami, zwróconymi w stronę czekającego Jamie, Pollyanna, sprawiająca wrażenie cudnej makówki w swym szkarłatnym swetrze, biegała od krzewu do krzewu, powiększając ciągle swój bukiet. Miała już pełne obydwie dłonie, gdy nagle rozległ się przeraźliwy ryk rozwścieczonego byka, a po nim pełen przerażenia krzyk Jamie i tupot kopyt biegnącego zwierzęcia.

To, co się stało później pamiętała Pollyanna jak przez mgłę. Wiedziała tylko, że rzuciła na ziemię zebrane kwiaty i biegła, biegła, jak nigdy dotychczas, w stronę skalistej ściany i czekającego na nią Jamie. Zdawała sobie sprawę, że zwierzę jest co raz bliżej, że już ją prawie dogania. Daleko przed sobą zobaczyła bladą, bezradną twarz Jamie i słyszała jego rozdzierający krzyk. A później, nie wiadomo skąd, dobiegł ją głos Jimmy wesoły, dodający otuchy.

Ciągle jeszcze biegła na oślep, słysząc za sobą tupot kopyt byka. Raz potknęła się i omal nie upadła. Uczuła nagle, że ją siły opuszczają, lecz tuż przy sobie usłyszała znowu głos Jimmy. W sekundę potem upadła na ziemię i usłyszała nagle coś głośno bijącego, co widocznie było sercem Jimmy. Wszystko pomieszało się razem, czyjeś głośne okrzyki, przyśpieszone oddechy, odgłos kopyt, zbliżający się co raz bardziej. I gdy już doznała wrażenia, że te kopyta depczą jej po głowie, padła nagle w ramiona Jimmy, nie pamiętając już o niczym. Prawie w tej samej chwili znalazła się po przeciw-

nej stronie skalistej ściany i dostrzegła pochylonego nad sobą Jimmy z bardzo zatroskaną twarzą.

Z histerycznym śmiechem, który był podobny raczej do szlochu, wyrwała się z jego ramion i podniosła z ziemi.

— Nie umarłam jeszcze! I to wszystko dzięki tobie, Jimmy. Jestem zupełnie zdrowa. Ach, jak przyjemnie było usłyszeć twój głos! To było naprawdę wspaniałe! Skąd się tu wziąłeś? — szeptała zadyszana.

— Głupstwo! Nie myśl, że to jakieś bohaterstwo. Po prostu... — nagły przeraźliwy krzyk zmusił go do milczenia. Odwrócił i ujrzał Jamie w pobliżu leżącego na ziemi. Pollyanna już się zerwała i biegła do niego.

— Jamie, Jamie, co się stało? — wołała. — Upadłe? Potłukłeś się bardzo?

Nie było odpowiedzi.

— Co ci się przytrafiło, stary? Wyrządziłeś sobie jakąś krzywdę? — dowiadywał się Jimmy.

I tym razem panowała cisza, po czym nagle Jamie odwrócił od nich twarz.

— Musiałem się dopiero potłuc? — wyszeptał z goryczą, wyciągając przed siebie obydwie ręce.— Czyż nie wystarcza ten ból, kiedy się widzi coś podobnego i nie można pomóc? Czyż nie wystarcza to, że człowiek przykuty jest do dwóch kijów? Zaręczam wam, że trudno cośkolwiek z takim bólem porównać!

— Ależ, Jamie, — wyszeptała Pollyanna.

— Daj spokój! — przerwał kaleka niechętnie. Usiłował teraz podnieść się z ziemi. — Nic nie mów. Nie chciałem wam urządzić takiej sceny, — dorzu-

cił złamanym głosem, odwracając się i odchodząc wąską ścieżką, biegnącą w stronę obozu.

Przez chwilę, jakby pod wpływem siły tajemniczej, Pollyanna i Jimmy spoglądali za nim bez ruchu.

— Tak, na Boga! — westchnął Jimmy, a potem dodał głosem, który drżał nieco: — To było dla niego naprawdę przykre!

— Przecież ja cię nie chwaliłam w jego obecności, — zaszlochała Pollyanna. — A widziałeś te jego ręce? Były tak pokrwawione, jakby sobie gwoździe powbijał w ciało, — szepnęła, kierując się również w stronę ścieżki.

— Dokąd idziesz, Pollyanno? — zawołał Jimmy.

— Oczywiście idę do Jamie! Sądziłeś, że go tak zostawię? Chodź, musimy go tu natychmiast sprowadzić.

Jimmy westchnął głęboko, wcale nie na temat Jamie i posłusznie ruszył za Pollyanną.

ROZDZIAŁ XXIV.

Przebudzenie Jimmy.

Wycieczka obozowa na pozór była wspaniała, lecz w gruncie rzeczy...

Pollyanna niejednokrotnie zastanawiała się, czy przykrości ostatniego dnia powstały jedynie z jej winy, czy też zawinił w tym ktoś jeszcze. Podświadomie wyczuwała, że i reszta towarzystwa przy wiozła z sobą z wycieczki pewien nieokreślony niesmak. Powodem tego niesmaku było zdarzenie

ostatniego dnia na owej fatalnej wycieczce do Basin.

Oczywiście obydwoje z Jimmy łatwo dogonili Jamie i po dłuższych wysiłkach nakłonili go do połączenia się z resztą towarzystwa. Mimo jednak że każde z oddzielna usiłowało zachowywać się tak, jakby nic specjalnego nie zaszło, nikomu nie udawało się to nadzwyczajnie. Pollyanna, Jamie i Jimmy zgrywali się nieco w swojej nadmiernej wesołości, a reszta uczestników wycieczki, nie wiedząc wprawdzie o niczym, czuła jednak, że coś jest nie w porządku i tę swoją świadomość starała się ukrywać przed młodymi. Oczywiście przy takim stanie rzeczy trudno było o stworzenie wesołej i beztroskiej atmosfery. Nawet upragnione ryby na obiad zjedzono bez większego wrażenia, a o wczesnej godzinie popołudniowej postanowiono opuścić obóz.

Znalazłszy się znowu w domu, Pollyanna doszła do wniosku, że ów nieprzyjemny epizod z rozwścieczonym bykiem nigdy nie będzie zapomniany. Lecz aczkolwiek ona sama wiedziała, że nie potrafi o tym zapomnieć, nie miała absolutnie pretensji do innych, jeżeli nawet przeszli nad tym do porządku dziennego. O przykrym tym zdarzeniu myślała szczególnie, ilekroć patrzyła na Jamie. Wciąż przed oczami jej majaczyła jego pobladła twarz i ręce zbroczone krwią. Dotkliwy ból w sercu wzrastał co raz bardziej, to też obecność Jamie stała się teraz dla niej prawdziwą męką. Jedynie przed samą sobą zwierzała się szczerze, że nie lubi teraz przebywać z dawnym swoim przyjacielem, nie lubi nawet z nim rozmawiać, mimo wszystko jednak przebywała w jego towarzystwie ostatnio o wiele

częściej. Lękała się po prostu, aby Jamie nie odgadł jej myśli, miała dlań zawsze jakieś miłe słówko czy uśmiech i całkiem ostentacyjnie szukała nawet takich chwil, kiedy mogła z nim pozostawać sam na sam. Nie zawsze jej się to wprawdzie udawało, bowiem Jamie zdawał się unikać ostatnio wszelkich rozmów z Pollyanną.

Najwidoczniej, tłumaczyła sobie Pollyanna, zbyt dobrze jeszcze pamięta ów tragiczny wypadek z bykiem. Wprawdzie nigdy na ten temat nie wspomniał ani słowem i był teraz nawet weselszy niż dotychczas, Pollyanna jednak zdawała się wyczuwać we wszystkim, co mówił, jakąś gorycz ukrytą, której do tej pory nigdy nie dostrzegała. Czasami jednak Jamie całkiem bezwiednie lubował się w samotnych z nią rozmowach. Tak samo było owego dnia, kiedy obydwoje obserwowali towarzystwo grające w tenisa.

— Mimo wszystko, Pollyanno, nikt mnie tak dobrze nie rozumie, jak ty, — powiedział Jamie.

— Nikt cię nie rozumie? — Pollyanna w pierwszej chwili nie orientowała się, co młodzieniec ma na myśli. Od pięciu minut obserwowali grających, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa.

— Tak, bo ty kiedyś także nie mogłaś chodzić.

— Ach, tak, naturalnie, — szepnęła Pollyanna, zdając sobie sprawę, że obecne zażenowanie odzwierciedlało się na jej twarzy, gdyż Jamie zaśmiał się i szybko zmienił temat rozmowy, mówiąc:

— Słuchaj, Pollyanno, dlaczego ty właściwie nie grasz? Ja bym grał, gdybym był na twoim miejscu. Zapomnij o tym, co mówiłem. Nie powinienem był pokazywać ci tego z tej strony!

Uśmiechnęła się również i rzekła:

— Nie, nie, oczywiście! — ale nie mogła jakoś zapomnieć. To wszystko sprawiło, że Jamie niepokoił ją jeszcze więcej i że pragnęła jeszcze bardziej mu pomóc.

— Muszę mu udowodnić, że najchętniej przebywam w jego towarzystwie! — myślała, śpiesząc w stronę placu tenisowego, aby zagrać choć jedną partię.

Nie tylko jednak Pollyanna wyczuwała tę dziwną atmosferę, jaka panowała obecnie. Wyczuwał ją również Jimmy Pendleton, chociaż usiłował tego nie okazywać.

Jimmy podczas tych dni nie czuł się szczęśliwy. Z beztroskiego młodzieńca, którego jedynym celem było ukończenie studiów, przeistoczył się w pełnego niepokoju mężczyznę, odczuwającego lęk przed rywalem, który chciał mu zrabować serce ukochanej dziewczyny.

Teraz dopiero Jimmy zdawał sobie sprawę, że jest poważnie zakochany w Pollyannie. Przypuszczał, że kochał ją już od bardzo dawna. Czuł się bezradny, owładnięty zupełnie tą miłością. Orientował się, że nawet jego ukochane mosty były niczym w porównaniu z radosnym dziewczęcym uśmiechem i z miłym słówkiem, usłyszanym z jej ust. Wiedział, że najbardziej trapi go powątpiewanie co do uczuć Pollyanny i lęk przed możliwościami Jamie.

Dopiero w owym dniu kiedy widział niebezpieczeństwo, grożące Pollyannie na pastwisku, zdał sobie sprawę, jak pusty byłby dla niego świat, ten jego, świat bez niej. I dopiero gdy trzymał ją w ramionach uświadomił sobie, jak bardzo była mu

droga. Czując jej ręce na swojej szyi, czuł jednocześnie, że należała niepodzielnie do niego i nawet ta jedna chwila niebezpieczeństwa wydała mu się czymś bardzo przyjemnym i niezapomnianym. A potem zobaczył twarz Jamie i jego zbroczone krwią ręce. Wyczytał z nich tylko jedno: Jamie także kochał Pollyannę, lecz nie mógł jej pomóc „przykuty do dwóch kijów.“ Tak przecież sam powiedział. Jimmy uświadomił sobie, jak by się czuł na miejscu tamtego, gdyby widział, że ktoś inny ratuje istotę najbardziej ukochaną.

Dnia tego wrócił do obozu, przesiąknięty lękliwymi i buntowniczymi myślami. Zastanawiał się nad tym, czy Pollyanna także żywi jakieś uczucie dla Jamie i tego właśnie najbardziej się obawiał. Jeżeli nawet uczucie to było całkiem nikłe, to rad nie rad, powinien był usunąć się w cień, aby Jamie mógł bez wysiłku wzbudzić w dziewczynie uczucie głębsze i gorętsze. Teraz już Jimmy zaczął się buntować. Dlaczego właśnie on miał ustąpić tamtemu? Przecież taka walka nie byłaby niesprawiedliwa.

Ale w tej samej chwili zarumienił się po korzonki włosów. Więc sprawiedliwa byłaby ta walka? Czyż walka między nim i Jamie może być sprawiedliwa? Doznał teraz takiego wrażenia, jak przed laty, gdy był jeszcze chłopcem i walczył o zerwane jabłko z jakimś nowym kolegą, lecz już po pierwszym uderzeniu skonstatował, że kolega ów ma chorą rękę. Oczywiście walkę przerwał i pozwolił tamtemu zjeść owe upragnione jabłko. Teraz tłumaczył sobie, że sytuacja była całkiem inna. Przecież tu nie o jabłko chodziło. Chodziło tu o szczęście całego życia, a może nawet i o szczęście Pollyanny.

Możliwe, że nie żywiła żadnego uczucia dla Jamie, a natomiast kochała swego dawnego przyjaciela Jimmy, lecz nie chciała się z tym zdradzić. Ale on ją ośmieli. On ją...

I znowu Jimmy zarumienił się nieoczekiwanie. Zmarszczył brwi niechętnie. Żeby tylko mógł zapomnieć o tym, jak wyglądał Jamie, gdy mówił, że jest „przykuty do dwóch kijów!" Żeby tylko... Ale cóż by miał z tego? Walka i tak byłaby nierówna, zdawał sobie z tego dobrze sprawę. Wiedział również, że wszelkie postanowienia i tak na nic się nie zdadzą, bo choć by nie wiem jak było, on i tak będzie tylko czekał i patrzył. Zostawi wszelkie możliwości Jamie, a jeżeli Pollyanna okaże, że go kocha, odejdzie spokojnie i na zawsze zniknie z ich życia. Żadne z nich nigdy się nie dowie, jak wielka gorycz przenika jego serce. Wróci do swoich mostów, jakby te mosty mogły wytrzymać porównanie z Pollyanną! Ale tak być musi. Inaczej być nie może.

Wszystko to było bardzo piękne i bohaterskie i Jimmy upajał się już swoim męczeństwem, gdy wreszcie sen go zmorzył tej nocy. Lecz męczeństwo w teorii i w praktyce,to całkiem dwie różne rzeczy. Całkiem łatwo było uczynić takie postanowienie wśród nocy, okazało się jednak rzeczą trudniejszą zachowanie spokoju, gdy się prawie codziennie widywało Pollyannę i Jamie razem. Szczególnie denerwujące było zachowanie Pollyanny w stosunku do przybranego syna pani Carew. Jimmy doznawał wrażenia, jakby Pollyanna istotnie zakochana była w kalece, tak troskliwie się nim opiekowała i tak gorliwie spełniała każde jego życzenie. I jakby dla

zadokumentowania podejrzeń Jimmy, nadszedł dzień, kiedy Sadie Dean też wypowiedziała się na ten temat.

Całe towarzystwo znajdowało się na korcie tenisowym. Sadie siedziała na uboczu, dotrzymując towarzystwa Jimmy.

— A teraz pani będzie grać z Pollyanną, prawda? — zapytał młodzieniec.

Sadie potrząsnęła przecząco głową.

— Pollyanna dzisiaj grać nie będzie.

— Nie będzie grała? — zmarszczył brwi Jimmy, bo liczył na to bardzo że właśnie on z nią dzisiaj zagra. — A dlaczego?

Przez krótką chwilę Sadie Dean nie odpowiadała, poczem rzekła z wyraźnym wysiłkiem:

— Powiedziała mi wczoraj wieczorem, że stanowczo za dużo ostatnio gra w tenisa i uważa, że to jest nietakt w stosunku do pana Carewa, który przecież grać nie może.

— Rozumiem, ale... — Jimmy umilkł bezradnie, a zmarszczka na jego czole pogłębiła się jeszcze bardziej. W następnej chwili zdziwiła go jakaś tajemnicza nuta, brzmiąca w głosie Sadie Dean, gdy odezwała się znowu:

— Ale on jej przecież nie zabrania. Wogóle nie lubi, gdy ktoś poświęca się dla niego. Takie poświęcenie najbardziej go boli. Pollyanna tego nie może zrozumieć. Tylko ja go dobrze rozumiem.

Słowa jej i brzmienie głosu przyprawiły serce Jimmy o niewytłómaczone drżenie. Spojrzał dziewczynie ostro w oczy. Jakieś pytanie cisnęło mu się na usta. Powstrzymywał je przez chwilę, po czym,

usiłując ukryć niepokój, uśmiechnął się na pozór obojętnie.

— Chyba pani nie podejrzewa, panno Dean, że między tym dwojgiem istnieje coś więcej, niż zwykła przyjaźń?

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

— Gdzie pan ma oczy właściwie? Przecież ona go ubóstwia! Wzajemnie się ubóstwiają, — poprawiła się śpiesznie.

Jimmy z niewyraźnym okrzykiem podniósł się i szybko odszedł. Za nic w świecie nie mógł pozostać dłużej. Nie chciał teraz więcej rozmawiać z Sadie Dean. Oddalił się tak nagle, że nie zauważył, że Sadie Dean również śpiesznie odwróciła się i poczęła uważnie wpatrywać się w trawnik, jakby tam czegoś szukała. Najwidoczniej i ona nie miała teraz ochoty rozmawiać z nim na ten temat.

Przekonywał samego siebie, że to wszystko było nieprawdą. Nie można było przywiązywać wagi do słów wypowiedzianych przez Sadie Dean. Mimo to jednak tego, co usłyszał, nie mógł w żaden sposób zapomnieć. Nieprzyjemna świadomość zabarwiała wszystkie jego myśli i majaczyła przed oczami jak cień, ilekroć widział Jamie z Pollyanną. Uważnie obserwował ich twarze, wsłuchiwał się w brzmienie ich głosów, a po pewnym czasie doszedł do wniosku, że to wszystko jednak było prawda, że kochają się istotnie i pod wpływem tej świadomości czuł, że serce w jego piersi stało się nagle kawałkiem ciężkiego ołowiu. Wierny jednak danej samemu sobie obietnicy, postanowił odejść. Wszystko i tak było na nic. Pollyanna jest nie dla niego.

Nastały pełne niepokoju dni dla Jimmy. Nie

chciał przerywać codziennych wizyt lękając się, że tamci mogą się czegoś domyśleć, a przebywanie w towarzystwie Pollyanny było dla niego prawdziwą męką. Nawet obecność Sadie Dean stała się dlań teraz wybitnie nieprzyjemna, bo zdawał sobie dokładnie sprawę, że to właśnie ona otworzyła mu oczy na wszystko. O rozmowach jakichkolwiek z Jamie w obecnych warunkach nie mogło być mowy, pozostawała więc tylko pani Carew. Ona stanowiła jedyną jego ostoję i pociechę. W smutku, czy radości, potrafiła go zawsze zrozumieć i znała się nawet na takiej dziedzinie jak mosty, które w przyszłości zamierzał budować. Była mądra i niezwykle subtelna, potrafiła zachować się odpowiednio w każdej sytuacji. Pewnego dnia mało już brakowało, żeby jej powiedział o owej tajemniczej „paczce". W ostatniej chwili jednak przerwało mu nagłe pojawienie się Johna Pendletona. John Pendleton zawsze przychodził w najbardziej nieodpowiednich momentach, pomyślał z wściekłością Jimmy, ale gdy przypomniał sobie, ile dobrego John Pendleton dlań uczynił, doznał uczucia zawstydzenia.

Tajemnicza „paczka" pochodziła z dawnych lat chłopięcych i Jimmy nikomu o niej nie wspominał z wyjątkiem Johna Pendletona, a było to owego dnia, kiedy opiekun postanowił go zaadoptować. „Paczka" była właściwie dużą białą kopertą, pożółkłą już trochę, zalakowaną dużą czerwoną pieczęcią. Wręczył mu ją ojciec przed śmiercią i na kopercie widniał napis:

„Dla mego syna, Jimmy. Pragnę, aby koperta została otwarta w trzydziestą rocznicę jego urodzin.

W razie śmierci mego syna kopertę należy otworzyć natychmiast".

W swoim czasie Jimmy niejednokrotnie zastanawiał się nad zawartością koperty, później jednak bywały takie chwile, kiedy o jej istnieniu zapominał zupełnie. Podczas pobytu swego w Sierocińcu obawiał się najbardziej tego, żeby mu ktoś tego skarbu nie odebrał. Nie rozstawał się z kopertą ani na chwilę, nosząc ją na piersiach za koszulą. W późniejszych latach za namową opiekuna Jimmy zdecydował się schować ją bezpiecznie w safesie pana Pendletona.

— Nie wiemy przecież, jaką przedstawia wartość, — tłumaczył John Pendleton z uśmiechem. — Ojcu twemu musiało na tym bardzo zależeć, więc nie wolno nam zgubić tej koperty.

— I ja bym jej zgubić nie chciał, — westchnął Jimmy, — ale na wartość jej zbytnio nie liczę, sir. Biedny papa, o ile sobie przypominam, nie posiadał przed śmiercią nic wartościowego.

I właśnie o tej kopercie Jimmy miał już ochotę powiedzieć pani Carew, lecz przeszkodził mu w tym John Pendleton.

— Może i lepiej, że tak się stało, — doszedł później do wniosku, gdy wracał do domu. — Gotowa byłaby pomyśleć, że ojciec ukrywał jakąś tajemnicę, która mogłaby pozostawić plamę i na moim życiu. Za żadną cenę nie chciałbym, żeby pani Carew nabrała złego mniemania o ojcu.

ROZDZIAŁ XXV.

Pollyanna i gra w zadowolenie.

Przed połową września Carewowie i Sadie Dean wyjechali z powrotem do Bostonu. Pollyanna całkiem mimo woli odetchnęła z ulgą, gdy pociąg uwożący jej gości oddalił się wreszcie od stacji Beldingsville. Nie zwierzyłaby się z tym nikomu i nawet, będąc supełnie sama, wolała o tym nie myśleć.

— To nie znaczy, że nie żywię dla nich prawdziwie serdecznego uczucia, — westchnęła, spoglądając za znikającym w oddali pociągiem. — Tylko dlatego, że... że tak mi strasznie żal tego biednego Jamie, a poza tym jestem naprawdę strasznie zmęczona. Z prawdziwą radością wrócę do dawnych spokojnych dni spędzanych w towarzystwie Jimmy.

Do tych spokojnych dni jednak nie wróciła. Były one wprawdzie po wyjeździe Carewów bardzo spokojne, lecz nie spędzała ich w towarzystwie Jimmy. Jimmy przychodził teraz bardzo rzadko, a jeżeli nawet zjawiał się, to nie był już tym dawnym Jimmy, którego tak dobrze znała. Był milczący, nerwowy i ponury, albo też bardzo wesoły i rozmowny, lecz stwarzał atmosferę tak dziwną, że Pollyanna była tym zaskoczona. Wkrótce i on wyjechał do Bostonu, więc nie widywała go już zupełnie.

Ogarnęło ją zdziwienie, że tak bardzo poczęła nagle odczuwać jego brak. Nawet świadomość, że

przebywał w Beldingsville i że może w każdej chwili przyjść, była o wiele przyjemniejsza, niż ta straszna pustka jego nieobecności i Pollyanna tęskniła nawet za ponurym jego nastrojem, jaki ją denerwował ostatnio. Wreszcie pewnego dnia oburzyła się na samą siebie, a w oczach jej pojawiły się gniewne błyski.

— Cóż to, Pollyanno Whittier, — zgromiła się surowo, — mógłby ktoś pomyśleć, że jesteś zakochana w Jimmy Pendletonie! Czyż o nikim już myśleć nie możesz, tylko o nim?

Postanowiła być nadal wesoła i swobodna i raz na zawsze pozbyć się tych nieprzyjemnych myśli o Jimmy Pendletonie. Złożyło się tak dziwnie, że dopomogła jej w tym całkiem mimo woli ciotka Polly.

Wraz z wyjazdem Carewów obydwie utraciły źródło swoich stałych dochodów i ciotka Polly zaczęła się znowu martwić złym stanem swych finansów.

— Naprawdę, nie wiem, Pollyanno, co z nami będzie, — jęczała ustawicznie. — Oczywiście odpoczniemy teraz trochę po tym lecie; zebrałyśmy pokaźną sumkę, ale przecież te pieniądze wkrótce się rozejdą. Żebyśmy mogły coś takiego robić, co by nam przynosiło stały dochód!

Pewnego dnia po takim właśnie narzekaniu, wzrok Pollyanny spoczął na miesięczniku, w którym wyznaczona była nagroda za napisanie konkursowej noweli. Propozycja była nader kusząca. Nagrody wyznaczono liczne i duże. Warunki podane nie przedstawiały zbyt wielkich trudności. Gdy się je czytało, doznawało się wrażenia, że zdobycie

pierwszej nagrody było najłatwiejszą rzeczą na świecie. Ogłoszenie konkursu zawierało nawet jakby prośbę do czytelników o przyjęcie czynnego w niej udziału.

„Konkurs jest właśnie dla ciebie, tylko dla ciebie czytelniku",—brzmiał apel.—Cóż z tego, że nigdy nie pisałeś nowel! Nie znaczy to wcale, że pisać nie potrafisz. Radzimy spróbować. Chciałbyś zdobyć trzy tysiące dolarów? Dwa tysiące? Tysiąc? Pięćset, a nawet sto? Więc dlaczego nie miałbyś się ubiegać o nagrodę?"

— Właśnie o to idzie! — zawołała Pollyanna, — klaszcząc w dłonie — Cieszę się ogromnie, że to zobaczyłam! Wyraźnie mówią, że i ja powinnam spróbować. Myślę, że potrafię. Powiem zaraz o tym cioci, żeby się biedaczka nie martwiła.

Kierowała się już ku drzwiom, lecz w ostatniej chwili przystanęła.

— A jeżeli mi się nie uda? Przecież lepiej później sprawić jej niespodziankę, a jak zdobędę pierwszą nagrodę...

Tej nocy leżąc już w łóżku, układała plany, co zrobi z trzema tysiącami dolarów.

Nowelę zaczęła pisać nazajutrz. Dokładnie mówiąc, przygotowała sobie arkusz papieru, zatemperowała pół tuzina ołówków i usadowiła się przy staromodnym biurku Harringtonów w bawialni. Złamawszy dwa ołówki, napisała trzy słowa na papierze, który położyła przed sobą. W pewnej chwili głęboko westchnęła i odłożywszy trzeci połamany ołówek, sięgnęła po czwarty zielony, który zatemperowany był najlepiej. Nagle zmarszczyła brwi.

— O Boże! Skąd oni właściwie biorą te tytuły?— szepnęła z rozpaczą. — Może lepiej wpierw napisać nowelę, a później dopiero znaleźć tytuł. Stanowczo trzeba tak zrobić. — Przekreśliła grubą kreską trzy napisane wyrazy, szykując się do rozpoczęcia noweli.

Początek jednak nie był taki łatwy. Napisane zdania okazały się mało przejrzyste i po upływie pół godziny cały arkusz papieru był prawie zupełnie zakreślony z wyjątkiem kilku pozostałych wyrazów.

W tym momencie ciotka Polly weszła do pokoju, kierując spojrzenie zmęczonych oczu na siostrzenicę.

— Pollyanno, co ty tam robisz? — zapytała.

Pollyanna zaśmiała się, czerwieniąc się mimo woli.

— Nic ważnego, ciociu. W każdym razie nie wiele jeszcze zrobiłam, — przyznała ze smutkiem. — A poza tym to jest sekret, którego teraz jeszcze nie mogę zdradzić.

— Dobrze, rób jak chcesz, — westchnęła ciotka Polly. — Ale jeżeli zamierzasz coś robić z tymi papierami, pozostawionymi przez pana Harta, to uprzedzam cię, że nic z tego nie będzie. Próbowałam już sama dwukrotnie.

— Nie, ciociu, to nie o te papiery chodzi. Ta moja robota jest o wiele przyjemniejsza, — zawołała Pollyanna z triumfem, powracając do przerwanej pracy. Znowu poczęła planować, co zrobi, jak zdobędzie trzy tysiące dolarów.

Jeszcze przez następne pół godziny pisała, kreśliła i gryzła ołówek, po czym, nie tracąc wciąż pew-

ności siebie, zabrała papier i ołówki i opuściła pokój.

— Przypuszczam, że lepiej pójdzie u mnie na górze, — pomyślała, biegnąc przez hall. — Sądziłam, że powinnam to robić przy biurku, bo trzeba poważnie traktować pracę literacką, ale dzisiaj jakoś biurko nie daje mi natchnienia. Spróbuję na parapecie okna w moim pokoju.

Lecz parapet okna okazał się widocznie jeszcze mniej odpowiednim miejscem, sądząc z pokreślonych stronic, piętrzących się przed niedoszłą literatką. Po upływie następnej pół godziny Pollyanna skonstatowała nagle, że nadeszła pora obiadu.

— Jestem zadowolona, że tak się stało, — westchnęła. — Wolę raczej przygotowywać obiad niż pisać nowele. Chociaż nowele także pragnę pisać, ale nie miałam pojęcia, że to taka straszna robota.

Podczas następnego miesiąca Pollyanna pracowała pilnie i wytrwale, lecz wkrótce przekonała się, że napisanie „takiej sobie noweli" nie jest wcale rzeczą łatwą do wykonania. Z natury jednak nie należała do osób, opuszczających ręce i upadających na duchu. Zresztą, majaczyła wciąż przed nią nagroda w wysokości trzech tysięcy dolarów, a poza tym wiele nagród innych, z których jedną w najgorszym razie mogła zdobyć! Przecież nawet sto dolarów też było pokaźną sumą! Tak więc dzień po dniu pisała, kreśliła, i przepisywała, aż wreszcie nowela leżała przed nią zupełnie wykończona. Teraz z pewną bojaźnią niosła rękopis Milly Snow do przepisania na maszynie.

— Czyta się zupełnie przyjemnie, to znaczy, że ma sens, — myślała Pollyanna, biegnąc spiesznie

w stronę mieszkania pani Snow. — Bardzo miła historyjka o sympatycznej dziewczynie. Ale boję się, że jest tam coś nieścisłego. W każdym razie nie mogę zbytnio liczyć na pierwszą nagrodę, więc nie będę rozczarowana jak zdobędę ostatnią.

Ilekroć przychodziła do Snowów, zawsze myślała o Jimmy, bo wszakże koło ich domku ujrzała go po raz pierwszy przed laty, gdy uciekł z sierocińca. I dzisiaj pomyślała o nim, z bijącym sercem. Lecz zaraz z dumą podniosła głowę, co czyniła teraz zawsze na myśl o Jimmy, podbiegła szybko do drzwi mieszkania i zadzwoniła.

Jak zwykle panie Snow powitały ją z serdeczną radością i, jak zwykle, rozmowa potoczyła sią na temat gry w zadowolenie. W żadnym z domów w Beldingsville nie przywiązano się tak do tej gry, jak u Snowów.

— I co tu nowego słychać? Jak ci się powodzi?— zapytała Pollyanna, gdy wyjawiła już cel swojej wizyty.

— Wspaniale! — zawołała rozpromieniona Milly Snow. — Ta twoja robota jest już trzecia w tym tygodniu. Ach, Pollyanno, tak się cieszę, że nauczyłaś mnie pisać na maszynie, bo mogę teraz swobodnie pracować w domu! Wszystko to zawdzięczam tylko tobie.

— Głupstwa pleciesz! — zaoponowała Pollyanna wesoło.

— Przecież tak jest. Przede wszystkim nie doszła bym nigdy do tego, gdyby nie twoja gra, dzięki której i mama lepiej się czuje. A później zaproponowałaś mi naukę i pomogłaś kupić maszynę.

Ciekawa jestem, jak bym wyglądała, gdybym nie miała ciebie!

Lecz i tym razem Pollyanna zaprotestowała. Przerwała jej jednak zaraz pani Snow, siedząca przy oknie w fotelu na kółkach. Tak poważnie i z takim namaszczeniem pani Snow mówiła, że Pollyanna całkiem bezwiednie przejęła się jej słowami.

— Słuchaj, dziecko, wątpię, czy zdajesz sobie sprawę z tego, coś uczyniła. Bardzo bym chciała, żebyś była świadoma tego! W oczach twoich dzisiaj widzę wyraz, którego wolałabym nie widzieć. Wiem, że jesteś czymś bardzo strapiona. Widzę to dokładnie. Nic dziwnego, śmierć wuja, obecne warunki ciotki, lepiej nie mówmy o tym. Ale chciałam jeszcze coś powiedzieć, moja droga, i musisz mnie wysłuchać, bo nie zniosę tego cienia w twoich oczach, żeby ci nie wytłumaczyć, ile zrobiłaś dobrego dla mnie, dla całego naszego miasta i dla wielu, wielu ludzi.

— Ależ, pani Snow! — zaprotestowała Pollyanna z zażenowaniem.

— Ach, wiem przecież, co mówię, — skinęła głową chora. — Przede wszystkim spójrz na mnie. Czyż nie byłam rozkapryszonym bezradnym stworzeniem, dopóki ciebie nie poznałam? Czyż nie otworzyłaś mi oczu na wiele rzeczy i nie przekonałaś mnie, że posiadam właśnie to, czego pragnę?

— Ach, pani Snow, więc byłam naprawdę aż tak wielką impertynentką? — wyszeptała Pollyanna z rumieńcem na twarzy.

— To nie była żadna impertynencja, — zaprotestowała pani Snow z powagą. — Przynajmniej ty

tego za impertynencję nie uważałaś i dlatego jest różnica. Również nikomu nie wygłaszałaś kazań, kochanie. Gdybyś je wygłaszała, z pewnością nigdy nie zaczęłabym grać w twoją grę, jak zresztą i wszyscy inni. Nauczyłaś mnie jednak w nią grać i spójrz, jaka zaszła zmiana we mnie i w Milly. Czuję się o wiele lepiej do tego stopnia, że mogę siedzieć w fotelu i mogę poruszać się w nim po całym mieszkaniu. To już dla mnie posiada bardzo wielkie znaczenie. Nawet doktór powiada, że zawdzięczam to wszystko twojej grze. A weźmy innych, mieszkających w naszym mieście, o których ciągle słyszę. Nelly Mahoney złamała rękę i była tak zadowolona, że nie złamała nogi, że o bólu w ręce zupełnie zapomniała. Stara pani Tibbits straciła słuch, lecz cieszy się, że nie straciła wzroku i czuje się zupełnie szczęśliwa. Czy pamiętasz zezowatego Joe, z którego się wyśmiewano? I on się teraz już tym wszystkim nie przejmuje, bo uprawia stale grę w zadowolenie. Ktoś go nauczył tej gry i zrobił zeń innego człowieka. Ale wiesz, kochanie, że gra ta dopomogła ludziom nie tylko w naszym mieście. Wczoraj dopiero miałam list od kuzynki z Massachusetts, w którym mi pisze o pani Tomaszowej Payson, która tam także mieszka. Czy pamiętasz Paysonów? Mieszkali kiedyś na Wzgórzu Pendletona.

— Ach, tak, oczywiście że ich pamiętam, — zawołała Pollyanna.

— Otóż wyjechali stąd tej samej zimy, kiedy ty byłaś w sanatorium i przenieśli się do Massachusetts, gdzie mieszka moja siostra. Siostra zna ich

doskonale. Pisze mi, że pani Payson opowiadała jej o tobie i o tym, jak twoja gra odwiodła ją od rozwodu. Obecnie już nie tylko Paysonowie grają tam w twoją grę, lecz zarazili grą innych, którzy czują się teraz o wiele szczęśliwsi. Widzisz więc, kochanie, że jeżeli już ktoś przejął się tą twoją grą, to nie może być mowy, aby ją kiedykolwiek zarzucił. Chciałam, abyś o tym wiedziała. Sądziłam, że to ci może pomóc czasami, gdybyś sama zmuszona była grać w swoją grę. Nie myśl, że nie rozumiem, jak ciężko musi ci być w takich chwilach.

Pollyanna podniosła się z krzesła. Uśmiechała się, lecz w oczach jej błyszczały łzy, gdy podawała staruszce rękę na pożegnanie.

— Bardzo dziękuję, pani Snow, — szepnęła niepewnie. — Czasami bywa naprawdę ciężko i może istotnie powinnam sobie w takich chwilach moją grę przypomnieć. W każdym razie jednak, — poweselała nagle, — jeżeli nawet nie potrafię sama już grać, to zadowolona jestem, gdy sobie pomyślę, że inni ludzie w nią grają.

Pollyanna szła do domu w smutnym nastroju tego popołudnia. Wzruszona słowami pani Snow, na dnie serca kryła jeszcze jedną przyczynę swego smutku. Myślała właśnie o ciotce Polly, która grała w zadowolenie tak rzadko i zastanawiała się nad tym, czy ona sama zawsze pamięta o grze wówczas, kiedy powinna.

— Możliwe, że niekiedy nie potrafię cieszyć się z tego, co mówi ciotka Polly, — obwiniała samą siebie. — Możliwe, że gdybym sama potrafiła grać lepiej w zadowolenie, przekonałabym do mojej gry

i ciotkę Polly. W każdym razie muszę spróbować. Jak nie wezmę się w karby, to wszyscy tamci ludzie będą grali w moją grę lepiej, niż ja sama!

ROZDZIAŁ XXVI.

John Pendleton.

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem Pollyanna wysłała do redakcji nowelę, pięknie przepisaną na maszynie. Nazwiska zdobywców nagród miały być ogłoszone dopiero w kwietniu, jak podawał miesięcznik, to też Pollyanna postanowiła czekać cierpliwie.

— Nie wiem dlaczego, ale zadowolona jestem, że to jeszcze tak daleko, — myślała, — bo przez całą zimę będzie mi się zdawało, że zdobędę pierwszą nagrodę, a nie ostatnią. Jeżeli ją istotnie zdobędę, to będzie cudownie, a jeżeli jej nie zdobędę, to nie będę miała chociaż przed sobą wielu, wielu tygodni przykrości i smutku. Zresztą zadowolnię się z pewnością nawet nagrodą najmniejszą. — O tym, że może nie zdobyć żadnej nagrody, Pollyanna nawet nie myślała. Nowela, pięknie przepisana przez Milly Snow, wyglądała tak imponująco, jakby już była co najmniej wydrukowana.

Boże Narodzenie tego roku nie było zbytnio przyjemne w dworze Harringtonów, mimo wszelkich możliwych wysiłków Pollyanny. Ciotka Polly nie zezwoliła tego dnia na żadne uroczystości i zachowywała się tak dziwnie, że Pollyanna nie

miała odwagi zaofiarować jej najdrobniejszego nawet gwiazdkowego upominku.

W wieczór wigilijny przyszedł John Pedleton. Pani Chilton wytłumaczyła się bólem głowy, natomiast Pollyanna, zmęczona całodziennym przebywaniem z ciotką, powitała gościa radośnie. Lecz i tym razem spotkała ją przykrość, bowiem John Pendleton przywiózł list od Jimmy, w którym nie było nic, oprócz wspólnych planów jego i pani Carew na urządzenie wspaniałej uroczystości świątecznej w Domu dla Pracujących Dziewcząt. Pollyanna była w takim nastroju, że nie mogła po prostu słyszeć o żadnych świątecznych uroczystościach, a tym bardziej o uroczystościach projektowanych przez Jimmy.

John Pendleton jednak nie przestawał o tym mówić, chociaż list Jimmy dawno został przeczytany.

— Wielkie dzieło! — zawołał, chowając list do kieszeni.

— Tak, rzeczywiście wspaniałe! — wyszeptała Pollyanna, siląc się na entuzjazm.

— I to ma być dzisiaj, dziś wieczorem? Strasznie bym chciał wpaść tam choć na chwilę.

— Tak, — wyszeptała znowu Pollyanna, udając zainteresowanie.

— Pani Carew odrazu domyślała się, że będzie miała dużą pomoc w Jimmy, uśmiechnął się pan Pendleton. — Ja jednak nie przypuszczałem, że chłopak będzie miał ochotę grać rolę świętego Mikołaja przed audytorium, złożonym ze stu młodych kobiet!

— Widocznie czuje się w tym towarzystwie do-

skonale! — zauważyła Pollyanna, unosząc w górę głowę.

— Możliwe. Ale musisz przyznać, że istnieje pewna różnica między budową mostów i takim zajęciem.

— O tak, naturalnie.

— Podziwiam Jimmy i przypuszczam, że te dziewczęta nigdy chyba nie miały w życiu takich uroczystych świąt.

— Tak, rzeczywiście, — wybąkała Pollyanna, siląc się na zupełny spokój i wmawiając sobie, że wieczór wigilijny, spędzony w towarzystwie Johna Pendletona powinien jej się wydać bardzo miły i interesujący.

Nastała chwila ciszy, podczas której John Pendleton sennym wzrokiem śledził skaczące płomienie na kominku.

— Nadzwyczajna kobieta z tej pani Carew, — oznajmił w pewnej chwili.

— O, tak, zupełnie niezwykła! — tym razem entuzjazm, brzmiący w głosie Pollyanny, był najzupełniej szczery.

— Jimmy pisał mi niedawno, ile ta kobieta robi dla tych biednych dziewcząt, — ciągnął dalej pan Pendleton, mając ustawicznie wzrok utkwiony w kominku. — W ostatnim liście bardzo obszernie rozpisywał się na ten temat. Twierdzi, że zawsze miał dla niej wiele szacunku, lecz teraz dopiero przekonał się, jakie pani Carew posiada złote serce.

— Jest naprawdę kochana, ta nasza pani Carew, — zawołała Pollyanna z zapałem. — Zawsze na niej można polegać. Kocham ją serdecznie.

John Pendleton drgnął nieoczekiwanie. Zwró-

cił się teraz do Pollyanny, patrząc na nią pytająco.

— Wiem o tym, moja droga. Jeżeli o to idzie, to przypuszczam, że i inni także ją kochają.

Serce w piersi Pollyanny zabiło mocno. Nagła myśl poczęła ją jeszcze bardziej dręczyć. Jimmy! Czyż pan Pendleton sądził, że i Jimmy kocha się w pani Carew?

— Chce pan powiedzieć...? — wyszeptała. Nie miała siły dokończyć.

Dziwnie zdenerwowany John Pendleton podniósł się z fotela.

— Myślałem... o tych dziewczętach oczywiście,— odparł swobodnie, jeszcze ciągle się uśmiechając.— Czyż nie wierzysz w to, że te jej pupilki darzą ją również serdecznym uczuciem?

Pollyanna bąknęła „tak, oczywiście", po czym dopowiedziała kilka niewyraźnych słów, nie chcąc zignorować milczeniem uwagi pana Pendletona. Przez głowę jej przebiegały bezładne myśli i przez resztę wieczoru milczała, nie słuchając tego, co mówił jej towarzysz.

John Pendleton także nie miał jakoś ochoty do rozmowy. Kilkakrotnie przeszedł przez pokój i usiadł wreszcie na swym dawnym miejscu. Ale gdy zaczął znowu mówić, mówił oczywiście i tym razem wyłącznie o pani Carew.

— Ciekawa jest historia tego jej Jamie, nieprawdaż? Ja tam nie wierzę, że on jest siostrzeńcem.

Gdy Pollyanna zbyła to milczeniem, pan Pendleton ciągnął dalej po chwili ciszy.

— W gruncie rzeczy, to bardzo miły chłopiec. Ja

osobiście ogromnie go lubię. Posiada dużo dystynkcji i wrodzonego taktu. Ona świata za nim nie widzi. Ciekawe, co z tego będzie w przyszłości.

Znowu nastało milczenie i nagle John Pendleton odezwał się zmienionym głosem:

— Dziwne jest także, że po raz drugi nie wyszła za mąż. Przecież to bardzo piękna kobieta, nie uważasz?

— Tak, naturalnie, — mruknęła Pollyanna, myśląc o czymś innym. — Rzeczywiście bardzo ładna.

Przy ostatnich słowach głos Pollyanny załamał się nieco. Spojrzała w pewnej chwili na odbicie własnej twarzy w lustrze i pomyślała o tym, że jej chyba nikt nie mógł nazwać „piękną dziewczyną".

John Pendleton śledził za biegiem własnych myśli, zadowolony z siebie, obserwując z zajęciem tańczące płomienie. Nie czekał właściwie na odpowiedź ze strony Pollyanny, wszystko mu było jedno. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, czy Pollyanna go słucha. Po prostu miał ochotę mówić, a w pewnej chwili całkiem nieoczekiwanie wstał i pożegnał się.

Pollyanna już od pół godziny tęskniła za tą chwilą pożegnania. Pragnęła nade wszystko w świecie pozostać sama, lecz gdy poszedł, zapragnęła go znowu zobaczyć. Uświadomiła sobie, że nieprzyjemnie jej było pozostać teraz sam na sam z własnymi myślami.

Sytuacja wydała jej się zupełnie jasna. Nie ulegało już żadnej wątpliwości, że Jimmy był zakochany w pani Carew. Właśnie dla tego był taki ponury i niespokojny po jej wyjeździe. I dla tego pewno tak rzadko przychodził w odwiedziny do swej dawnej przyjaciółki Pollyanny. Dlatego...

Najdrobniejsze zdarzenia ostatniego lata utrwalały się teraz w pamięci Pollyanny, zdarzenia, które mogły najlepiej świadczyć o tym, co było.

Dlaczego właściwie miałby jej nie kochać? Przecież pani Carew była naprawdę piękna i posiadała mnóstwo uroku. Prawda, że była starsza od Jimmy, ale młodzi chłopcy często żenią się z kobietami o wiele od siebie starszymi. A tym bardziej, jeżeli je kochają...

Pollyanna tej nocy długo, bardzo długo płakała.

Rano postanowiła spojrzeć sytuacji w oczy. Postanowiła nawet z bladym uśmiechem przypomnieć sobie swą grę w zadowolenie. Przypomniała sobie również słowa, wypowiedziane przez Nancy kilka lat temu: „Gdyby wszyscy ludzie na świecie przejęli się twoją grą w zadowolenie, nie byłoby nawet powaśnionych małżeństw!“

— Na szczęście my nie jesteśmy „powaśnieni“, a co najważniejsza, nie jesteśmy i nie będziemy „małżeństwem“, — myślała Pollyanna, rumieniąc się mimo woli. — Ale cóż ja mam z tego, że on jest zadowolony, skoro ja zadowolona być nie mogę...— w tej chwili przyłapała się na tej myśli i zmartwiona opuściła głowę, bo doszła do wniosku, że już sama nie potrafi grać w tę grę, którą innych ludzi potrafiła tak uszczęśliwić.

Uświadomiwszy sobie dokładnie że Jimmy i pani Carew kochają się naprawdę, Pollyanna co raz bardziej umacniała się w tym mniemaniu. Myśląc o tym ostatnio prawie stale, doszła do wniosku, że właściwie powinna się była tego spodziewać. Najlepszym dowodem były listy pani Carew.

„Bardzo często widuję twego przyjaciela, młodego Pendletona“ — pisała pani Carew w jednym ze swoich listów, — „i przyznam, że co raz bardziej go lubię. Nie mogę jednak otrząsnąć się z podświadomego wrażenia, żc kiedyś dawno musiałam go gdzieś widzieć“.

I tak we wszystkich listach wspominała o nim, a te właśnie, nic nie znaczące, zdania sprawiały najdotkliwszy ból Pollyannie, bowiem świadczyły one o tym, że tylko obecność Jimmy jest dla pani Carew rzeczą ważną i dodaje jej otuchy. Z innych źródeł również Pollyanna miała możność zorientować się, że podejrzenia jej były słuszne. Co raz częściej John Pendleton w rozmowach swoich wspominał o Jimmy i o tym, co Jimmy robi. Oczywiście zawsze w takich wypadkach była mowa również o pani Carew. Biedna Pollyanna niejednokrotnie zastanawiała się nad tym, czy John Pendleton nie znajduje już innego tematu i, czy tylko myśli jego zajęte muszą być ustawicznie tymi dwiema osobami.

W listach Sadie Dean także była mowa o Jimmy i o tym, jak wiele pomaga on pani Carew. Nawet Jamie, który pisywał dość rzadko, w każdym niemal liście wspominał o młodym Pendletonie. Pewnego wieczoru pisał:

„Jest teraz dziesiąta. Siedzę sam i czekam powrotu pani Carew. Obydwoje z Pendletonem poszli na jakieś tygodniowe zebranie“.

Tylko od samego Jimmy Pollyanna nie otrzymywała prawie wcale wiadomości, co utwierdzało ją w przekonaniu, że musiał się czuć szczęśliwy.

Pragnąłby pisać jedynie o niej, a prawdopodobnie krępuje się i dlatego wcale nie pisze! — tłumaczyła sobie, wzdychając.

ROZDZIAŁ XXVII.

Dzień, w którym Pollyanna nie grała w zadowolenie.

Zimowe dni mijały szybko. Styczeń i luty przyniosły z sobą mnóstwo śniegu, natomiast marzec powiał pierwszym tchnieniem wiosny, zwiastując szybko powracające ciepło.

Pollyanna podczas owych miesięcy nie była zbytnio nastrojona do gry w zadowolenie, mimo to grała w nią stale, postanawiając jaknajdłużej wytrwać. Ciotka Polly w grze tej nie przyjmowała udziału, co oczywiście utrudniało tylko sytuację Pollyanny. Ciotka Polly była stale nadąsana, niechętna i przygnębiona. Czuła się i fizycznie niezbyt dobrze, co wpływało jeszcze bardziej na jej zły nastrój.

Pollyanna ciągle jeszcze liczyła na zdobycie nagrody. Zrezygnowała już wprawdzie z pierwszego miejsca, pocieszając się jednak, że przypadnie jej któraś z mniejszych nagród. Od owego dnia, kiedy wysłała swą pierwszą nowelę, napisała już kilka następnych i wysłała je również, lecz wszystkie one prawie wróciły z odmowną odpowiedzią redakcji, dzięki czemu wiara Pollyanny w odniesienie jakiegokolwiek sukcesu chwiała się co raz bardziej.

— Całe szczęście, że ciotka Polly nic nie wie

o tym, — pocieszała się, gniotąc niecierpliwie w rękach jeden z listów „odmownych", który, mówiąc szczerze, sprawił jej wiele przykrości. — Biedaczka, nie może się chociaż martwić, bo nie wie o niczym!

Ostatni okres życia Pollyanny poświęcony był wyłącznie ciotce Polly, chociaż pani Chilton nie zdawała sobie absolutnie sprawy z tego, że siostrzenica tylko o niej myśli i wszystko robi tylko dla jej dobra.

Był wyjątkowo ponury dzień marcowy, gdy sytuacja osiągnęła punkt kulminacyjny. Pollyanna obudziwszy się, spojrzała z westchnieniem w niebo, bo ciotka Polly przy pochmurnej pogodzie czuła się zazwyczaj jeszcze gorzej. Nucąc jednak jakąś wesołą piosenkę, Pollyanna pobiegła do kuchni i zajęła się przygotowywaniem śniadania.

— Muszę koniecznie zrobić kukurydzowe placki, — szeptała do siebie — to może ciotce Polly humor się trochę poprawi i na inne rzeczy nie będzie zwracała uwagi.

W pół godziny później pukała już do drzwi sypialni pani Chilton.

— Już wstałaś, cioteczko? Ach, to doskonale! Sama się nawet uczesałaś dzisiaj?

— Nie mogłam spać absolutnie, więc wolałam podnieść się, — westchnęła ciotka Polly niechętnie. — Uczesałam się sama, bo ciebie tu nie było.

— Ależ ja nie przypuszczałam, że ty tak wcześnie będziesz gotowa, — tłumaczyła się ze skruchą Pollyanna. — Mniejsza o to jednak. Zrobiłam ci dzisiaj niespodziankę.

— Żadna niespodzianka w takim dniu nie może

mnie ucieszyć, — zmarszczyła brwi ciotka Polly.— Któż mógłby być zadowolony w taką pogodę? Spójrz, jaki deszcz pada! To już trzeci deszczowy dzień w tym tygodniu.

— Masz słuszność, ale wiesz, że słońce nigdy nie wydaje się takie jasne, jak wtedy, kiedy zabłyśnie po kilku deszczowych dniach, — uśmiechnęła się Pollyanna, zawiązując zręcznie czarną aksamitkę na szyi ciotki. — Chodźmy już. Śniadanie gotowe. Zdziwisz się, jak zobaczysz, co dla ciebie przygotowałam.

Ponurej twarzy ciotki Polly nie zdołały jednak rozchmurzyć nawet kukurydzowe placki. Z niczego nie była zadowolona, wszystko wydawało jej się okropne i czuła się tego dnia szkaradnie. Pollyanna powoli traciła cierpliwość, nim jeszcze śniadanie dobiegło końca. Na domiar wszystkiego, dach na oszklonej werandzie przeciekał i poranna poczta przyniosła jakiś wybitnie nieprzyjemny list. Pollyanna robiła, co mogła. Śmiejąc się, oświadczyła, że ona ze swej strony bardzo się cieszy, iż dach przecieka, a co do tego listu, to woli, że nadszedł dzisiaj, niż gdyby miał nadejść dopiero za kilka dni. W każdym razie nieprzyjemna wiadomość należy już w tej chwili do przeszłości, a najgorzej jest wówczas, gdy się coś przykrego ma w najbliższej perspektywie.

Tłumaczenia te zajęły jej prawie cały ranek do południa i wreszcie ciotka Polly uspokojona nieco, spojrzała niecierpliwie na zegar.

— Ale to już pół do czwartej, Pollyanno! Czy wiesz o tym? — zawołała nagle. — A ty jeszcze nawet łóżek nie posłałaś.

— Nie, cioteczko, ale pościelę. Nie martw się.

— Czy nie słyszałaś, co powiedziałam? Spójrz na zegar, moje dziecko. Przecież to już dawno po trzeciej!

— Nie ma nieszczęścia, cioteczko. Powinnyśmy się cieszyć, że nie minęła jeszcze czwarta.

Ciotka Polly machnęła niecierpliwie ręką.

— Tylko ty z takich rzeczy potrafisz się cieszyć, — mruknęła z przekąsem.

Pollyanna wybuchnęła śmiechem.

— Bo widzisz, ciociu, zegary są niezwykle usłużne, szczególnie wtedy, kiedy się przestaje na nie liczyć. Do wniosku tego doszłam już bardzo dawno, jeszcze za czasów pobytu w sanatorium. Gdy robiłam coś, co mi sprawiało przyjemność i nie chciałam, żeby czas zbyt szybko mijał, spoglądałam na zegarek na ręku i przekonywałam się, że wskazówki posuwają się bardzo wolno. Innym znów razem, gdy robiono mi jakiś bolesny zabieg w lecznicy, spoglądając na zegarek, usiłowałam tylko patrzyć na sekundnik, który posuwał się szalenie prędko. Rozumiesz teraz, jakie usługi potrafi nam oddawać zegar, — mrugnęła figlarnie w stronę siedzącej na fotelu opiekunki i wybiegła z pokoju, zanim ciotka Polly zdążyła coś na to odpowiedzieć.

Dzień ten był wyjątkowo wyczerpujący i Pollyanna wieczorem miała twarzyczkę jeszcze bledszą, niż zwykle. Ta jej bladość i zmęczenie stały się jeszcze jednym źródłem zmartwienia dla ciotki Polly.

— Dziecko kochane, przecież ty wyglądasz okropnie! — narzekała pani Chilton. — Co my właści-

wie dalej będziemy robić, nie mam pojęcia. Gotowaś się jeszcze rozchorować!

— Głupstwo, droga ciociu! Jak dotychczas, czuję się doskonale — zapewniała ją Pollyanna, opadając z westchnieniem na kanapę. — Jestem tylko trochę zmęczona. Ach, jakie te poduszki miękkie! Przyjemnie jednak po takim zmęczeniu móc się położyć i wypocząć.

— Przyjemnie, przyjemnie, przyjemnie! Tobie zawsze jest przyjemnie, Pollyanno. Zawsze masz powód do radości. Jeszcze takiej dziewczyny nigdy w życiu nie widziałam. Ach, tak, ja wiem, że to ta twoja gra, — ciągnęła dalej, odpowiadając na pełen wyrzutu wzrok Pollyanny. — Doskonała gra, przyznaję, ale przecież wszystko musi mieć swoje granice. Ta nieśmiertelna dewiza, że „mogło być jeszcze gorzej", działa mi po prostu na nerwy. Byłoby mi o wiele lżej na sercu, gdybyś ty choć raz w życiu była z czegoś niezadowolona!

— Jakto, ciociu? — oburzyła się Pollyanna.

— No tak, zupełnie zrozumiałe. Mogłabyś kiedyś spróbować, to byś się sama przekonała.

— Ależ, ciociu, ja... — Pollyanna umilkła, spoglądając na ciotkę ze zdziwieniem. Blady uśmiech zamajaczył na jej ustach. Pani Chilton, nie zwracając na nią uwagi, pochyliła się znowu nad swoją robótką, a Pollyanna opadła na poduszki kanapy, nie kończąc rozpoczętego zdania, tylko uśmiechając się do samej siebie tajemniczo.

Deszcz padał znowu, gdy obudziła się następnego ranka, a północny wiatr wył od czasu do czasu w kominie. Stojąc przy oknie, Pollyanna mimo woli westchnęła, lecz prawie natychmiast twa-

rzyczka jej rozjaśniła się pod wpływem jakiejś myśli.

— Ach, naprawdę, jestem zadowolona... — klasnęła w dłonie. — Mój Boże, — wyszeptała cicho, błądząc wzrokiem po mglistym krajobrazie. — Powinnam zapomnieć, powinnam, bo to mi przecież psuje wszystko! Powinnam pamiętać, że nie wolno mi się z niczego cieszyć, z niczego, przynajmniej w dniu dzisiejszym.

Tego ranka Pollyanna nie usmażyła już placków kukurydzowych, przygotowała tylko najłatwiejsze śniadanie i wolnym krokiem udała się do pokoju ciotki.

Panią Chilton zastała jeszcze w łóżku.

— Widzę, że pada, jak zwykle, —zauważyła ciotka Polly na powitanie.

— Pogoda jest okropna, poprostu niemożliwa,— jęknęła Pollyanna. — Dzisiaj deszcz pada jeszcze większy, niż wczoraj. Nienawidzę takiej pogody.

Ciotka Polly zwróciła się ku wychowance z wyrazem zdziwienia w oczach, lecz Pollyanna usiłowała nie patrzeć na nią w tej chwili.

— Masz zamiar teraz wstać? — zapytała zmęczonym głosem.

— Jakto, naturalnie, — wyszeptała pani Chilton, jeszcze ciągle wyraźnie zdziwiona. — Co ci się stało, Pollyanno? Jesteś dzisiaj bardzo zmęczona?

— Tak, wyjątkowo. Nie mogłam spać, a strasznie nie lubię bezsennych nocy. Jak się w nocy nie śpi, przychodzą człowiekowi do głowy najbardziej przykre myśli.

— Ja najwięcej mogę o tym powiedzieć, — mruknęła ciotka Polly. — Zazwyczaj sypiam tylko do

drugiej , a później nawet oka zmrużyć nie mogę. A co będzie z tym dachem? Jak go naprawimy, skoro deszcz nie przestaje padać?

— Ach, tak, i ja o tym myślałam. Zauważyłam dzisiaj, że w dachu zrobiła się nowa szczelina.

— Jeszcze jedna? To już woda lać się będzie strumieniami!

Pollyanna otworzyła usta. Miała już ochotę powiedzieć: „Powinnyśmy być zadowolone, że zima już niedługo potrwa“, gdy nagle przypomniała sobie swoje postanowienie, opanowała się i wyszeptała bezdźwięcznym głosem:

— Będzie co raz gorzej ciociu. Ten deszcz chyba nigdy nie przestanie padać. Cała podłoga na werandzie zamoknie i nie będzie jej można nigdy doprowadzić do porządku. Naprawdę, mam już tego wszystkiego dosyć! — Z tym oświadczeniem Pollyanna leniwie wyszła z pokoju.

— Takie to zabawne, a takie trudne jednocześnie. Boję się, że zabrnę za daleko, — szeptała do siebie niespokojnie, biegnąc na dół do kuchni.

Po jej wyjściu ciotka Polly, leżąc w łóżku, była co raz bardziej zdziwiona.

Przed szóstą wieczorem miała okazję raz pytająco spojrzeć na Pollyannę. Stanowczo z tą dziewczyną było coś nie w porządku. Na kominku się nie paliło, wiatr dmuchał po wszystkich pokojach, a w dachu oszklonej werandy dostrzeżono jeszcze jedną szczelinę. Poczta przyniosła Pollyannie list, który doprowadził ją do płaczu i żadne perswazje ciotki Polly nie mogły jej uspokoić. Nawet obiad się nie udał, a całe mnóstwo szczegółów po południu zdołało wyprowadzić Pollyannę z równowagi. Dopiero

wieczorem ciotka Polly zaczęła coś rozumieć. Jeżeli Pollyanna orientowała się w sytuacji, to absolutnie nie dawała poznać tego po sobie. Nie przestawała być nachmurzona i niezadowolona. Dopiero po szóstej ciotka Polly utwierdziła się w swoim mniemaniu i zaczęła zasypywać siostrzenicę gradem zaciekawionych różnorodnych pytań. I co najdziwniejsze, w oczach starszej damy wyraz zdziwienia ustąpił miejsca figlarnemu płomykowi wesołości.

Wreszcie po kilku zamienionych obojętnych słowach, ciotka Polly wyciągnęła do Pollyanny rękę z udaną rozpaczą.

— Już dosyć, już dosyć tego, moje dziecko! Kapituluję na całej linii. Przyznaję się, że zostałam przez ciebie pokonana. Możesz być nadal zadowolona, jeżeli już tak chcesz koniecznie, — zakończyła z uśmiechem.

— Dobrze, ciociu, ale sama mówiłaś... — wyszeptała nieśmiało Pollyanna.

— Tak, tak, obiecuję ci jednak, że więcej tego mówić nie będę, — przerwała ciotka Polly. — Pomyśl, jaki to był okropny dzień; drugiego takiego nie chciałabym przeżyć. — Zawahała się, rumieniec wystąpił na jej policzki, poczem z wyraźnym wysiłkiem ciągnęła dalej: — Poza tym, chciałabym przekonać cię, że doskonale wszystko rozumiem i, że ostatnio sama usiłowałam grać w twoją grę, chociaż mi się to dziwnie nie udawało. Ale teraz będę się starała... Gdzie jest moja chusteczka? — dorzuciła ostro, szukając chustki w fałdach swej sukni.

Pollyanna zerwała się z krzesła i podbiegła do ciotki.

— Ach, ciociu Polly, ja nic złego nie chciałam... to był tylko żart, — szeptała zrozpaczona. — Nigdy nie sądziłam, że aż tak głęboko weźmiesz sobie moje postępowanie do serca.

— Wiem, że nic złego nie chciałaś, — rzuciła ciotka Polly, usiłując ukryć swe wzruszenie. — Wiem, że nie byłaś przygotowana na to. Ale dałaś mi dobrą nauczkę, która mi się na przyszłość bardzo przyda...

W tej chwili ciotka Polly rozpłakała się i nie dokończyła rozpoczętego zdania, bo już się znalazła w silnych, kochających objęciach Pollyanny.

ROZDZIAŁ XXVIII

Jimmy i Jamie.

Nie tylko dla Pollyanny zima ta była taka ciężka do przetrwania. Przebywający w Bostonie Jimmy Pendleton, mimo wielu zajęć, które zajmowały mu czas i myśli, co raz bardziej przekonywał się, że nic mu nie może zastąpić widoku pewnej pary błękitnych, roześmianych oczu, srebrzystego śmiechu i wesołego, dźwięcznego głosiku.

Mówił sobie, że gdyby nie pani Carew i nie świadomość, że może jej w czymśkolwiek pomóc, życie nie przedstawiałoby dlań żadnej wartości. Ale przy pani Carew także nie był zupełnie spokojny, bo towarzyszył jej zazwyczaj Jamie, a Jamie naprowadzał myśli o Pollyannie, myśli przykre i ponure.

Będąc przekonanym, że Jamie i Pollyanna kochają się od wielu lat i wmawiając sobie, że nie powinien zagradzać im drogi do przyszłego szczęścia, postanowił zachować się najzupełniej biernie. O Pollyannie wolał nie mówić i nie słyszeć. Wiedział, że zarówno Jamie, jak i pani Carew otrzymują od niej wiadomości i gdy dzielili się z nim wiadomościami tymi, usiłował słuchać uważnie, choć sprawiały mu one dotkliwy ból. Przeważnie jednak starał się możliwie najszybciej zmieniać temat rozmowy, a jeżeli kiedykolwiek zdecydował się napisać do Pollyanny, to zazwyczaj listy te były bardzo obojętne i bardzo krótkie. Bo skoro Pollyanna nie miała nigdy należeć do niego, więc była jedynie źródłem jego bólu i przykrości. Najchętniej pozostawał teraz w Bostonie, starając się nie zaglądać do Beldingsville, gdyż przebywanie tak blisko Pollyanny, która była dlań jednocześnie tak daleka, stało się obecnie torturą nie do zniesienia.

Będąc w Bostonie, usiłował realizować wszystkie śmiałe plany pani Carew, poświęcając temu każdą wolną chwilę, co panią Carew dziwiło czasami, lecz w gruncie rzeczy radowało.

W ten sposób minęła zima i nastała wiosna, złocista, słoneczna wiosna, której Jimmy nawet nie zauważył. Dla niego na świecie nic się nie zmieniło, wszędzie było mglisto i bezbarwnie.

— Żeby chociaż tę sprawę raz załatwili i ogłosili zaręczyny, — mruczał do siebie, bardziej jeszcze zdenerwowany podczas ostatnich dni. — Żebym chociaż wiedział coś na pewno, może by mi wtedy było trochę lżej.

Istotnie, pewnego dnia przy końcu kwietnia ży-

czenie jego spełniło się, przynajmniej częściowo. Dowiedział się „czegoś na pewno".

O dziesiątej rano w niedzielę, Mary, pokojówka pani Carew, wprowadziła go do muzycznego salonu, mówiąc:

— Natychmiast zamelduję pana pani Carew, sir. Zdaje się, że od dawna już na pana czeka.

W salonie muzycznym Jimmy zastał Jamie, siedzącego przy pianinie z głową wspartą na rękach. Młody Pendleton chciał już cofnąć się niepostrzeżenie, gdy nagle młodzieniec, siedzący przy pianinie podniósł głowę, odsłaniając zaczerwienioną twarz i parę płonących gorączkowo oczu.

— Dzień dobry, Carew, — wybąkał przybyły.— Czy się coś stało?

— Stało! stało! — wybuchnął Jamie, wymachując rękami. W jednej z nich trzymał otwarty list.— Źle się stało! Jestem ciekawy, jak ty byś się czuł, gdybyś był w więzieniu i nagle ujrzał przed sobą szeroko otwartą bramę? Takiego samego uczucia doznaje człowiek w chwili, gdy nareszcie może ukochanej dziewczynie zaproponować małżeństwo. I ty nie byłbyś lepszy na moim miejscu. Słuchaj, sądzisz, że zwariowałem, ale tak nie jest. Chociaż możliwe, że postradałem zmysły z radości. Chętnie ci to wszystko opowiem. Posłuchasz? Muszę koniecznie komuś o tym powiedzieć!

Młody Pendleton podniósł głowę. Czuł się teraz tak, jakby go ktoś uderzył tępym narzędziem. Twarz mu pobladła, lecz głos miał spokojny, gdy odpowiedział:

- Oczywiście, opowiedz, drogi przyjacielu. Bardzo chętnie posłucham.

Będąc przekonanym, że Jamie i Pollyanna kochają się od wielu lat i wmawiając sobie, że nie powinien zagradzać im drogi do przyszłego szczęścia, postanowił zachować się najzupełniej biernie. O Pollyannie wolał nie mówić i nie słyszeć. Wiedział, że zarówno Jamie, jak i pani Carew otrzymują od niej wiadomości i gdy dzielili się z nim wiadomościami tymi, usiłował słuchać uważnie, choć sprawiały mu one dotkliwy ból. Przeważnie jednak starał się możliwie najszybciej zmieniać temat rozmowy, a jeżeli kiedykolwiek zdecydował się napisać do Pollyanny, to zazwyczaj listy te były bardzo obojętne i bardzo krótkie. Bo skoro Pollyanna nie miała nigdy należeć do niego, więc była jedynie źródłem jego bólu i przykrości. Najchętniej pozostawał teraz w Bostonie, starając się nie zaglądać do Beldingsville, gdyż przebywanie tak blisko Pollyanny, która była dlań jednocześnie tak daleka, stało się obecnie torturą nie do zniesienia.

Będąc w Bostonie, usiłował realizować wszystkie śmiałe plany pani Carew, poświęcając temu każdą wolną chwilę, co panią Carew dziwiło czasami, lecz w gruncie rzeczy radowało.

W ten sposób minęła zima i nastała wiosna, złocista, słoneczna wiosna, której Jimmy nawet nie zauważył. Dla niego na świecie nic się nie zmieniło, wszędzie było mglisto i bezbarwnie.

— Żeby chociaż tę sprawę raz załatwili i ogłosili zaręczyny, — mruczał do siebie, bardziej jeszcze zdenerwowany podczas ostatnich dni. — Żebym chociaż wiedział coś na pewno, może by mi wtedy było trochę lżej.

Istotnie, pewnego dnia przy końcu kwietnia ży-

czenie jego spełniło się, przynajmniej częściowo. Dowiedział się „czegoś na pewno".

O dziesiątej rano w niedzielę, Mary, pokojówka pani Carew, wprowadziła go do muzycznego salonu, mówiąc:

— Natychmiast zamelduję pana pani Carew, sir. Zdaje się, że od dawna już na pana czeka.

W salonie muzycznym Jimmy zastał Jamie, siedzącego przy pianinie z głową wspartą na rękach. Młody Pendleton chciał już cofnąć się niepostrzeżenie, gdy nagle młodzieniec, siedzący przy pianinie podniósł głowę, odsłaniając zaczerwienioną twarz i parę płonących gorączkowo oczu.

— Dzień dobry, Carew, — wybąkał przybyły.— Czy się coś stało?

— Stało! stało! — wybuchnął Jamie, wymachując rękami. W jednej z nich trzymał otwarty list.— Źle się stało! Jestem ciekawy, jak ty byś się czuł, gdybyś był w więzieniu i nagle ujrzał przed sobą szeroko otwartą bramę? Takiego samego uczucia doznaje człowiek w chwili, gdy nareszcie może ukochanej dziewczynie zaproponować małżeństwo. I ty nie byłbyś lepszy na moim miejscu. Słuchaj, sądzisz, że zwariowałem, ale tak nie jest. Chociaż możliwe, że postradałem zmysły z radości. Chętnie ci to wszystko opowiem. Posłuchasz? Muszę koniecznie komuś o tym powiedzieć!

Młody Pendleton podniósł głowę. Czuł się teraz tak, jakby go ktoś uderzył tępym narzędziem. Twarz mu pobladła, lecz głos miał spokojny, gdy odpowiedział:

- Oczywiście, opowiedz, drogi przyjacielu. Bardzo chętnie posłucham.

Carew jednak nie czekał na zachętę. Poprawił się na krześle, jeszcze trochę onieśmielony.

— Oczywiście dla ciebie nie ma to żadnego znaczenia. Masz zdrowe nogi i jesteś wolny. Posiadasz swoje ambicje i będziesz budował mosty. Ale dla mnie to jest wszystkim. Otwiera się przede mną perspektywa normalnego ludzkiego życia, może nawet normalnej pracy. Dla mnie to jest coś. To coś przekonało mnie, że jestem komuś potrzebny! Słuchaj. W liście tym donoszą mi, że nowela, napisana przeze mnie, zdobyła pierwszą nagrodę w wysokości trzech tysięcy dolarów. W tym drugim liście wielka firma wydawnicza zaakceptowała z entuzjazmem moją pierwszą książkę do druku. I oby-dwa te listy nadeszły dzisiaj rano. Dziwisz się teraz, że oszalałem z radości?

— Nie! Oczywiście, że nie. Winszuję ci serdecznie, Carew, winszuję ci z całego serca, — zawołał Jimmy gorąco.

— Dziękuję, masz czego mi winszować. Pomyśl, czym to jest dla mnie. Pomyśl, jak się będę czuł, gdy stanę się niezależny, jak każdy normalny mężczyzna. Pomyśl, jak się będę czuł, gdy pewnego dnia pani Carew będzie mogła wreszcie być ze mnie dumna. Pomyśl, jakie to będzie miało dla mnie znaczenie, gdy będę wreszcie mógł wyznać miłość ukochanej dziewczynie!

— Tak, tak, istotnie, drogi chłopcze! — szeptał Jimmy, blednąc co raz bardziej.

— Chociaż możliwe, że tego ostatniego nawet i teraz nie powinienem robić, — zastanowił się Jamie, posępniejąc nagle. — Jestem przecież do tego przykuty, — wskazał kule, oparte o pianino. — Nie

mogę zapomnieć tego ostatniego dnia na wycieczce, gdy ujrzałem Pollyannę... Przekonałem się wówczas, że nigdy nie będę miał możności pobiec na ratunek kobiety, gdy ta znajdować się będzie w niebezpieczeństwie.

— Ależ, ależ Carew... — zaczął szeptem Jimmy.

Carew podniósł w górę rękę.

— Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie mów lepiej. I tak tego nie zrozumiesz. Ty przecież nie jesteś przykuty do dwóch martwych kijów. Ty zawsze możesz sobie na wszystko pozwolić. Niejednokrotnie zastanawiam się nad tym, jak to będzie w przyszłości ze mną i... z Sadie. Będę musiał patrzyć spokojnie, jak inni...

— Sadie! — zawołał oszołomiony Jimmy.

— Tak, tak, Sadie Dean. Jesteś zdziwiony. Czyż nie wiedziałeś o tym? Czyż nie domyślałeś się moich uczuć względem Sadie? — zawołał Jamie. — Czyż tak bardzo je ukrywałem? Starałem się nawet o to, ale... — nie dokończył, uśmiechając się blado i czyniąc jakiś rozpaczliwy gest.

— Istotnie, ukrywałeś się świetnie, mój drogi, przynajmniej przede mną, — wybuchnął Jimmy, rumieniąc się mimo woli. Oczy jego zabłysły radością. — Więc tu idzie o Sadie Dean? Cudownie! Winszuję ci po raz drugi i naprawdę ogromnie się cieszę. — Jimmy szalał teraz z radości i podniecenia, tak nadzwyczajne wydało mu się to odkrycie, że Jamie nie Pollyannę kochał, lecz Sadie. W pewnej chwili Jamie potrząsnął głową ze smutkiem.

— Na ten temat nie masz mi jeszcze czego winszować, bo wiesz przecież, że jeszcze z nią nie mówiłem. Przypuszczam jednak, że Sadie się domyśla.

Sądziłem, że wszyscy o tym wiedzą. Słuchaj, a kogo ty miałeś na myśli, jeżeli nie Sadie?

Jimmy zawahał się, poczym trochę nieśmiało wyszeptał:

— Miałem na myśli Pollyannę.

Jamie uśmiechnął się i wydął wargi.

— Pollyanna to wspaniała dziewczyna, bardzo ją lubię, ale uczucie moje jest wybitnie braterskie. Zresztą, mam wrażenie, że zajęta jest całkiem kimś innym. Co ty na to?

Młody Pendleton zarumienił się, jak mały uczniak.

— Sądzisz? — zawołał, usiłując nadać swemu głosowi brzmienie zupełnie naturalne.

— Oczywiście. Zajęta jest Johnem Pendletonem.

— Johnem Pendletonem? — Jimmy zachwiał się.

— Kto mówi o Johnie Pendletonie? — zapytał nagle jakiś głos i ujrzeli przed sobą uśmiechniętą panią Carew.

Jimmy, przed którym świat w ciągu pięciu minut zapadł się w gruzy, zmusił się teraz do grzecznego powitalnego ukłonu. Lecz Jamie, nie orientując się w sytuacji, miał minę zupełnie swobodną.

— Nic, tylko właśnie mówiłem, że zdaje mi się, iż John Pendleton mógłby nam coś bliższego powiedzieć o tym, w kim jest zakochana Pollyanna.

— Pollyanna! John Pendleton! — pani Carew ociężale usiadła na krześle. Gdyby ci dwaj młodzieńcy nie byli w tej chwili tak bardzo zaabsorbowani własnymi sprawami, dostrzegliby z pewnością nagłą bladość na twarzy pani Carew i dziwny wyraz przerażenia w jej oczach.

— Naturalnie, — upierał się Jamie. — Czyż wy

wszyscy nic nie widzicie? Czy byliście ślepi ostatniego lata? Przecież Pollyanna stale przebywała w jego towarzystwie.

— Mam wrażenie, że i nam dotrzymywała towarzystwa, — wyszeptała pani Carew nieśmiało.

— Ale nie tak często, jak jemu, — nie ustępował Jamie. — Zresztą, nie pamiętacie, gdy owego dnia mówiliśmy o małżeństwie Johna Pendletona, jak Pollyanna zarumieniła się i powiedziała nam, że kiedyś miał zamiar się ożenić. Wtedy przyszło mi na myśl, że musi coś być między nimi. Nie pamiętacie tej rozmowy?

— Tak, teraz sobie przypominam, jak mówisz o tym, — wyszeptała znowu pani Carew, — ale zupełnie o tej rozmowie zapomniałam.

— Ja bym sobie to inaczej tłumaczył, — wtrącił Jimmy, zwilżając językiem wyschnięte wargi. — John Pendleton istotnie kiedyś był zakochany, ale w matce Pollyanny.

— W matce Pollyanny! — zawołały dwa głosy jednocześnie.

— Tak. Kochał ją przed wielu laty, lecz ona nie odwzajemniła mu tego uczucia, o ile się nie mylę. Kochała się kiedyś w kimś innym, w pastorze, i poślubiła go. Był to ojciec Pollyanny.

— Ach! — odetchnęła głęboko pani Carew, poprawiając się na krześle. — I dlatego właśnie więcej się nie ożenił?

— Tak, — odparł Jimmy. — Widzicie więc państwo, że trudno go posądzać o miłość do Pollyanny. Kochał naprawdę jej matkę.

— Przeciwnie, mam wrażenie, że to posiada z sobą pewien związek, — oświadczył Jamie, kiwa-

jąc w zadumie głową. — Utwierdza to mnie jeszcze bardziej w tym mniemaniu. Pomyślcie. Kochał kiedyś jej matkę, nie mógł jej zdobyć, teraz byłoby całkiem naturalne, gdyby zakochał się w córce i tym razem z wzajemnością.

— Ach, Jamie, ty niepoprawny zmyślaczu bajek! — zgromiła go pani Carew, śmiejąc się nerwowo. — Przecież to nie jest nowela, to życie realne. — Pollyanna jest dla niego za młoda. Pan Pendleton powinien się ożenić z kobietą, a nie z dzieckiem, to znaczy, powinien się ożenić z kimś... — urwała nagle, usiłując swą myśl dokładniej wytłumaczyć.

— Możliwe, ale nie widzę tragedii, jeżeli się ożeni z dziewczyną, którą kocha, — argumentował Jamie. — I naprawdę będzie wszystko w porządku. Czyż mieliśmy od niej jakiś list, w którym nie wspomniałaby o Pendletonie? A wiecie przecież, że on także we wszystkich swych listach pisze tylko o niej.

Pani Carew nagle wstała.

— Tak, wiem, — wyszeptała, przestawiając nerwowo jakieś drobiazgi na stoliku. — Ale... — nie dokończyła rozpoczętego zdania i po chwili wyszła z pokoju.

Gdy wróciła po pięciu minutach, ku swemu wielkiemu zdziwieniu skonstatowała, że Jimmy już poszedł.

— Jakto, sądziłam, że wybiera się z nami na przyjęcie do dziewcząt! — zawołała.

— I ja tak myślałem, — zmarszczył brwi Jamie. — Wytłumaczył mi jednak, że musi nagle wyjechać i, że przyszedł tylko po to, aby panią prze-

prosić. Prawie bez pożegnania wyszedł. Właściwie, — oczy Jamie zapałały w tej chwili — nie wiem, co o tym myśleć, ale podejrzewam... Nasuwa mi to wiele do myślenia: — Zapomniał jednak natychmiast o Jimmy i Pollyannie i położył przed panią Carew dwa listy, które mu przyniosła poranna poczta.

— Ach, — Jamie! — zawołała pani Carew wzruszona, po przeczytaniu listów. — Jaka ja jestem z ciebie dumna! — Oczy jej nabiegły łzami, gdy spojrzała na rozradowaną twarz swego wychowańca.

ROZDZIAŁ XXIX.

Jimmy i John.

Na małej stacyjce w Beldingsville wysiadł tej samej soboty wieczorem wysoki młodzieniec o twarzy smutnej, lecz spokojnej. Twarz młodzieńca była jeszcze bardziej blada i smutna, gdy nazajutrz rano szedł wiejską uliczką w stronę dworku Harringtonów. Dostrzegłszy z daleka tak dobrze znajomą twarzyczkę, otoczoną puklami jasnych włosów i znikającą wewnątrz altany, młodzieniec minął frontowe wejście i przez ogród ruszył śpiesznym krokiem, kierując się w stronę właścicielki tej uroczej twarzyczki.

— Jimmy! — zawołała Pollyanna, patrząc nań rozradowanym wzrokiem. — Skąd się tutaj wziąłeś?

— Z Bostonu. Przyjechałem wczoraj wieczorem. Chciałem się z tobą zobaczyć, Pollyanno.

— Zobaczyć? ze mną? — Pollyanna z trudem opanowywała się w tej chwili. Jimmy był taki wysoki, silny i „kochany“, gdy stał tak w drzwiach altany letniej, że lękała się, iż gotów wyczytać w jej oczach ten pełen uwielbienia zachwyt.

— Tak, Pollyanno. Chciałem... to znaczy myślałem... sądziłem, ale bałem się... Ach, dajmy temu spokój, Pollyanno. Nie umiem się jakoś wysłowić. Przystąpię odrazu do rzeczy. Widzisz, jest tak, że dotychczas stałem na uboczu, ale teraz nie mam najmniejszej ochoty. Mam już dosyć tej ciągłej niepewności. Przecież on nie jest taki chory, jak Jamie. Ma zdrowe ręce i nogi tak samo, jak ja i jeżeli ma coś zdobywać, to niech zdobywa walką. Uważam, że ja mam takie same prawa!

Pollyanna była szczerze zdziwiona.

— Jimmy Pendletonie, wytłumacz mi, na miłość Boską, o czym mówisz? — zawołała.

Młodzieniec zaśmiał się bezczelnie.

— Nic dziwnego, że nie możesz mnie zrozumieć. Nie jestem zbytnio elokwentny, prawda? Ale i tak stałem się odważny od wczoraj, gdy dowiedziałem się od samego Jamie.

— Dowiedziałeś się od Jamie?

— Tak. To wszystko dzięki tej nagrodzie, którą otrzymał. Bo widzisz, Jamie zdobył nagrodę i...

— Tak, o tym już wiem, — przerwała gorączkowo Pollyanna. — Ależ czyż to nie było nadzwyczajne? Pomyśl, pierwsza nagroda i aż trzy tysiące dolarów! Wysłałam mu wczoraj wieczorem list. Jak zobaczyłam jego nazwisko i zorientowałam się,

że to Jamie, nasz Jamie, byłam tak podniecona, że zupełnie zapomniałam szukać swojego nazwiska; a jak później mojego nie mogłam znaleźć, przyzwyczaiłam się już do tej myśli, że nie otrzymałam żadnej nagrody... chciałam powiedzieć, że byłam tak zadowolona, że o całym świecie zapomniałam, — poprawiła się w ostatniej chwili, rzucają bezradne spojrzenie na twarz Jimmy i usiłując zatuszować swój nieopatrzny wybuch.

Jimmy jednak był tak w tej chwili zajęty własnym zagadnieniem, że właściwie prawie nic nie słyszał z tego, co mówiła.

— Tak, tak, to naprawdę było wspaniałe. Strasznie się cieszę z tej nagrody. Ale właśnie, Pollyanno, Jamie powiedział mi później o tym, o czym chciałem z tobą pomówić. Widzisz, dotychczas myślałem, że on, że ty kochasz... że kochacie się wzajemnie i...

— Myślałeś, że ja i Jamie kochamy się! — zawołała Pollyanna i na twarzyczce jej pojawił się delikatny rumieniec. — Jakto, przecież Jamie kocha Sadie Dean. Zawsze ją kochał i ona go kochała. Niejednokrotnie opowiadał mi o niej całymi godzinami. Mam wrażenie, że i ona go darzy bardzo gorącym uczuciem.

— Doskonale, i ja mam nadzieję, ale dotychczas o tym nie wiedziałem. Myślałem, że Jamie kocha tylko ciebie, a ponieważ on jest taki nieszczęśliwy, to sądziłem, że nieładnie będzie z mojej strony, jeżeli będę chciał wejść mu w drogę.

Pollyanna pochyliła się nagle i podniosła z ziemi jakiś listek. Gdy wyprostowała się po chwili, twarz jej była już zupełnie spokojna.

— Widzisz, postanowiłem usunąć się na plan dalszy i pozostawić jemu wszelkie możliwości, chociaż mnie to bardzo bolało, moja mała dziewczynko. I dopiero wczoraj rano dowiedziałem się o wszystkim. Ale dowiedziałem się jeszcze o tym, co mi również nie sprawiło radości. Jamie mi powiedział, że jest ktoś, kim ty jesteś poważnie zajęta. Tym razem nie mam zamiaru ustępować, Pollyanno. Nie mam najmniejszego zamiaru, chociaż ten człowiek tak wiele dla mnie zrobił. John Pendleton jest dojrzałym mężczyzną, ma zdrowe ręce i zdrowe nogi, więc niech ze mną walczy. Jeżeli naprawdę go kochasz, jeżeli...

Lecz w oczach Pollyanny odmalowało się teraz zdumienie.

— John Pendleton! Jimmy, co ty wygadujesz? Co ty mówisz o Johnie Pendletonie?

Nieopisana radość przeistoczyła teraz twarz Jimmy. Wyciągnął obydwie ręce.

— Więc to nieprawda, nieprawda? Widzę w twoich oczach, że go nie kochasz!

Pollyanna cofnęła się. Była blada i drżąca.

— Jimmy, co masz na myśli? Co chciałeś przez to powiedzieć? — szeptała błagalnie.

— Podejrzewałem, że jesteś zakochana w wuju Johnie, rozumiesz? Jamie jest przekonany o tym i jest pewny, że i wuj John cię kocha. Nic dziwnego, że i ja w to uwierzyłem. Przecież wuj John tylko mówi o tobie, a kiedyś podobno kochał się w twojej matce...

Z piersi Pollyanny dobył się głuchy szloch. Pobladłą nagle twarz ukryła w dłoniach. Jimmy zbli-

żył się do niej i pieszczotliwie objął ją ramionami, Pollyanna jednak wyrwała się z jego objęć.

— Pollyanno, dziewczynko mała, daj spokój! Łamiesz mi serce, — szeptał. — Czy naprawdę wcale mnie nie lubisz? A może kochasz mnie i nie chcesz mi o tym powiedzieć?

Odsłoniła twarz i spojrzała mu prosto w oczy. Patrzyła teraz lękliwie, jak zwierzątko, umykające przed kulą myśliwego.

— Jimmy, więc ty sądzisz, że on właśnie żywi dla mnie takie uczucie? — wyszeptała przez łzy.

Jimmy niecierpliwie potrząsnął głową.

— Dajmy teraz temu spokój, Pollyanno. Pewności pod tym względem nie mam. Skąd mógłbym wiedzieć? Ale teraz nie mówmy o tym. Mówmy tylko o tobie. Jeżeli ty go nie kochasz i jeżeli zgodzisz się na to, żebym ja cię mógł kochać... — ujął jej dłoń i usiłował przyciągnąć do siebie.

— Nie, nie, Jimmy, ja nie powinnam! Nie mogę! — obydwiema rękami odepchnęła go od siebie.

— Pollyanno, to chyba nie znaczy, że jednak czujesz coś do niego? — wyszeptał Jimmy pobladłymi wargami.

— Nie, oczywiście, że nie w ten sposób, — odparła niedosłyszalnie Pollyanna. — Ale czyż nie rozumiesz, że jeżeli on mnie kocha, ja powinnam także odwzajemnić mu się jakimś uczuciem?

— Pollyanno!

— Nie mów! Nie patrz tak na mnie, Jimmy!

— Więc gotowa byłabyś nawet zostać jego żoną, Pollyanno?

— Ach, nie! to znaczy... tak.., oczywiście... przypuszczam, że tak, — przyznała niepewnie.

Znowu zaszlochała głośno i znowu ukryła twarz w dłoniach. Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło, aż wreszcie Pollyanna podniosła głowę i błagalnie spojrzała na Jimmy.

— Ja wiem, wiem, — wyszeptała. — Moje serce jest także złamane. Ale trudno. Mogę sobie i tobie zadać ból, lecz jemu mi nie wolno.

Jimmy spojrzał na nią. Oczy płonęły mu niesamowitym ogniem. Z głośnym okrzykiem radości schwycił Pollyannę w objęcia.

— Teraz już wiem, że mnie kochasz! — szepnął jej cichutko do ucha. — Powiedziałaś, że i sobie zadajesz ból. Czy sądzisz, że oddałbym cię teraz komukolwiek? Ach, ty tak mało znasz się na tych rzeczach, Pollyanno, powiedz, że mnie kochasz, niech usłyszę o tym z twoich własnych ust!

Przez dłuższą chwilę Pollyanna pozostawała w jego czułych objęciach, poczym z westchnieniem, które wyrażało jednocześnie radość i smutek, postanowiła się z uścisku wyswobodzić.

— Tak, Jimmy, kocham cię. — Ramiona Jimmy zacisnęły się jeszcze mocniej i chciał ją znowu przytulić do siebie, lecz udaremniło ten jego zamiar pełne wyrzutu spojrzenie dziewczyny. — Kocham cię bardzo, ale nie mogłabym być z tobą nigdy szczęśliwą, wiedząc... Muszę najprzód mieć tę świadomość, że jestem zupełnie wolna.

— Głupstwa pleciesz, Pollyanno! Oczywiście, że jesteś wolna! — spojrzenie Jimmy znowu posmutniało.

Pollyanna potrząsnęła głową.

— Nie jestem wolna, skoro ta świadomość wisi nade mną, Jimmy. Czyż nie rozumiesz? Przecież

to moja matka przed laty złamała mu serce, moja rodzona matka. I przez ten czas żył samotnie, przez nikogo nie kochany. Gdyby teraz przyszedł do mnie i zaproponował mi małżeństwo, nie mogłabym mu odmówić, Jimmy. Czy ty tego nie rozumiesz?

Ale Jimmy nie rozumiał, nie mógł zrozumieć. Nie rozumiał, chociaż Pollyanna prosiła i tłumaczyła mu długo ze łzami w oczach. Pollyanna przy tym wszystkim była tak urocza, że Jimmy zamiast bólu i gniewu, odczuwał teraz dziwne zadowolenie.

— Jimmy, — postanowiła wreszcie Pollyanna,— musimy jeszcze zaczekać. To jest wszystko, co mogę ci teraz powiedzieć. Miejmy nadzieję, że on mnie nie kocha, bo ja osobiście uwierzyć w to nie mogę. Chciałabym tylko mieć tę pewność. Zaczekamy jeszcze trochę i przekonamy się, Jimmy, musimy się przecież przekonać!

Propozycję tę Jimmy przyjął, chociaż w głębi duszy buntował się co raz bardziej.

— Dobrze, mała dziewczynko, niech będzie tak, jak sobie życzysz, — zrezygnował. — Ale chyba nigdy dotąd nie było takiego wypadku, żeby mężczyzna czekał na odpowiedź dziewczyny, którą kocha z wzajemnością, żeby czekał na jej odpowiedź, bo ona musi się przekonać, czy przypadkiem ktoś inny jej nie kocha!

— To prawda, ale widzisz, najdroższy, trzeba się liczyć z tym, że ten inny kochał kiedyś jej matkę,— westchnęła Pollyanna, odwracając twarzyczkę.

— Wobec tego wrócę teraz do Bostonu, oczywiście, — postanowił po namyśle Jimmy. — Ale niech ci się nie zdaje, że zrezygnowałem. Nie zrezygnuję

dopóty, dopóki wiem, że mnie kochasz, moja mała dziewczynko, — zakończył, patrząc na nią tak jakoś dziwnie, że teraz już z trudem wyswobodziła się z jego objęć.

ROZDZIAŁ XXX.

John Pendleton wyjaśnia sytuację.

Jimmy wyjechał tego wieczoru do Bostonu w stanie najwyższego podniecenia, uszczęśliwiony i pełen nadziei. W Beldwingsville zostawił dziewczynę, która właściwie nie zdawała sobie jeszcze sprawy z obecnej sytuacji, bo istotnie Pollyanna uradowana świadomością, że Jimmy ją kocha, jednocześnie przerażona była, iż kocha ją również John Pendleton, a ta ostatnia możliwość byłaby przecież męką nie do zniesienia.

Na szczęście niewyjaśniona sytuacja trwała dość krótko, bo już w tydzień po wyjeździe Jimmy John Pendleton przyszedł z wizytą i wypowiedział się całkiem jasno.

Było późne czwartkowe popołudnie, gdy John Pendleton zjawił się przed Pollyanną. Tak samo jak Jimmy, zastał ją w ogrodzie, nie zaglądał więc zupełnie do wnętrza domu.

Spojrzawszy na jego twarz, Pollyanna uczuła przyspieszone bicie serca.

— Zbliża się, zbliża się ta najstraszniejsza chwila! — zadrżała i miała w tej chwili ochotę uciec stąd jaknajdalej.

— Ach, Pollyanno, zaczekaj chwilę, — zawołał

pan Pendleton, podbiegając do niej. — Właśnie z tobą chciałem się zobaczyć. Czy nie moglibyśmy wejść tam na chwilę? — zaproponował, wskazując altanę. — Chciałem z tobą o czymś pomówić.

— Ależ tak, naturalnie, — wybąkała Pollyanna, siląc się na wesołość. Zdawała sobie teraz sprawę, że twarzyczka jej spłonęła rumieńcem, a tak bardzo chciała tego uniknąć. Trudno, należało zgodzić się na wszystko, czego od niej żądał. Wolałaby do altany nie wchodzić, bo była ona dla niej jakby świątynią, przepełnioną najdroższymi wspomnieniami o Jimmy.

— I pomyśleć, że to właśnie tutaj się stało! — szeptała do siebie, lecz głośno zawołała z udaną swobodą: — Mamy dzisiaj piękny wieczór, nieprawdaż?

Nie było odpowiedzi. John Pendleton wszedł do altany i usiadł na jednym z koszykowych foteli, nie czekając nawet, aż Pollyanna zajmie miejsce, co sprzeciwiało się jego wrodzonej kurtuazji. Rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na jego poważną twarz, Pollyanna omal nie wydała pełnego przerażenia okrzyku.

John Pendleton jeszcze ciągle nie zwracał na nią uwagi. Siedział chmurny, zatopiony w swych własnych myślach. Po chwili jednak podniósł głowę i spojrzał na dziewczynę.

— Pollyanno.

— Słucham Mr. Pendleton.

— Czy pamiętasz jakim człowiekiem byłem, gdyś mnie poznała przed kilku laty?

— Hm, tak, sądzę, że pamiętam.

— Potrafiłem poświęcać się dla innych ludzi, prawda?

Mimo przykrego nastroju, Pollyanna uśmiechnęła się blado.

— Zawsze pana bardzo lubiłam, sir. — Dopiero po wypowiedzeniu tych słów, zorientowała się, jakie dziwne brzmienie one posiadały. Chciała już nawet uczynić jakieś sprostowanie, lecz doszła do wniosku, że i tak na nic by to się nie zdało. Oczekiwała z niecierpliwością tego, co miał teraz powiedzieć John Pendleton. Nie czekała zbyt długo.

— Wiem, żeś mnie lubiła, bo zawsze miałaś dobre serduszko! Twoja przyjaźń dodawała mi już wówczas otuchy. Nie potrafiłem ci okazać, Pollyanno, czym to twoja dziecięca przyjaźń była dla mnie.

Miała ochotę zaprotestować, lecz dał jej znak, aby milczała.

— O tak, to było dawno! Oprócz ciebie nie miałem nikogo bliskiego na świecie. Ciekawy jestem, czy jeszcze jedno pamiętasz, — szeptał po chwili milczenia, dostrzegłszy, że Pollyanna z tęsknotą patrzy w stronę drzwi. — Ciekawy jestem, czy pamiętasz, jak powiedziałem kiedyś, że tylko ręka kobieca lub obecność dziecka może mi stworzyć miłą atmosferę w domu.

Pollyanna uczuła, że krew nabiega jej do twarzy.

— Tak, nie.. właściwie tak, przypominam sobie,— zaczęła się jąkać. — Ale na pewno dzisiaj już pan tak nie myśli. Dzisiaj w swoim domu musi się pan czuć doskonale...

— Właśnie o tym moim domu pragnę z tobą pomówić, drogie dziecko, — przerwał pan Pendleton niecierpliwie. — Wiesz, Pollyanno, jak sobie ten dom

kiedyś wyobrażałem, jakie miałem nadzieje i wiesz także, że nadzieje te się nie ziściły. Nie sądź, moja droga, że żywię jeszcze żal do twojej matki. Jestem daleki od tego. Poszła tylko za głosem swego serca i miała słuszność. Uczyniła lepszy może wybór, bo współżycie ze mną prawdopodobnie byłoby dla niej rozczarowaniem. I czyż dziwne jest, Pollyanno, — dorzucił głosem drżącym, — że właśnie córka tej ukochanej kobiety potrafiłaby wprowadzić mnie na drogę, którą mogę dojść do prawdziwego szczęścia.

Pollyanna nerwowo zagryzła wargi.

— Ależ, Mr. Pendleton, ja... ja...

I tym razem pan Pendleton dał jej znak, aby milczała.

— Tak, ty to uczyniłaś, Pollyanno i twoja gra w zadowolenie.

— Ach! — Pollyanna wyraźnie odetchnęła z ulgą. Wyraz lęku przygasł w jej oczach.

— I w ciągu tych wszystkich lat powoli stawałem się innym człowiekiem, Pollyanno. Tylko jedno w moim życiu się nie zmieniło. — Umilkł na chwilę, po czym skierował smutne spojrzenie w jej stronę. Nie mogłem znaleźć ręki kobiecej, która by zmieniła atmosferę mego domu.

— Tak, ale dziecko pan znalazł, — wtrąciła pośpiesznie Pollyanna, patrząc nań znowu z przestrachem. — Myślę w tej chwili o Jimmy.

Pan Pendleton zaśmiał się głośno.

— Wiem, ale zdajesz sobie przecież sprawę, że Jimmy już teraz nie jest dzieckiem, — zauważył.

— Nie, oczywiście że nie.

— Zresztą, Pollyanno, doszedłem do wniosku, że najbardziej potrzebna mi jest kobieca ręka i kobiece

serce, — głos załamał mu się w tej chwili i zadrżał dziwnie.

— Ach, istotnie? — zapytała co raz bardziej przerażona Pollyanna, załamując ukradkiem dłonie. John Pendleton zdawał się tego nie dostrzegać. Podniósł się teraz z fotelika i nerwowym krokiem biegał po altanie.

— Pollyanno, — przystanął nagle i spojrzał na nią, — gdyby... gdybyś ty była na moim miejscu i gdybyś miała zamiar zwrócić się do ukochanej kobiety z tą jedyną gorącą prośbą, aby weszła do twego domu, wnosząc doń trochę ciepła, jak byś się do tego zabrała?

Pollyanna zerwała się z miejsca. Spojrzenie jej skierowało się znowu w stronę drzwi, tym razem jeszcze bardziej tęskne i szczere.

— Ach, Mr. Pendleton, ja bym tego w ogóle nie potrafiła, — zawołała z rozpaczą. — Jestem pewna, że mógłby pan być o wiele bardziej szczęśliwy niż... niż pan jest w tej chwili.

Pan Pendleton przystanął zdziwiony, po czym zaśmiał się ponuro.

— Na Boga, Pollyanno, czy ze mną jest aż tak źle? — zapytał.

— Źle? — Pollyanna szykowała się już do ucieczki.

— Tak. Czy nie masz już dla mnie żadnych innych słów pociechy? Czy nie możesz sobie wyobrazić, jak by się ta kobieta powinna była zachować?

— Nie, nie, oczywiście. Z pewnością odpowiedziałaby „tak", zgodziłaby się chętnie, — zawołała Pollyanna, poważniejąc nagle. — Ale ja myślałam, myślałam... że gdyby ta dziewczyna na przykład

nie kochała, to uważam, że później byłby pan szczęśliwszy bez niej i... — spojrzawszy w twarz Johna Pendletona, Pollyanna nie dokończyła.

— Ja bym jej wcale nie chciał, gdybym wiedział, że mnie nie kocha, Pollyanno.

— I ja tak przypuszczałam, — Pollyanna czyniła teraz w duchu wyrzuty samej sobie.

— Zresztą, to wcale nie jest taka młoda dziewczyna, — ciągnął dalej John Pendleton. — Kobieta, którą kocham, jest zupełnie dojrzała i prawdopodobnie zdaje sobie doskonale sprawę ze swych uczuć. — Głos pana Pendletona był teraz poważny i lekko drżący.

— Ach! ach! — zawołała Pollyanna i przestrach w jej oczach ustąpił miejsca nagłej radości. — Więc pan kocha... — miała zamiar dorzucić „kogoś innego", lecz w samą porę zapanowała nad sobą.

— Czy kocham kogoś? Przecież ci przed chwilą o tym powiedziałem, — zaśmiał się John Pendleton, przejęty nagle gniewem. — Chciałem jedynie wiedzieć, czy mogę liczyć na wzajemność z jej strony. Właśnie w tym wypadku sądziłem, że mi pomożesz, Pollyanno, bo widzisz, ona jest twoją bliską przyjaciółką.

— Naprawdę? — uśmiechnęła się rozkosznie Pollyanna. — Jeżeli tak, to z pewnością pana pokocha. Już my ją do tego nakłonimy. Może nawet już teraz żywi dla pana gorące uczucie? A któż to taki?

Dłuższą chwilę trwało milczenie, zanim usłyszała odpowiedź.

— Trudno mi, Pollyanno, powiedzieć ci tak szczerze. Czyż nie możesz odgadnąć? Mam na myśli panią Carew.

— Ach! — wyszeptała Pollyanna, jeszcze bardziej w tej chwili rozradowana. — Jakże to się cudownie składa! Jak ja się strasznie cieszę!

— — — — — — — — — — — — — —

W godzinę później Pollyanna wysłała list do Jimmy. List ten zawierał całe mnóstwo nielogiczności, z których Jimmy niewiele mógł zrozumieć. Właściwie, zmuszony był czytać między wierszami. Ale czyż mu to przyszło z wielką trudnością?

„Ach, Jimmy, on mnie wcale nie kocha. Kocha kogoś zupełnie innego. Nie mogę ci zdradzić imienia tej kobiety, lecz zapewniam cię, że nie nazywa się ona Pollyanna“.

Jimmy tego wieczoru zdążył jeszcze na ostatni pociąg, odchodzący do Beldingsville.

ROZDZIAŁ XXXI.

Po wielu latach.

Pollyanna była tak szczęśliwa tego wieczoru po wysłaniu listu do Jimmy, że absolutnie nie mogła znieść swej samotności. Zazwyczaj przed udaniem się na spoczynek wchodziła jeszcze do pokoju ciotki, aby się dowiedzieć, czy pani Chilton czegoś nie potrzebuje. Dzisiaj, po zadaniu zwykłych pytań, zbliżyła się już do drzwi i miała zamiar zgasić światło, gdy nagle jakaś tajemnicza siła popchnęła ją z powrotem do łóżka ciotki. Z lekkim westchnieniem dziewczyna osunęła się na kolana.

— Ciociu Polly, jestem taka szczęśliwa, że muszę się tym szczęściem z kimś podzielić. Pragnę tobie opowiedzieć wszystko. Pozwolisz?

— Mnie opowiedzieć? Co mi masz do powiedzenia, moje dziecko? Oczywiście, że możesz. Czy to jakieś radosne wiadomości dla mnie?

— O tak, cioteczko, mam nadzieję, że tak, — zarumieniła się Pollyanna. — Mam nadzieję, że będziesz choć trochę zadowolona ze względu na mnie. Oczywiście, Jimmy któregoś dnia sam ci o tym powie, ale ja pragnę go wyprzedzić.

— Jimmy! — twarz pani Chilton spochmurniała nagle.

— Tak, poprosi cię wtedy o moją rękę, — wybąkała Pollyanna, rumieniąc się jeszcze bardziej. — Ach, taka jestem szczęśliwa, że się tą wiadomością mogłam z tobą podzielić!

— Poprosi mnie o twoję rękę? Pollyanno! — Pani Chilton uniosła się na łóżku. — Nie znaczy to chyba, że między tobą i Jimmy Beanem zaszło coś poważnego?

Pollyanna opuściła głowę z przerażniem.

— Jakto, ciociu, sądziłam, że lubisz Jimmy.

— Owszem, lubię go, ale nie jest on odpowiednim mężem dla mojej siostrzenicy.

— Ciociu Polly!

— Uspokój się, moje dziecko, nie patrz na mnie z takim lękiem. — Wszystko to nie ma najmniejszego sensu i cieszę się, że mogę temu zapobiec teraz, kiedy nie jest jeszcze za późno.

— Właśnie, że jest bardzo późno, ciociu Polly, — wyszeptała nieśmiało Pollyanna. — Wiedz o tym,

że ja się już nauczyłam kochać... lubić go serdecznie.

— To musisz się oduczyć, Pollyanno, bo ja nigdy nie wyrażę swojej zgody na twoje małżeństwo z Jimmy Beanem.

— Ale dlaczego, ciociu?

— Przede wszystkim dlatego, że my właściwie o nim nic nie wiemy.

— Jakto, ciociu Polly, przecież znam go od dziecka!

— Tak, a czymże on był? Podrzutkiem, który uciekł z sierocińca! Nie wiemy natomiast nic o jego krewnych i o jego rodzicach.

— Ale przecież ja nie wychodzę za mąż za jego krewnych!

Ze zniecierpliwioną miną ciotka Polly opadła z powrotem na poduszki.

— Pollyanno, widzę, że chcesz się stać przyczyną mojej choroby. Mam znowu bicie serca. Jestem pewna, że dzisiaj już przez całą noc okna nie zmrużę. Czy nie mogłabyś tej sprawy pozostawić do jutra rana?

Pollyanna podniosła się z kolan z twarzyczką smutną, lecz spokojną.

— Ależ tak, oczywicie, ciociu Polly! Jestem pewna, że do jutra wszystko się zmieni, nawet twoje zapatrywania na tę sprawę. Jestem pewna, że jutro będziesz mówić inaczej, — wyszeptała drżącym głosem, gasząc światło i wychodząc z pokoju.

Lecz zapatrywania ciotki Polly nie zmieniły się nazajutrz rano. Przeciwnie, jeszcze goręcej oponowała przeciwko małżeństwu Pollyanny. Na próżno Pollyanna tłumaczyła i błagała. Na próżno prze-

konywała ciotkę o tym, że w małżeństwie z Jimmy znajdzie prawdziwe szczęście. Ciotka Polly była nieugięta. Nie chciała słyszeć o niczym. Plan małżeństwa Pollyanny uważała za herezję i ostrzegała dziewczynę o niebezpieczeństwie, jakie groziło jej, gdyby nawet na przekór opiekunce wyszła za mąż za człowieka, pochodzącego z „nieznanej rodziny". Widząc, że nie może przekonać Pollyanny, zaczęła się wreszcie odwoływać do obowiązków wdzięczności, jakie Pollyanna powinna mieć w stosunku do niej, powołując się na dawne lata dzieciństwa swej wychowanki. Błagała kompletnie, aby Pollyanna nie łamała jej serca swoim małżeństwem, jak uczyniła to kiedyś jej matka.

Gdy Jimmy radosny i szczęśliwy zjawił się o dziesiątej rano, zastał zapłakaną i drżącą Pollyannę, siedzącą w kąciku przy oknie. Z pobladłą twarzą, otaczając ją jednak stęsknionymi ramionami, zażądał, aby mu wszystko wyjaśniła.

— Pollyanno, co to ma znaczyć?

— Ach, Jimmy, Jimmy, po cóż przyjechałeś? Miałam zamiar napisać do ciebie i wyznać ci wszystko otwarcie, — jęczała Pollyanna.

— Przecież napisałaś do mnie wczoraj, kochanie. Otrzymałem list wczoraj wieczorem i zdążyłem jeszcze na ostatni pociąg.

— Nie, nie, ale chciałam napisać po raz drugi. Wtedy jeszcze nie wiedziałam o wszystkim. Nie wiedziałam, że nie będę mogła...

— Że nie będziesz mogła? Pollyanno, — oczy mu zapłonęły nagle—nie chcesz mi chyba powiedzieć, że jest jednak ktoś, kto cię kocha i, że pragniesz,

abym dalej czekał? — mówił teraz z powagą, trzymając ją ciągle w objęciach.

— Nie, nie, Jimmy! Nie patrz tak na mnie. Ja tego nie zniosę.

— Więc powiedz mi jaśniej? Dlaczego nie możesz?

— Nie mogę zostać twoją żoną.

— Pollyanno, czy ty mnie nie kochasz?

— Tak, o tak!

— Wobec tego musisz mnie poślubić, — zawołał z triumfem Jimmy, przytulając ją jeszcze mocniej do siebie.

— Nie, nie, Jimmy, ty tego nie rozumiesz. Tu idzie o... ciotkę Polly, — wyszeptała z trudem Pollyanna.

— O ciotkę Polly?

— Tak. Ona mi nie pozwala.

— No! — Jimmy podniósł głowę i wybuchnął śmiechem. — Już my sobie z ciotką Polly damy radę. Lęka się ciebie utracić, ale musimy jej przypomnieć o tym, że jednocześnie zdobędzie nowego siostrzeńca! — zakończył wesoło.

Pollyanna nie zdobyła się na uśmiech: odwróciła bezradnie dłonie.

— Nie, nie, Jimmy, ty nie rozumiesz! Ciotka... ciotka... ach, jak ja ci mam to powiedzieć? Ona się nie chce zgodzić na to, ażebyś ty został moim mężem.

Uścisk ramion Jimmy stał się teraz słabszy. Oczy zasnuła mgła smutku.

— Ach, pod tym względem nie mogę mieć do niej żalu. Może ma słuszność, — skinął ze zrozumieniem głową. — Ale ja się postaram, — spojrzał znów na

Pollyannę kochającym wzrokiem, — postaram się jednak, żeby ciotka twoja nie miała żadnych sprzeciwów.

— I to będzie możliwe? Wiem, że ty wszystko potrafisz, — wyszeptała dziewczyna, pełna nowej otuchy.

— Pozwól mi tylko spróbować, Pollyanno; może mi się jakoś uda. Może weźmiemy teraz ślub bez jej zgody, a potem jakoś się wszystko ułoży.

— Ach, tego nie mogę zrobić, w żaden sposób nie mogę, — jęknęła znowu Pollyanna. — Bez jej zgody nigdy bym się nie odważyła. Widzisz, ona tak dużo dla mnie zrobiła, a teraz jest przecież zależna ode mnie. Czuje się bardzo niedobrze, Jimmy. Próbowała nawet grać w moję grę, ale i na to nie mogła się zdobyć. Płakała, płakała dzisiaj, Jimmy, i prosiła mnie, abym jej nie łamała serca, jak uczyniła to moja matka przed wielu, wielu laty. Nie, Jimmy, nie mogłabym tego zrobić po tym wszystkim, co ona uczyniła dla mnie.

Zaległa chwila ciszy, którą przerwała pierwsza Pollyanna.

— Jimmy, gdybyś... gdybyś mógł powiedzieć coś ciotce Polly o swoim ojcu, o swoich krewnych...

Ręce młodzieńca opadły. Cofnął się o kilka kroków. Twarz miał teraz śmiertelnie bladą.

— Więc o to chodzi? — spytał.

— Tak. — Pollyanna zbliżyła się doń i czule dotknęła jego ramienia. — Nie myśl, ja o to nie dbam, Jimmy. Mnie wszystko jedno. Zresztą wiem, że twój ojciec i twoi krewni byli porządnymi ludźmi. Ale ona... Jimmy, nie patrz na mnie w ten sposób!

Lecz Jimmy z głuchym jękiem odsunął się od

niej. W chwilę później, rzuciwszy kilka niezrozumiałych słów, których prawie nie dosłyszała, odwrócił się i wybiegł.

— — — — — — — — — —

Opuściwszy dworek Harringtonów, Jimmy poszedł prosto do domu, postanawiając pomówić z Jonem Pendletonem. Zastał opiekuna w obszernej bibliotece, tej samej, gdzie przed laty najchętniej lubiła przebywać Pollyanna.

— Wuju Johnie, czy pamiętasz tę kopertę, którą mi zostawił ojciec? — zapytał młodzieniec.

— Naturalnie. A co się stało, synu? — Na twarzy Johna Pendletona odmalowało się zdziwienie, gdy spojrzał na swego wychowanka.

— Tę kopertę trzeba otworzyć, sir.

— Więc nie dotrzymasz warunków?

— Nie mam na to żadnej rady. Muszę ją otworzyć, i to wszystko. Czy zechcesz to uczynić dla mnie?

— Tak, naturalnie, mój chłopcze, jeżeli się upierasz, ale... — umilkł bezradnie.

— Wuju Johnie, domyślasz się chyba, że kocham Pollyannę. Powiedziałem jej o tym, prosząc, żeby została moją żoną i oczywiście zgodziła się. — Opiekun wydał okrzyk zdziwienia, słuchając wyjaśnień młodzieńca. — Dzisiaj powiedziała mi, że nie może wyjść za mnie za mąż, bo pani Chilton się na to nie zgadza. Po prostu nie chce mieć takiego siostrzeńca.

— Ma coś przeciwko tobie? — oczy Johna Pendletona zapałały gniewem.

— Tak. Dowiedziałem się dlaczego, bo Pollyanna prosiła mnie, abym dowiedział się czegoś o moim ojcu i o moich krewnych.

— Do diabła! myślałem, że Polly Chilton ma więcej rozumu, ale to właściwie na nią wygląda. Harringtonowie zawsze byli dumni ze swego pochodzenia, — zawołał niechętnie pan Pendleton. — No i co będzie?

— Chciałem już powiedzieć Pollyannie, że nic nie wiem o moim ojcu, gdy nagle przypomniałem sobie tę kopertę. Postanowiłem nic jej o tym nie wspominać, dopóki sami zawartości koperty nie zobaczymy. Przecież istnieje coś, czego ojciec nie chciał mi powiedzieć, dopóki nie skończę trzydziestu lat. Może to „coś" jest właśnie tajemnicą mego życia. Muszę teraz tę tajemnicę bezwarunkowo zgłębić.

— Ależ, Jimmy, chłopcze, nie bądź taki tragiczny. Może ta tajemnica okaże się radosna. Może to właśnie wyjaśni całą twoją sytuację.

— Możliwe. Ale wobec tego, dlaczego ojciec chciał, żebym dowiedział się o niej dopiero po skończeniu lat trzydziestu? Nie, wuju Johnie, widocznie chodziło mu o to, abym był już dojrzały i mocny, żeby mnie ta wiadomość nie złamała. Zrozum, nie mam o to żalu do mego ojca. Cokolwiek by to nie było, w każdym razie muszę się dowiedzieć. Zechcesz tę kopertę otworzyć? Przecież znajduje się ona pod twoją opieką?

John Pendleton podniósł się z krzesła.

— Zaraz ją przyniosę, — rzekł. W trzy minuty później koperta znajdowała się już na biurku przed

Jimmym. Młodzieniec jednak nie otworzył jej odrazu.

— Wolałbym, żebyś ty zawartość przejrzał, sir. Później podzielisz się ze mną.

— Ależ, Jimmy, ja... zresztą, niech i tak będzie.— Zdecydowanym ruchem John Pendleton sięgnął po nóż do papieru, otworzył kopertę i wyjął z niej całą zawartość. Były to jakieś papiery, związane razem, oddzielnie zaś leżał duży zapisany arkusz, najwidoczniej list. John Pendleton zdecydował się najprzód list przeczytać. Jimmy z zapartym oddechem obserwował teraz jego twarz. Dostrzegł na niej w pierwszej chwili wyraz zdziwienia, potem radości, a później coś takiego, czego zupełnie określić nie mógł.

— Wuju Johnie, co to takiego? Co to jest? — zapytał.

— Sam przeczytaj, — odparł opiekun, podając list młodzieńcowi.

Jimmy zaczął czytać:

„Załączone papiery są legalnymi dowodami, że mój syn Jimmy jest Jamesem Kentem, synem Johna Kenta, ożenionego z Doris Wetherby z Bostonu. W liście tym pragnę wytłumaczyć memu chłopcu, dlaczego trzymałem go przez tyle lat z dala od rodziny matki. Jeżeli koperta ta zostanie otworzona przez syna mego wówczas, gdy skończy on już lat trzydzieści, prawdopodobnie przebaczy on swemu ojcu, który pragnął w dzieciństwie mieć swego chłopca tylko dla siebie. Jeżeli z powodu jego śmierci kopertę tę otworzą ludzie obcy, zwracam się do nich z prośbą, aby zawiadomili natychmiast ro-

dzinę mojej żony, przebywającą w Bostonie i aby przesłali jej załączone przy niniejszym dokumenty.

„John Kent".

Jimmy blady i drżący, spojrzał w oczy Johna Pendletona.

— Więc ja jestem zaginiony Jamie? — wyszeptał.

— Ojciec twój twierdził, że załączone dokumenty świadczyć mogą o tym, — skinął głową opiekun.

— Więc jestem siostrzeńcem pani Carew?

— Oczywiście.

— Nie mogę się jakoś pogodzić z tą myślą! — Dłuższą chwilę trwało milczenie, gdy nagle twarz Jimmy rozjaśniła się radością. — Teraz już wreszcie wiem, kim jestem! Będę mógł powiedzieć pani Chilton o moich krewnych.

— Przypuszczam, że tak, — odparł sucho John Pendleton. — Rodzina Wetherby jest jedną z najstarszych rodzin w Bostonie. Przypuszczam, że to ją zadowolni. Jeżeli chodzi o twego ojca, to, jak mi mówiła pani Carew, był on trochę dziwakiem, lecz pochodził także z dobrej rodziny.

— Tak. Biedny ojciec! Jakie straszne życie prowadził przez te ostatnie lata, wywalczając dla mnie kawałek chleba. Teraz rozumiem wiele rzeczy, których wówczas wcale zrozumieć nie mogłem. Gospodyni nasza nazwała mnie kiedyś „Jamie". Boże, jakiż mój ojciec wtedy był wściekły! Teraz pojmuję, dlaczego uciekliśmy tego samego wieczoru, nie czekając nawet na kolację. Biedny ojciec! Wkrótce po tym zachorował. Przestał władać rękami i noga-

mi, a później przestał mówić. Pamiętam, że jak umierał, chciał mi coś powiedzieć na temat tej koperty. Na pewno chciał mi powiedzieć, abym ją otworzył i abym zwrócił się do rodziny matki. A może tylko chciał mnie prosić, abym tę kopertę schował i nie pozwolił jej sobie odebrać. Nie rozumiałem jego myśli, lecz obiecałem mu strzec tej koperty. Nie wiem, czy mu to sprawiło ulgę, sądzę raczej, że zmartwił się jeszcze bardziej. Nie rozumiałem go. Biedny ojciec!

— A może teraz zajrzymy do tych papierów, — zaproponował John Pendleton. — Wśród tych dokumentów musi jeszcze być jakiś list do ciebie, o ile się nie mylę. Czy nie chciałbyś go przeczytać?

— Tak, naturalnie. A potem... — młodzieniec zaśmiał się nieoczekiwanie i spojrzał na zegarek. — Zastanawiałem się nad tym, jak prędko będę mógł wrócić... do Pollyanny.

Głęboka zmarszczka pojawiła się na czole Johna Pendletona. Spojrzał na swego wychowanka, zawahał się i rzekł:

— Wiem, że pragniesz zobaczyć się z Pollyanną, mój chłopcze, i rozumiem cię doskonale, ale uważam, że w obecnych okolicznościach, powinieneś najprzód udać się z tymi dokumentami do pani Carew.

Jimmy zmarszczył brwi i zamyślił się na chwilę.

— Dobrze, sir, masz słuszność, — przyznał zrezygnowany.

— Czekaj, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chętnie pojechałbym razem z tobą, — ciągnął dalej John Pendleton, dziwnie onieśmielony. — Mam pewną sprawę do niej, więc chciałbym niezwłocznie

porozumieć się z... twoją ciotką. Może wyjedziemy jeszcze dzisiaj o trzeciej?

— Dobrze! Pojedziemy, sir. Więc ja jestem Jamie! Nie mogę się jeszcze uspokoić! — Młodzieniec zerwał się z krzesła i niespokojnie począł biegać po pokoju! — Ciekawe, — przystanął nagle i zarumienił się jak mały chłopiec, — przypuszczasz, że ciotka Ruta będzie zadowolona?

John Pendleton skinął poważnie głową. Dawny wyraz smutku pojawił się w jego oczach.

— Przypuszczam, że tak, mój chłopcze. Ale myślę w tej chwili o sobie. Jak sądzisz? Skoro znalazła siostrzeńca, czy mam prawo teraz występować z moją propozycją?

— Ty? Czy sądzisz, że cośkolwiek mogło by pokrzyżować twoje plany? — oburzył się Jimmy całkiem szczerze. — Możesz się o to nie martwić. Będzie miała teraz swego Jamie i... — umilkł nagle, przejęty dziwnym niepokojem. — Boże drogi! Wuju Johnie, zapomniałem o Jamie. Cóż on teraz biedak będzie robił?

— Tak, i ja o nim myślałem. Chociaż jest przecież zaadoptowany, prawda?

— Tak, ale nie o to idzie. Idzie o to, że nie jest prawdziwym Jamie, a sam nie może sobie dać w życiu rady! Ta wiadomość może go zabić. Słyszałem, jak mówił kiedyś. Zresztą Pollyanna i pani Carew wspominały mi o tym, że przyzwyczaił się do myśli, że jest owym zaginionym siostrzeńcem i to mu właśnie daje szczęście. Boże święty! Nie mogę mu odebrać tej złudy. Ale co mam robić?

— Sam nie wiem, mój chłopcze. Nie widzę tu żadnego wyjścia.

Zapadło dłuższe milczenie. Jimmy w dalszym ciągu spacerował po pokoju. Nagle zatrzymał się z rozjaśnioną twarzą.

— Znalazłem wyjście i jestem pewny, że pani Carew na to się zgodzi. Nie powiemy nikomu, oprócz pani Carew, a poza tym Pollyannie i jej ciotce. Im muszę powiedzieć, — dorzucił zdecydowanie.

— Naturalnie, że musisz, mój chłopcze. A jeżeli chodzi o innych... — John Pendleton umilkł z powątpiewaniem.

— To przecież nikogo nie obchodzi.

— Ale pamiętaj, że czynisz poświęcenie. Powinieneś się nad tym zastanowić.

— Zastanowić? zastanowiłem się już dokładnie. Szala, na której znajduje się tamten Jamie, musi przeważyć, sir. Podłości nie zrobię.

— Rozumiem cię doskonale i uważam, że masz słuszność, — zawołał serdecznie pan Pendleton. — Poza tym przypuszczam, że pani Carew zgodzi się z tobą, tym bardziej teraz, kiedy się okaże, że prawdziwy Jamie został odnaleziony.

— Ale ciągle się upierała, że mnie kiedyś musiała widzieć, — uśmiechnął się Jimmy. — Kiedy ten pociąg odchodzi? Ja jestem gotów.

— Ale ja jeszcze nie, — zaśmiał się John Pendleton. — Na szczęście, mamy jeszcze dwie godziny czasu, — dorzucił, wstając i wychodząc z pokoju.

ROZDZIAŁ XXXII.

Nowoczesny Alladyn.

Przygotowania Johna Pendletona polegały na napisaniu dwóch listów, z których jeden był zaadresowany do Pollyanny, drugi zaś do pani Polly Chilton. Obydwa te listy pan Pendleton zostawił starej gospodyni Zuzannie, prosząc aby je doręczyła adresatkom po wyjeździe jego i Jimmy. Oczywiście Jimmy o tych dziwnych przygotowaniach nie wiedział.

Zbliżali się już do Bostonu, gdy pan Pendleton zwrócił się do młodzieńca:

— Drogi chłopcze, mam do ciebie dwie prośby. Pierwsza, to pragnę, abyś nic nie mówił pani Carew do jutra po południu, druga — abyś mi pozwolił pomówić z nią w twoim imieniu i nie zjawiał się u niej do godziny czwartej. Zgadzasz się?

— Oczywiście, że tak, — odparł Jimmy z prostotą. — Nie tylko się zgadzam, ale jestem zachwycony. Zastanawiałem się już nad tym, jak mam przełamać pierwsze lody i cieszę się, że ktoś to za mnie uczyni.

Doskonale! Wobec tego zatelefonuję jutro rano do twojej ciotki i poproszę ją o audiencję.

Wierny danemu przyrzeczeniu, Jimmy zjawił się w mieszkaniu pani Carew dopiero nazajutrz o czwartej po południu. Jeszcze wówczas był bardzo zażenowany i nim zdołał zadzwonić, przechadzał się dłuższą chwilę przed domem, dodając samemu sobie odwagi. Znalazłszy się jednak w obec-

ności pani Carew, natychmiast stał się znowu sobą dzięki wrodzonemu taktowi i subtelności gospodyni. Oczywiście na wstępie nie obyło się bez łez i radosnych okrzyków. Nawet John Pendleton musiał spiesznie sięgnąć do kieszeni po chustkę, lecz wkrótce zapanował zupełny spokój, tylko wyraz radości w oczach pani Carew świadczył o tym, że niedawno otrzymała tę najradośniejszą nowinę.

— I uważam, że to tak szlachetnie z twojej strony, jeżeli chodzi o Jamie! — mówiła pani Carew po dłuższej chwili milczenia. — Naprawdę, Jimmy, — muszę cię jeszcze tak nazywać, bo to imię, bardziej pasuje do ciebie, naprawdę, dochodzę do wniosku, że pod tym względem masz zupełną słuszność. I ja także uczynię małe poświęcenie, — ciągnęła dalej ze łzami w oczach, — bo z jakąż dumą pokazywałabym światu mego odnalezionego siostrzeńca!

— A jednak, ciociu Ruto, ja... — przerwał mu nagły okrzyk Johna Pendletona. Odwrócił się i ujrzał stojącego na progu Jamie i Sadie Dean. Twarz Jamie była śmiertelnie blada.

— Ciociu Ruto! — zawołał, spoglądając ze zdziwieniem po obecnych. — Ciociu Ruto! Nie znaczy to chyba...

Obydwoje stali przy sobie, nic nie rozumiejąc. Tylko John Pendleton zorientował się natychmiast w sytuacji.

— Tak, Jamie, — zawołał, — dlaczegóż by nie? Miałem ci to zamiar później powiedzieć, ale powiem ci teraz. — Jimmy postąpił kilka kroków naprzód, lecz John Pendleton dał mu znak spojrzeniem. — Właśnie przed chwilą pani Carew uczyniła mnie najszczęśliwszym z ludzi, odpowiadając „tak“ na

pytanie, które jej zadałem. Uważam więc, że ponieważ Jimmy nazywa mnie „wujem Johnem“, to dlaczego nie miałby nazywać pani Carew „ciotką Rutą“?

— Ach! — okrzyk radości wyrwał się z piersi Jamie, a Jimmy uspokoił się od razu. Oczywiście pani Carew uspokoiła się również, zdając sobie sprawę, że niebezpieczeństwo minęło. Jimmy usłyszał tuż przy sobie radosny szept pana Pendletona:

— Widzisz, mój chłopczee, nie mam zamiaru cię zdradzać. Będziesz teraz należał do nas obojga.

Nie przebrzmiały jeszcze okrzyki i powinszowania, gdy Jamie z radosnym błyskiem w oczach zwrócił się do Sadie Dean.

— Sadie, musimy im teraz powiedzieć, — oznajmił z triumfem. Na bladej twarzyczce Sadie ukazał się rumieniec, gdy Jamie gorączkowo tłumaczył obecnym sytuację i znowu rozległy się serdeczne okrzyki i gratulacje. Wszyscy ściskali sobie dłonie, wszyscy się śmieli i radowali.

W pewnej chwili Jimmy posmutniał nagle.

— Wam tutaj dobrze, — szepnął. — Jesteście tu wszyscy razem, ale skąd ja się tu wziąłem? Gdyby tu była z nami pewna młoda dama, to kto wie, czy i ja nie miałbym wam czegoś do powiedzenia.

— Jedną chwileczkę, Jimmy, — wtrącił John Pendleton. — Zabawię się teraz w Alladyna. Szkoda tylko, że nie mam lampy. Czy mogę panią poprosić, żeby pani zechciała zadzwonić na Mary? — zwrócił się do pani Carew.

— Ach, tak, naturalnie, — odparła gospodyni, patrząc nań ze zdziwieniem.

Po chwili w otwartych drzwiach stanęła Mary.

— Czy się nie mylę, że panna Pollyanna przybyła tutaj przed chwilą? — zapytał John Pendleton.

— Owszem, sir. Jest i czeka na dole w hallu.

— Proszę ją tutaj poprosić.

— Pollyanna tutaj! — zawołali wszyscy chórem, gdy Mary wyszła. Twarz Jimmy bladła, to znów czerwieniała.

— Tak. Wczoraj przesłałem jej list przez moją gospodynię. Pozwoliłem sobie zaprosić ją tutaj, choć nie uprzedziłem pani o tym. Doszedłem do wniosku, że dziewczynie należy się trochę wypoczynku, a gospodyni moja dostała polecenie opiekowania się panią Chilton. Napisałem również do pani Chilton, — dorzucił, zwracając się do Jimmy i patrząc nań wymownie. — Przypuszczam, że po przeczytaniu mego listu zgodziła się na natychmiastowy wyjad Pollyanny, zresztą, najlepszy dowód, że Pollyanna jest już tutaj.

Była istotnie i stała już w progu, zarumieniona, nieśmiała, spoglądając po obecnych pytającym wzrokiem.

— Pollyanno, najdroższa! — Jimmy wybiegł na jej spotkanie i po chwili wahania chwycił ją w objęcia.

— Ach, Jimmy, w obecności tylu ludzi! — uczyniła mu wyrzut zażenowana.

— Pocałowałbym cię nawet na samym środku ulicy Waszyngtona, — zawołał młodzieniec. — Spójrz na tych „wszystkich ludzi", a przekonasz się, że nie powinnaś się martwić.

Pollyanna spojrzała i przekonała się...

Po przeciwległej stronie, przy oknie, odwróceni

do pokoju plecami, stali Jamie i Sadie Dean. Przy drugim oknie, również odwróceni, szeptali ze sobą czule pan Carew i John Pendleton.

Pollyanna uśmiechnęła się tak uroczo, że Jimmy już bez wahania pocałował ją znowu.

— Ach, Jimmy, czyż to wszystko nie jest nadzwyczajne? — wyszeptała cichutko dziewczyna. — I ciotka Polly już teraz wie o wszystkim i przestała się sprzeciwiać. Nawet czuje się dzisiaj lepiej. Jest taka uradowana, a ja jeszcze więcej. Wiesz, Jimmy, że zaczęła nawet grać w moją grę. Nie masz pojęcia, jak się z tego cieszę!

Jimmy odetchnął głęboko, a radość przepełniająca jego serce była tak wielka, że graniczyła prawie z bólem.

— Da Bóg, mała dziewczynko, że zawsze będziesz się cieszyła, — powiedział nieśmiało, przyciągając ją bliżej do siebie.

— Jestem pewna, że tak będzie, — westchnęła Pollyanna, patrząc nań z ufnością.

KONIEC

SPIS ROZDZIAŁÓW

ANGELA BRAZIL

ZŁOTE SZKOLNE CZASY

Przekład Janiny Zawisza-Krasuckiej

Cena zł. 4.—

Jest to ciekawa powieść dla dziewcząt w wieku szkolnym, osnuta na tle rozmaitych ciekawych i wesołych przygód, jakich doświadczają angielskie dziewczęta, przebywające w internatowej szkole na wybrzeżu Kornwalii. Na tle szkolnego życia świetna i popularna w Anglii autorka wielu powieści dla dziewcząt, zarysowała wyraziście typ bohaterki Janki, która dzięki swej pogodzie i dobremu sercu, musi czytelniczkom polskim przypaść do gustu i zaskarbić ich młodociane serduszka.

„NOWE WYDAWNICTWO“ — WARSZAWA